

Duma i pieniądze

Palmer Diana



calibre 0.9.43

DIANA PALMER

DUMA I PIENIĄDZE

tłumaczył Piotr Grzegorzewski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wysoki siwy mężczyzna stał w pewnej odległości od innych salobników, wpatrując się z nienawiścią w szczupłą postać w czerni u boku jego siostry. To ta kobieta jest odpowiedzialna za śmierć jego kuzyna Barry'ego. Nie tylko wpędziła go w alkoholizm, ale jeszcze pozwoliła mu usiąść za kierownicą, kiedy był pijany, co stało się przyczyną jego śmierci. A teraz stoi tutaj, bogatsza o cztery miliony, i nawet jedna łza nie spłynęła jej z oczu. Sprawiała wrażenie całkowicie obojętnej i Ted Regan wiedział, że taka w istocie była, przynajmniej wobec swojego męża.

Jego siostra Sandy zauważyła to lodowate spojrzenie i podeszła do niego.

- Przestań się na nią gapić. Jak możesz być tak nieczuły? - wyszeptała gniewnie.

Sandy miała ciemne włosy i była od niego piętnaście lat młodsza. On natomiast miał już czterdzieści lat i przedwcześnie posiwiałe włosy. Łączyły ich jednak takie same błękitne oczy i podobne charaktery.

- To ja jestem nieczuły? - zapytał z kpiącym uśmiechem, po czym włożył w usta papierosa.

- Obiecałeś, że rzucisz palenie - przypomniała mu.

- Palę tylko wtedy, kiedy jestem zdenerwowany. I tylko na dworze. Nie bój się, nic ci nie grozi.

- Nie chodzi mi o moje zdrowie, ale o twoje. Zobaczysz, papierosy wpędzą cię w końcu do grobu.

Uśmiechnął się i dotknął przelotnie jej twarzy.

- Postaram się nie palić w ogóle. Może tym razem mi się uda - powiedział cierpko.

Popatrzył chłodnym wzrokiem na wdowę. - Niezły z niej numer, co? Nie widziałem na jej twarzy ani jednej łzy. Zupełnie jakby dwa lata małżeństwa nic dla niej nie znaczyły.

- Nikt z zewnątrz nie wie, jak naprawdę układa się czyjś związek - zaprotestowała Sandy.

- Pewnie masz rację - przyznał. - Dlatego nigdy nie tęskniłem do Seniaczki. Chociaś podejrzewam, że niektórym szczęśliwcom to się udaje.

- Tutaj, w Jacobsville, przykładem takiego udanego związku są Ballengerowie - zauważyła. - Są nierozłączni. Zazdroszczę im tego.

Ted nie podjął wątku. Zaciągnął się papierosem, po czym odszukał wzrokiem kobietę w kapeluszu z woalką. Stała teraz przy czarnej limuzynie.

- Co to za pomysł z tą woalką? - zapytał cierpko. - Czyśby się bała, że matka Barry'ego zacznie się zastanawiać, czemu jej synowa nie oplakuje swojego męża?

- Jesteś cyniczny i okrutny - stwierdziła Sandy. - Nic dziwnego, że nigdy się nie ośmieliś. Ludzie mówią, że w całym południowym Teksasie nie znajdzie się kobieta na tyle odważna, żeby cię usidlić.

- W całym południowym Teksasie nie ma kobiety, którą bym zechciał - odparł.

- A najmniej ze wszystkich Coreen Tarleton - dodała Sandy, ponieważ sposób, w jaki patrzył na jej najlepszą przyjaciółkę, wiele mówił.

- Jest młodsza nawet od ciebie - powiedział szorstko. - Sama pomyśl: ona ma dwadzieścia cztery lata, a ja czterdzieści. Nawet gdybym był zainteresowany, jest dla mnie za młoda. A nie jestem - dodał, patrząc na nią znacząco.

- Ona nie jest taka, jak myślisz.

- Cieszę się, że jesteś lojalna wobec swoich przyjaciół, ale nie wmówisz mi, że ta

wesoła wdówka jest pogrąŜona w rozpacz.

- Nigdy jej nie lubiłeś.

- Po prostu od samego początku wiedziałem, Ŝe nie z niej ziółko.

Sandy nic na to nie odpowiedziała. Wiedziała, Ŝe Ted jest zakochany w Coreen po uszy, wmówił sobie jednak, Ŝe jest dla niej za stary. Miał czterdzieści lat, ale wyglądał najwyŜej na dwadzieścia kilka, a drogi ciemny garnitur, który miał na sobie, tylko to wrażenie potęgował.

Był typem pracującego milionera. Rzadko siedział przy biurku. Był szczupły, silny i przystojny jak gwiazdor filmowy. Mógł przebierać do woli w kandydatkach na Ŝonę. Jednak od kiedy Coreen wyszła za mąż, kobiety go nie interesowały.

- Pojedziesz z nami, prawda? - zapytała Sandy. - Po lunchu zostanie odczytany testament.

- Tak jej się spieszy?

- To pomysł matki Barry'ego, nie Coreen - odparła Sandy gniewnie.

- Wcale mnie to nie dziwi - zauwaŜył, próbując odszukać wzrokiem drobną, elegancko ubraną matkę Barry'ego. - Tina zapewne nie może się doczekać, Ŝeby puścić Coreen z torbami.

- Faktycznie, wydaje się wrogo do niej nastawiona - przyznała Sandy.

Ted zgasił niedopałek obcasem wyczyszczonego do połysku buta.

- Nic dziwnego, w końcu Coreen zabiła jej syna.

- Ted!

Spojrzenie jego błękitnych oczu było tak ostre, Ŝe mogłoby przeciąć diament.

- Nigdy go nie kochała - powiedział. - Wyszła za niego za mąż tylko dlatego, Ŝe po śmierci ojca nie miała grosza przy duszy. A potem zamieniła jego Ŝycie w piekło. Myślisz, Ŝe

nie wiem? Wypłakiwał się na moim ramieniu.

- Niby jak? W ciągu całego ich małżeństwa byłeś u nich zaledwie raz - odparła. -

Odmówiłeś nawet zostania drużbą na ich ślubie.

Odwrócił wzrok.

- Spotykaliśmy się w Victorii - wyjaśnił. - A poza tym często do mnie dzwonił. Wiem, jak wyglądało jego małżeństwo z Coreen. To przez nią zaczął pić.

- Coreen jest moją przyjaciółką - odrzekła. - Nawet jeśli to prawda, dla mnie to jest bez znaczenia. Przyjaciele wiele sobie wybaczą.

Wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie mam przyjaciół.

Sandy doskonale o tym wiedziała. Ted nikomu nie ufał na tyle, by się z kimkolwiek zaprzyjaźnić.

- Mógłbyś przynajmniej złożyć jej kondolencje - zauważyła.

- Czemu miałbym okazywać jej współczucie, skoro śmierć męża nic dla niej nie znaczy? Poza tym nie lubię robić czegoś tylko dla zachowania pozorów.

Sandy westchnęła ciężko i wróciła do Coreen.

Droga z cmentarza do zbudowanej z czerwonych cegieł rezydencji Tarletonów była krótka. Coreen przez cały czas milczała. Dopiero tuż przed dotarciem na miejsce spojrzała na

Sandy i zapytała:

- Ted powiedział ci coś o mnie, prawda? - Jej twarz była bardzo blada w obramowaniu krótkich, prostych czarnych włosów, a spojrzenie niebieskich oczu pełne rozpacz.

Sandy skrzywiła się.

- Tak - przyznała niechętnie.

- Nie musisz przede mną ukrywać, jakie jest nastawienie Teda do mnie - powiedziała

Coreen. - Znam go od czasu, kiedy zostaliśmy przyjaciółkami, pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- Nigdy mnie nie lubił. - Coreen nie wspomniała, skąd o tym wie, ani że to przez niego poślubiła mężyczynę, do którego nic nie czuła.

- Ted nie chce się wiązać. Woli fruwać z kwiatka na kwiatek.

- Ucieczka waszej matki musiała być dla niego naprawdę dużym ciosem. - Coreen doskonale znała historię rodziny Reganów.

- Tak. To go zraziło do kobiet. Z tego powodu jest samotny przez większą część swojego życia. - Westchnęła. - Przez jakiś czas miałam nadzieję, że uda mu się z tobą związać. Potem jednak wyszłaś za męża. Nie mógł ci tego wybaczyć. Wciąż nie może.

Dziwne, prawda?

Wyraz twarzy Coreen nie zdradzał, o czym myśli. Do perfekcji opanowała sztukę skrywania emocji. Barry potrafił wykorzystać nawet najmniejsze oznaki jej słabości.

Tylko raz pozwoliła sobie na szczerość wobec niego. Byli zaledwie kilka tygodni po ślubie, kiedy przyznała się do uczucia, jakie żywiła do Teda. Dopiero później uświadomiła sobie, że nie powinna była tego robić. I szybko zrozumiała, że ten błąd będzie ją dużo kosztował. Tej nocy Barry upił się i ją pobił. To ją nauczyło chować bardzo głęboko wszelkie uczucia.

- Wygląda na to, że niedługo będzie po wszystkim - zauważyła Sandy.

- Naprawdę? - zdziwiła się Coreen. Jej długie, zadbane paznokcie zacisnęły się na czarnej torebce.

- Dlaczego Tina nalegała, żeby tak szybko odczytano testament? - zapytała niespodziewanie jej przyjaciółka.

- Jest święcie przekonana, że Barry zapisał jej wszystko, łącznie z domem -

wyszeptała Coreen. - Wiesz, że była przeciwna naszemu małżeństwu. Jeśli na mocy testamentu zostanie jedyną spadkobierczynią, wyrzuci mnie na bruk, jeszcze zanim zapadnie zmrok. Założę się, że dostanie wszystko. To byłoby bardzo podobne do Barry'ego. W czasie trwania naszego małżeństwa dostawałam od niego na święta sto dolarów tygodniowo i musiało mi to wystarczyć na wszystko, w tym na utrzymanie i zakupy.

Sandy przyjrzała jej się baczniej. Nagle dotarło do niej, że sukienka, którą Coreen ma na sobie, już dawno wyszła z mody.

- Mam tylko te ubrania, które kupiłam przed zamążpójściem - wyjaśniła Coreen, unikając wzroku przyjaciółki.

Sandy uświadomiła sobie, że Tina Tarleton z kolei jest ubrana w sukienkę, która musiała kosztować fortunę, i że odjechała sprzed cmentarza nowiutkim lincolnem.

- Ale dlaczego? Dlaczego Barry tak cię traktował?

Coreen uśmiechnęła się smutno.

- Miał swoje powody - odpowiedziała wymijająco. - Nie zależymy mi na pieniądzach - dodała cicho. - Umiem pisać na maszynie i skończyłam kurs socjologii. Jakoś sobie poradzę.

- Nie martw się. Barry z pewnością ci coś zapisał!

Coreen pokręciła głową.

- Nie sądzę. On mnie nienawidził. Przywykł do tego, że kobiety świata poza nim nie widzą. Nie mógł znieść myśli, że może być na drugim miejscu. - Nie sprecyzowała, co ma na myśli. - Przynajmniej nie muszę już się bać - dodała. - Bardzo się wstydzę...

- Czego?

- Tego, że czuję ulgę - wyszeptała, jakby bała się, że usłyszy ją ktoś niepowołany. - To już koniec! Ostateczny koniec! I niech sobie ludzie myślą, co chcą, nic mnie to nie obchodzi.

- Zadrżała.

Sandy była zaintrygowana, ale nie chciała być wścibska. Coreen kiedyś z pewnością jej o tym opowie. Barry robił wszystko, co w jego mocy, by uniemożliwić im spotkanie się. Nie ściszył sobie, by jego siostra utrzymywała kontakty z kimkolwiek, nawet z kobietą. Początkowo Sandy myślała, że po prostu jest nieprzytomnie zakochany w jej przyjaciółce. Stopniowo przekonywała się jednak, że to jakieś inne, o wiele mroczniejsze uczucie każe mu się tak zachowywać. Cokolwiek się za tym kryło, Coreen nigdy się jej z tego nie zwierzyła.

- Byłoby miło, gdybyś nie musiała się wymykać z domu, żeby zjeść ze mną od czasu do czasu lunch - powiedziała.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś Tedowi o tych naszych spotkaniach? - zapytała Coreen, posyłając jej zza woalki zmartwione spojrzenie.

- Nie, nie mogłam mu o tym powiedzieć. Mówiąc szczerze, Ted zabronił mi w ogóle o tobie wspominać.

Szczupłe ramiona drgnęły nerwowo, a niebieskie oczy zwróciły się do okna.

- Rozumiem.

- A ja nie - wyszeptała Sandy. - W ogóle go nie rozumiem. I wstyd mi, że dzisiaj tak się zachowuje.

- Barry był mu bardzo bliski.

- Może rzeczywiście, na swój sposób. I może właśnie dlatego Ted nigdy nie próbował zrozumieć, jak to wygląda z twojej perspektywy. Barry był w towarzystwie mężczyzn zupełnie inny niż z tobą.

- Tak, wiem.

Limuzyna zatrzymała się i kierowca otworzył przed nimi drzwi.

- Dziękuję, Henry - powiedziała Coreen serdecznym tonem.

Szofer był pięćdziesięciokilkuletnim, barczystym mężczyzną o krótko ostrzyżonych

włosach, byłym wojskowym. Wiele mu zawdzięczała, odkąd Barry zatrudnił go pół roku wcześniej. Plotkowano nawet na ten temat, niektórzy wręcz sugerowali, że Coreen przyprawia mężowi rogi. W rzeczywistości Henry pełnił zupełnie inną rolę. Nie mogła jednak o tym nikomu powiedzieć.

Henry nisko się uklonił.

Sandy weszła do domu razem z Coreen. Przy okazji zauważyła, że nie ma tam pokojówki ani kamerdynera, w ogóle żadnej służby. W tak dużym domu to było dosyć dziwne.

Coreen dostrzegła wyraz zmieszania na twarzy przyjaciółki. Zdjęła kapelusz z woalką i położyła go na stoliku.

- Barry zwolnił całą służbę z wyjątkiem Henry'ego - wyjaśniła. - Jego też chciał zwolnić, ale przekonałam go, że przyda mu się szofer.

Sandy nic nie powiedziała.

Coreen popatrzyła na przyjaciółkę.

- Myślisz, że z nim sypiam? - zapytała.

Sandy zacisnęła wargi.

- Teraz, kiedy go zobaczyłam, już tak nie myślę - odparła z błyskiem w oczach.

Coreen roześmiała się po raz pierwszy od wielu dni. Ruszyła w kierunku salonu.

- Rozgość się, zrobię ci kawę.

- Nie musisz. Pozwól, że cię wyręczę. Odpocznij. Spałaś dzisiaj chociaż trochę?

Coreen wzruszyła ramionami. Miała ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Sandy była od niej o kilka centymetrów wyższa.

- Męczą mnie koszmary - wyznała.

- Lekarz nie przepisał ci nic na sen?

- Nie chcę się szprycować narkotykami.

- Branie środków nasennych po śmierci męża to jeszcze nie szprycowanie się narkotykami.

- Mniejsza o to, po prostu nie chcę tracić nad sobą kontroli. - Usiadła na kanapie.

- Na pewno nie chcesz, żebym...

Drzwi do salonu otworzyły się niespodziewanie. Sandy i Coreen знаły tylko jedną osobę, która była tak pewna siebie, że uważała, że nie musi pukać. Ted wszedł do pokoju, poluzniając krawat. Nie miał na głowie kapelusza kowbojskiego, który zwykle nosił.

Wyglądał elegancko i zarazem dziwnie w drogim garniturze.

- Właśnie miałam zamiar zrobić kawę - powiedziała Sandy, patrząc na niego ostrzegawczo. - Tobie też?

- Jasne. Nie pogardzę też herbatnikiem. Nie jadłem śniadania.

- Zobaczą, co uda mi się znaleźć. - Sandy dziwiła się w duchu, że nikt nie zatroszczył się o jedzenie, zgodnie z prowincjonalnym obyczajem. Jacobsville to przecież wieś, gdzie wszyscy mieszkańcy są bardzo zżyci.

Ted nie miał żadnych zahamowań przed zadawaniem trudnych pytań. Usiadł w fotelu naprzeciw kanapy w kolorze bordo, na której siedziała Coreen.

- Dlaczego nikt nie przyniósł jedzenia? - zapytał ze złośliwym uśmiechem. - Czy twoi sąsiedzi podobnie jak ja uważają, że to ty go zabiłaś?

Coreen zrobiło się słabo. Zmobilizowała się jednak i odważnie spojrzała w jego chłodne błękitne oczy. Puściła mimo uszu tę jawną zniewagę.

- Nie mieliśmy bliskich sąsiadów ani przyjaciół. Barry nie przepadał za towarzystwem.

- A ty nie przepadałaś za Barrym - stwierdził. - Wiem od niego o wszystkim, Coreen.

O wszystkim.

Domyślała się, co mógł powiedzieć mu Barry. Lubił utrzymywać znajomych w przekonaniu, że jest oziębła. Zamknęła oczy i potarła ręką czoło.

- Nie masz łatwych spraw do załatwienia? - zapytała zmęczonym głosem. - I to wielu spraw?

Wsunął nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie.

- Mój kuzyn nie żyje - przypomniał jej. - Przyjechałem na pogrzeb.

- Pogrzeb już się skończył - odpowiedziała z naciskiem.

- A ty jesteś bogatsza o cztery miliony. Przynajmniej do chwili odczytania testamentu.

Tina już tu jedzie.

- Bez wątplenia za twoją namową - stwierdziła.

Wzniósł ze zdziwieniem brwi.

- Nie musiałem jej do niczego namawiać.

Była bezgranicznie udręczona cierpieniem minionych dwóch lat. Nie miała już siły.

Podniosła na niego wzrok.

- Nie wątpię.

Wstała z kanapy. Wyglądała bardzo elegancko w czarnej sukience, która opinała jej smukłe ciało, jego zdaniem odrobinę zbyt szczupłe. Nie chciał dostrzec, jak mizernie wygląda. Wiedział, że nie kochała Barry'ego. Z pewnością nie płakała po nim.

- Nie oczekuj zbyt wiele - powiedział.

- Nie zabiłam Barry'ego - odparła.

Ted również się podniósł.

- Pozwoliłaś mu usiąść za kierownicą, chociaż był pijany. Tak się składa, że wychowałem się w Jacobsville. Znam większość ludzi, którzy tutaj mieszkają. Wiesz chyba,

Œe Sandy i ja wróciliŒmy tu niedawno? I powiem ci jedno: wszyscy mówią tylko o Œmierci Barry'ego. ByliŒcie razem na przyjciu. Przesadził troch z alkoholem, to prawda. Ale widzc o tym, wcale nie miał zamiaru siadac za kłkiem. Chciał, ŒebyŒ odwiozła go do domu. Tylko Œe ty odmówiłaŒ. Wic pojechał sam i spadł z mostu.

Wic ludzie tak to przekrcili... Wpatrywała si w milczeniu w Teda. Sandy nie wspominała, Œe wrcił do Jacobsville. Jak zniesie mieszkanie z nim w tym samym mieŒcie?

- Nie bronisz si? Nie masz Œadnego usprawiedliwienia? - rzucił kpico. - Œadnych wyjaŒnie?

- Po co? I tak mi nie uwierzysz.

- Co racja, to racja - przyznał i wloŒył rce do kieszeni, wsłuchujc si w haasy dobiegajce z kuchni. To Sandy przypominała mu o swoim istnieniu.

Coreen usilowała powstrzymac drŒenie rk. W koncu skrzyŒowała je na piersi. Czy naprawd on musi patrze na ni takim oskarŒycielskim wzrokiem?

- Wiesz, dlaczego tu jestem? Barry napisał do mnie dwa tygodnie temu. Poinformował mnie, Œe zmienił testament i Œe jest w nim wzmianka o mnie. - Spojrzał na ni kpico. - Nie wiedziałaŒ?

Nie wiedziała. Barry poinformował j tylko, Œe zmienił testament. Nie miała pojecia, czego dotyczyły te zmiany.

- Tina teŒ jest w nim wspomniana, jak sdz - cignł z triumfalnym uŒmiechem na twarzy.

Miała juŒ tego wszystkiego naprawd doŒ. Była bardzo zmczona koszmarem, w którym Œyla przez ostatnie dwa lata, a jeszcze bardziej niekonczcym si przesłuchaniem. Z ciŒkim westchnieniem odgarnła do tyłu krtkie włsy.

- Ted, idź std - powiedziała bgalnie. - Prosz ci, idź juŒ std.

Nagle zrobiło się jej słabo. Cierpienie złamało jej ducha. Poczwała na rżęsach lzy i odwróciła się, by je ukryć. Zachwiała się i nagle ujrzała, Œe podłoga zaczyna się do niej niebezpiecznie zbliŒać.

Ted Regan podbiegł do niej i złapał ją za ramiona. Spojrzał na jej bladą, mizerną twarz. A potem bez słowa otoczył ją ramionami i trzymał w nich łagodnie, bez namiętności.

- Jak tyś to zrobiła? - zapytał, jakby potknęła się rozmyślnie.

Łzy wypełniły jej oczy, kiedy stała sztywno w jego objęciach. Nie wiedział, nie mógł wiedzieć, jak przez ostatnie dwa lata wyglądało jej Œycie.

- Nie zrobiłam tego specjalnie - wyszeptała. - PrzecieŒ nie dlatego, Œe nie mogłam się doczekać, kiedy mnie weźmiesz w ramiona! Nie chcę od ciebie nic!

Ton jej głosu sprawił, Œe jego i tak juŒ zły nastrój jeszcze się pogorszył.

- Nawet mojej miłości? - zapytał kpiąco. - Kiedyś o nią zabiegałaś - przypomniał jej lodowatym głosem.

ZadrŒała. To wspomnienie, podobnie jak większość innych z minionych dwóch lat, nie było zbyt miłe. Próbowwała się odsunąć, ale jego wielkie dłonie, które zaciskały się na jej ramionach, nie pozwoliły na to.

Była świadoma, zbyt świadoma świeŒego zapachu jego ciała, jego nierównego oddechu, ruchu jego atletycznej piersi. Ted, pomyślała ze smutkiem. Ted!

PołoŒyła ręce zaciśnięte w pięści na jego torsie. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

Zaczął ją głaskać po plecach. Jednocześnie czwała jego ciepły oddech we włosach nad czołem. Był tak wysoki, Œe sięgała mu ledwie do nosa.

Wyczuwała twarde mięśnie i gęste włosy na jego piersi. Dawał jej pocieszenie, coś, czego nie zaznała od dwóch długich lat. Ale Ted jest podobnie jak Barry silnym, dominującym męŒczyzną, a ona nie jest juŒ tą młodą kobietą, która go uwielbiała. Wiedziała,

co mężczyźni skrywają pod pozorami ogłady, i nie mogła stać tak blisko niego, nie czując obawy. Barry ją tego nauczył. Jęknęła, kiedy poczuła silne palce Teda na ramionach. Bezwiednie ścisnął ją tak mocno, że będzie miała siniaki. A może zdaje sobie z tego sprawę? Może chce ją w ten sposób ukarać?

Ted usłyszał jej westchnienie i wbrew sobie przestał się kontrolować.

- Och, na miłość boską - mruknął i nagle przytulił ją tak mocno, że pomiędzy nimi nie było nawet centymetra wolnej przestrzeni.

Zadrżała. Jeszcze dwa lata temu dałaby wszystko, by stać tak blisko niego. Teraz jednak miała w głowie tylko mgliste wspomnienie Teda i gorzkie, złe wspomnienie Barry'ego. Kontakt fizyczny napełniał ją strachem i bólem.

Z jej oczu popłynęły łzy. Stała sztywno w ramionach Teda i pozwalała, by spływały jej po policzkach, kiedy ogarniał ją coraz większy ból. Szloch wstrząsnął jej ciałem.

Oplakiwała Barry'ego, którego nigdy nie kochała, ale oplakiwała też siebie, ponieważ Ted trzymał ją z taką wzdą, a nawet jeśli nie, to przecie Barry zniszczył ją jako kobietę.

Płakała, a wreszcie wyczerpała się, zmęczyła.

Sandy zatrzymała się w drzwiach, widząc wyraz twarzy Teda, kiedy pochylał się nad ciemną głową Coreen. Kaszlnęła, by powiadomić ich o swojej obecności, ponieważ wiedziała, że jej brat nie chciałby, by ktoś widział go w chwili takiej słabości.

- Kawa - oznajmiła pogodnie, nie patrząc na nich.

Ted puścił wolno Coreen i wyjął chusteczkę, po czym wcisnął ją gniewnie do jej trzęsących się rąk. Unikała jego wzroku. Zauważył to, podobnie jak i jej sztywność, która nie minęła nawet wtedy, kiedy płakała w jego ramionach. Przeszył go głęboki ból.

- Usiądź, Corrie, i zjedz herbatnika z masłem - powiedziała Sandy, kiedy Ted odsunął się szybko i znów usiadł. - Stały pod przykryciem na stole.

- Pani Masterson przyszła dziś rano i zrobiła mi śniadanie - odparła Coreen drżącym głosem. - Nawet go nie tknęłam.

- Tina zatrzymała się w motelu - oznajmił Ted. Był wściekły na siebie. Nie powinien był dopuścić do tego, co się przed chwilą stało.

Coreen wytarła oczy i popatrzyła na niego.

- Nie jesteśmy w zbyt dobrych stosunkach. Proponowałam jej, żeby się tu zatrzymała, ale odmówiła.

Przeniósł wzrok na filiżankę, którą podała mu siostra.

- Wydaje mi się, że powinnaś odpocząć przez kilka najbliższych dni - poradziła Sandy przyjaciółce. - Pojedź nad Morze Karaibskie, gdziekolwiek, żeby się oderwać od tego wszystkiego.

- O toś to - zawtórował jej Ted, wpatrując się zimno w Coreen. - Stać cię na to.

- Przestań! - Coreen nie wytrzymała. - Czy możesz już przestać?

- Ted, proszę cię! - wstawiła się za nią Sandy.

Jego uwagę odwrócił warkot samochodu wjeżdżającego na podjazd przed domem.

Wstał i podszedł do drzwi, unikając wzroku Coreen. Jego brak samokontroli wstrząsnął nim dogłębnie.

- To straszne - wyszeptała Coreen rozpaczliwie. - On się nade mną znęca.

- Barry naopowiadał mu jakichś głupot - wyjaśniła Sandy. - Nie znam szczegółów. Na cmentarzu Ted wspominał, że widywali się całkiem często i że Barry mówił mu różne rzeczy o tobie.

- Znając Barry'ego, podejrzewam, że wymyślał niestworzone historie na mój temat, żeby wzbudzić jego litość - powiedziała cicho Coreen. - Byłam jego kozłem ofiarnym, wytłumaczeniem każdej podłości, jaką zrobił. Pił też przeze mnie, dasz wiarę?

- Pił dlatego, że chciał - sprostowała Sandy.

- Jesteś chyba jedyną osobą w Jacobsville, która tak mówi - stwierdziła jej przyjaciółka. Wypiła łyk kawy.

W holu rozległy się czyjeś głosy: jeden niski i łagodny, drugi ostry i niecierpliwy.

- Myślałam, że notariusz już tu będzie - narzekała Tina Tarleton poirytowanym głosem. Weszła do salonu, zdejmując białe rękawiczki. Wyglądała olśniewająco w czarnym kostiumie od Chanel z dobranymi w każdym szczególe kosztownymi dodatkami.

- Pewnie pojechał do biura po dokumenty - powiedziała Coreen.

Tina rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zaraz się tu zjawi - warknęła. - Na twoim miejscu zaczęłabym się pakować.

- Już jestem spakowana - odrzekła Coreen. - Nie mam dużo rzeczy.

Przed dom podjechał kolejny samochód. Sandy podeszła do okna.

- Notariusz - obwieściła i skierowała się ku drzwiom.

- No, w końcu - odetchnęła Tina. - Najwyższy czas.

Coreen milczała. Patrzyła na fotel, w którym siadywał jeszcze niedawno Barry, i wspominała swoje małżeństwo. W jej oczach znów pojawił się strach, wręcz przerażenie.

Ted obserwował ją ze swojego miejsca. Czuje się winna. To dobrze. Ma wyrzuty sumienia. Oby już nigdy nie zaznała ani chwili spokoju.

Poczuła na sobie jego wzrok. Popatrzyła na niego. Przeszył ją gniewnym spojrzeniem, tak mocno zaciskając palce na poręczach fotela, że omal ich nie złamał.

Dopiero pojawienie się w pokoju notariusza, wysokiego siwowłosego mężczyzny, rozładowało napięcie. Coreen o mało mu za to nie podziękowała. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Ted tak bardzo jej nienawidzi z powodu śmierci kuzyna, z którym nie był zbyt

blisko. Chyba Źe zawsze jej nienawidził. Takie stwarzał pozory. Zachowywał się nieprzyjaŹnie wobec niej, odkąd więcej niŹ dwa lata temu poczuł, Źe mu się narzuca...

ROZDZIAŁ DRUGI

Coreen przyjaŹniła się z Sandy Regan od czterech lat, ale dopiero na drugim roku nauki w college'u bliŹej poznała jej brata Teda. Pomagała ojcu w prowadzeniu sklepu w Jacobsville zaopatrującego farmerów w pasze. Ted zjawił się w nim pewnego dnia wraz z nowym zarządcą swojego rancza, by otworzyć rachunek.

Wcześniej zawsze robił zakupy w konkurencyjnym sklepie, który został zlikwidowany. Był więć zmuszony kupować u ojca Coreen albo jeździć po zapasy do Victorii.

Zawsze był wobec niej uprzejmy, ale bez przesady. Nie oczekiwała niczego więć.

Traktował ją z rezerwą od początku jej przyjaŹni z Sandy.

Coreen była nim zafascynowana od momentu, kiedy Sandy ich przedstawiła. Ted zlustrował ją wtedy uwaŹnym spojrzeniem i najwyraŹniej mu się nie spodobała, poniewaŹ natychmiast się oddalił, a potem zachowywał bezpieczny dystans za kaŹdym razem, kiedy pojawiała się na ranczu.

Nie było jej przykro. UwaŹała za rzecz oczywiŹtą, Źe taki Źwiatowy męŹczyzna jak Ted Regan nie chce się z nią spoufalać. UwaŹała, Źe jest tyczkowata i wygląda jak chłopczyca w dŹinsach, bluzie i tenisówkach. Ted był starszy od niej prawie o całe pokolenie, a w dodatku bajecznie bogaty. Jego nazwisko łączono z kobietami uchodzącymi za najlepsze partie w całym Teksasie, mimo Źe jego niechęć do małŹeństwa była powszechnie znana.

A jednak zwrócił uwagę właŹnie na Coreen. Opierał się temu, ale to było silniejsze od niego. Przyglądał się jej badawczo za kaŹdym razem, kiedy przyjeŹdził do sklepu jej ojca. Nigdy jednak nie zbliŹył się do niej bardziej, niŹ to było absolutnie konieczne.

Z biegiem czasu Coreen poznawała go coraz lepiej dzięki opowieściom jego siostry.

Zacząła się w nim zakochiwać, aŜ w końcu, po dwóch latach, nie widziała juŜ poza nim świata. Udawał, Ŝe nie dostrzega jej zainteresowania, które coraz trudniej było jej ukryć, poniewaŜ za kaŜdym razem na jego widok zaczynała się jąkać i wypuszczała wszystko z rąk.

Było nieuniknione, Ŝe od czasu do czasu ich ręce się spotykały, kiedy na przykład przekazywali sobie faktury, i kaŜde takie dotknięcie przeszywało ją dreszczem.

Pewnego dnia stała odwrócona plecami do lady, kiedy nagle poczuła na sobie jego wzrok. Kiedy się odwróciła, stał tak blisko, Ŝe czuła zapach jego wody kolońskiej. Nie ruszał się, nie mrugał, a jego spojrzenie było tak intensywne, Ŝe kolana się pod nią ugięły. Jego spojrzenie spoczęło na jej delikatnych, pełnych wargach. Serce zaczęło jej bić jak szalone. Nawet tak niedoświadczona osoba jak ona bez trudu rozpoznała poŜądanie, malujące się na jego twarzy. To było tak, jakby dopiero teraz ją zauwaŜył, jakby przedtem zmuszał się do tego, by nie dostrzegać jej szczupłego ciała i subtelnej urody.

Nadejście jej ojca spowodowało, Ŝe czar prysł, a na twarzy Teda pojawił się wyraz niezadowolenia z samego siebie, a nawet gniewu. Wyszedł ze sklepu.

Coreen niejednym raz wracała w marzeniach i snach do tej krótkiej chwili, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Wyglądało na to, Ŝe Ted równieŜ połknął haczyk. Od tej pory bowiem częściej odwiedzał sklep i zawsze patrzył na nią w ten sam sposób.

ZauwaŜyła, Ŝe zwykle przychodzi w środy i soboty, więc zaczęła się w te dni stroić.

Mogła wyglądać pociągająco pomimo szczupłej chłopięcej figury, jeśli tylko odpowiednio się ubrała, a Ted nie ukrywał wtedy zainteresowania. Wodził za nią poŜądliwym wzrokiem za kaŜdym razem, kiedy był blisko niej. Napięcie pomiędzy nimi rosło szybko, aŜ wreszcie pewnego dnia osiągnęło punkt krytyczny.

Przebywali akurat sami w magazynie, szukając uzdy, której Ted potrzebował dla

jednego ze swoich koni. Coreen potknęła się o zwinięty sznur i upadłaby, gdyby Ted jej nie złapał. Dzięki cięŜkiej pracy na ranczu miał doskonały refleks.

- OstroŜnie - mruknął. - Mogłaś rozbić sobie głowę.

- Mam tak twardą głowę, Őe nawet bym nie poczuła. - Roześmiała się, patrząc na niego. - Czasami jestem trochę niezdarna...

Przestała się śmiać, kiedy zobaczyła jego minę. Przyciągnął ją nagle do siebie.

Poczuła, jak jego pierś się porusza, a jego oddech jest tak samo urywany jak jej.

Pochylił się i przycisnął wargi do jej ust, całując ją z wprawą, której Coreen nigdy nie zaznała. Zesztywniała, a on spojrzał jej badawczo w oczy. Potem, nie wrywając się z jego mocnego uścisku, podniosła wyŜej głowę.

- Czy wiesz, ile mam lat? - zapytał głosem niskim i ochrypłym z emocji.

- Nie.

- Trzydzieci osiem - wyszeptał. - Ty masz niecałe dwadzieścia dwa. Jestem starszy od ciebie o szesnaście lat. Prawie o pokolenie.

- To nie ma dla mnie znaczenia! - odparła.

- Taki związek nie ma przyszłości - stwierdził bezlitośnie, patrząc na nią chłodnym wzrokiem. - Jesteś zadurzona, ale wybrałaś niewłaściwy obiekt. Dawno juŜ wyrosłem z trzymania się za ręce i spacerów przy blasku księŜyca.

Wpatrywała się w niego, jakby nic nie rozumiejąc. Jej ciało drŜało od emocji. Chciała tylko jednego: zaznać dotyku jego ust.

- Nawet mnie nie słuchasz - zbeształ ją chropawym głosem. Jego wzrok spoczął na jej wargach. - Czy wiesz, do czego mnie zachęcasz? - Gdy wspięła się na palce, jego usta przywarły do jej warg, pieszcząc je nieustępliwie. Coreen przestraszyła się. - Nie, nie wiesz - wyszeptał, przytrzymując ją. - Jeśli cię czegoś nauczę, to tego, Őe poŜądanie to nie zabawa.

Dotknął jej karku, unieruchamiając głowę, i zaczął dręczyć krótkimi, szorstkimi, kłującymi pocałunkami. Pobudził ją tak szybko, tak całkowicie, że przycisnęła się do niego z bolesnym jękiem i uczepliła się go kurczowo.

Nie kontrolowała się. Ted jednak nie stracił panowania nad sobą. Oderwał się powoli od jej ust, odsunął ją nieco od siebie i spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy zaczynasz pojmować, jakie to niebezpieczne? - zapytał z niezwykłą łagodnością w głosie. - Mogłbym cię teraz wziąć, w tej chwili. Tak jesteś wstrząśnięta i tak ciekawa mnie. Jestem mężczyzną i mam swoje potrzeby. Wszystko, co czujesz i czego pragniesz, jest wypisane na twojej twarzy. Nie obronisz się przed tym.

- Czy to znaczy... że mnie nie chcesz? - wyjąkała.

Skrzywił się, po czym jego twarz zmieniła się w maskę bez wyrazu.

- Chcę kobiety - odparł. - A ty akurat jesteś pod ręką. To wszystko.

- Rozumiem - wyszeptała.

- Mam nadzieję. Twoje zachowanie stało się ostatnio wyzywające. Kręcisz się po moim ranczu, czekając na mnie, stroisz się w te dni, kiedy odwiedzam wasz sklep. To mi pochlebia, ale nie potrzebuję twojego dziewczęcego zainteresowania ani twojej miłości.

Przykro mi, że muszę być tak brutalnie szczery, ale mówię to dla twojego dobra. Nie pociągają mnie takie kobiety jak ty. Wyglądasz i myślisz jak nastolatka.

Poczerwieniała. Czy to rzeczywiście aż tak bardzo widać? Odsunęła się od niego i ukryła twarz w dłoniach. Była załamana.

Zacisnął zęby, widząc to, ale nie odwołał ostrych słów.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo - powiedział szorstko. - W końcu się nauczysz, że kiedy powinien znać swoje miejsce w Syciu. Od teraz będę wysyłał po zakupy Billy'ego. A ty znajdź jakiś pretekst, żeby nie przyjeżdżać na ranczo do Sandy. Rozumiemy się?

Zmusiła się, by przytaknąć, i ledwo powstrzymując łzy, uciekła z magazynu.

Wychodząc ze sklepu, Ted zatrzymał się i obejrzał. Coreen wydało się, że na jego twarzy maluje się ból, i przez chwilę myślała nawet, że okłamał ją co do swoich uczuć. Ale później uznała, że musiało jej się to przywidzieć. Zawiódł ją bardzo, ale jeśli faktycznie nie odwzajemniał jej uczuć, chyba dobrze się stało.

Od tej pory Ted delegował po zakupy swojego zarządcę. Jego noga więcej nie postąpiła w sklepie jej ojca. Coreen widywała go od czasu do czasu na ulicach Jacobsville, ponieważ miasteczko było zbyt małe, by w końcu nie wpaść się na osobę, której chciało się unikać. Ale nie patrzyła na niego ani z nim nie rozmawiała.

Kiedy pewnego dnia przypadkowo przyszli do tej samej restauracji na lunch, natychmiast wyszła, zostawiwszy nietkniętą kawę, ledwie tylko Ted usiadł przy swoim stoliku.

Innym razem przyłapała go na tym, że przygląda się jej, stojąc po drugiej stronie ulicy. Nie podszedł do niej. Gdyby to zrobił, uciekłaby. Pewnie się tego domyślał. Jej duma otrzymała bolesny cios.

W końcu Sandy zaprosiła ją na ranczo, ponoć za zgodą brata. Pojechała, ale najpierw upewniła się, że Teda tam nie będzie. Sandy zauważyła to i nie omieszkała skomentować, podkreślając, że jej brat nie ma nic przeciwko tej wizycie. Coreen nic na to nie powiedziała, choć przyjaciółka bardzo chciała coś z niej wyciągnąć.

Później Ted niespodziewanie natknął się na nią podczas zabawy z tańcami. Poszła na nią z Sandy, by świętować swoje dwudzieste drugie urodziny. Śadna nie miała chłopaka.

Przyjaciółka nie wspominała, że jej brat ma zamiar się tam zjawić. I oto nagle, w trakcie tańca w cztery pary, kiedy Coreen przeszła od jednego partnera do drugiego, okazało się, że tym drugim jest Ted. Ku zaskoczeniu wszystkich Coreen natychmiast opuściła parkiet i wróciła do

domu.

To zdarzenie wywołało w Jacobsville falę plotek, ponieważ nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by jakakolwiek kobieta wzgardziła publicznie Tedem Reganem. Jej ojcu wydało się to dziwne i śmieszne zarazem. Sandy była załamana, ale już nigdy więcej nie próbowała bawić się w swatkę.

Coreen wiedziała jednak, że najtrudniejsze wyzwanie dopiero przed nią stoi. Doroczny bal klubu strzeleckiego.

Ojciec zabierał ją zawsze na zebrania członków klubu i do strzelnicy. Sęk w tym, że prezesem był Ted Regan.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że przestała przychodzić do klubu. Ojciec nalegał jednak, by zjawiła się na balu. Wzbraniała się przed tym, jak mogła, w końcu uległa namowom, ponieważ nie chciała sprawiać mu przykrości.

Zdawała sobie sprawę, że czeka ją trudna przeprawa. Sandy zdążyła już jej powiedzieć, że od ostatniej zabawy Ted wpadał we wściekłość za każdym razem, kiedy ktoś wypowiadał przy nim jej imię. Sandy zapewne zastanawiała się, czy nie kryje się za tym coś więcej niż tylko afront doznany na zabawie, ale była zbyt dyskretna, by zapytać o to wprost. Spojrzenie, którym obrzucił ją Ted, kiedy zobaczył ją na balu klubu strzeleckiego, wprawiło Coreen w zaniepokojenie. Miała na sobie srebrną sukienkę na ramiączkach i z głębokim dekoltem w szpic, a do tego srebrne szpilki. Czarne włosy do pasa upięła na tę okazję w wymyślną fryzurę. Wyglądała olśniewająco i niemal natychmiast ustawiła się do niej kolejka mężczyzn nie szczędzących jej komplementów i chętnych do tańca. Jedyne Ted cały czas podpierał ścianę, trzymając w ręce szklankę whisky z wodą sodową. Rozmawiał z innymi mężczyznami i co chwila spoglądał spod łba na Coreen. Był wściekły z powodu jej obecności.

Miał na sobie smoking i białą koszulę z marszczonym plastronem i złotymi spinkami w mankietach. Do klapy smokinga przypiął czerwony goździk. Samotne kobiety wychodziły z siebie, by zwrócić na nie uwagę, ale on ignorował wszystkie bez wyjątku. A potem, nie do wiary, nagle chwycił Coreen za rękę i nie pytając, czy chce z nim zatańczyć, pociągnął na parkiet. Jej serce biło jak oszalałe, kiedy wolno okrążyli salę. Wiedziała, że to było coś więcej niż taniec z poczucia obowiązku, ponieważ jego oczy były półprzymknięte z gniewu. Kiedy światła przygasły, zaprowadził ją do bocznych drzwi i wyprowadził na dwór, wprost w rozświetlony blaskiem księżycy mrok.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytał ostro. Jego błękitne oczy błyszczały jak płomienie zapalek, kiedy patrzył na nią w świetle padającym z okien.

- Nie myśl, że z twojego powodu - odparła pospiesznie, gotowa wyjaśnić, że zgodziła się tu przyjść jedynie na skutek nalegań ojca, który miał zresztą jak najlepsze intencje. Świł nadzieję, że jego córka pozna na tym balu odpowiedniego mężczyznę. Nie domyślał się, że ona jest zadurzona w Tedzie Reganie.

- Naprawdę? - zdziwił się obłudnie Ted, patrząc na nią lodowatym wzrokiem. Opuścił powieki, by nie widziała wyrazu jego oczu. - Pragniesz mnie. Twoje oczy mówią mi to za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz. Możesz uciekać z tańców i nie rozmawiać ze mną na ulicy, ale mylisz się, jeśli myślisz, że tego nie widać.

Popatrzyła na niego rozgniewana.

- Jesteś bardzo pewny siebie!

Zapalił papierosa, nie odrywając od niej ani na chwilę wzroku. Nagle rzucił niedopałek na ziemię i podszedł do niej.

- To nie jest to. - Objął ją jedną ręką i przyciągnął do siebie. Usłyszał, że odycha z trudem.

Jej spojrzenie sprawiło, że się zawahał. Mimo gorączkowych zaprzeczeń najwyraźniej była w siódmym niebie. Jej oddech był urywany i przyspieszony. Podniecało go to jak mało co. Drugą ręką przebiegł po jej ciele i sięgnął nad dekolt sukienki, dotykając delikatnej skóry. Otworzyła usta, a on ją pocałował.

Cichy jęk Coreen, sprawił, że świat zawirował mu przed oczami. W chwili gdy poczuł dotyk jej miękkich, ciepłych warg, zapomniał o dzielącej ich różnicy wieku. Doskonale pamiętał smak tych ust, ponieważ od poprzedniego pocałunku bez przerwy o nich snił.

Wydawało mu się, że jedynie wyobraża sobie przyjemność, jaką mu dawał ich dotyk, ale teraz okazało się, że nie. Rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej olśniewająca od wspomnień. Był bezradny.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, drugą dłonią objął jej małą pierś. Zaprotestowała, ale nie na tyle energicznie, by go powstrzymać. Dotyk tej dużej, cieplej ręki był tak podniecający, że Coreen zaczęła drżeć od nowych doznań. Kurczowo uczepliła się jego ramion, podczas gdy on ją pieścił. Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, że opuścił jedno ramiączko jej sukienki.

Oderwał się na chwilę od jej ust, a potem poczuła jego pocałunki na szyi, ramieniu i w końcu na piersi. Jęknęła i wpiła paznokcie w jego rękę.

- Cicho - wyszeptał. - Chyba nie chcesz, żeby wszyscy się tu zbiegli.

Ponownie przyłożył usta do jej piersi.

Mruczała z rozkoszy pod wpływem jego dotyku, drżała, gdy jego usta sprawiały jej przyjemność. Kiedy się od niej oderwał, zobaczył, że jej oczy są zamglone z podniecenia.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem zsunął drugie ramiączko sukienki i patrzył, jak materiał opada do jej talii. Wygięła się do tyłu, a on pochylił się nad nią. Wahał się przez dłuższą chwilę, chcąc się nasycić do woli widokiem jej odkrytych piersi, po czym znów przywarł do nich ustami, a wówczas Coreen odniosła wrażenie, że razem z

nim płynię wśród gwiazd.

Oparła się na nim, kiedy przerwał. Słyszała jego szybki, urywany oddech, gdy pomógł jej odzyskać równowagę i podciągnął ramiączka sukni. Potem trzymał ją w objęciach, kiedy powoli dochodziła do siebie.

- Jestem pierwszy? - zapytał wprost.

- Tak - odparła. Nie mogła go okłamać. Była zbyt słaba.

Zacisnął mocniej ręce na jej ciele i zaklął pod nosem.

- To źle. To bardzo źle! - rzucił. - Jesteś taka młoda...

Przytuliła miękkie policzek do jego szyi.

- Kocham cię - wyszeptała. - Kocham cię nad życie.

- Przestań! - Odepchnął ją. Jego wzrok był przerażający, rozgorączkowany, groźny.

Gdy się cofnął, na jego twarzy malowało się cierpienie. - Nie chcę twojej miłości!

Z jej spojrzenia dało się wyczytać smutek, łagodność oraz bezradność.

- Wiem - odparła.

Jego twarz tężała, a w końcu zaczęła przypominać maskę bez wyrazu. Zacisnął pięści.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Coreen - powiedział. - Nie mam ci nic do zaoferowania. Zupełnie nic.

- To również wiem - odrzekła, a jej głos był bardzo opanowany, chociaż nogi się pod nią trzęsły. W tej chwili wyglądał, jakby był zdolny do najgorszego aktu przemocy. - Pewnie mi nie uwierzysz, ale przyszedłam tu tylko dlatego, że bardzo tego chciał mój ojciec.

Jego twarz nagle wydała jej się mizerna, przedwcześnie postarzała. Przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

- Nie miej złudzeń co do tego, co się tutaj stało. To była tylko чуć - powiedział bez

ogródek. - Nic więcej, tylko Śądza, której przez chwilę daliśmy upust. Nigdy się nie oŚenię, a słowo „miłość” nie występuje w moim słowniku.

- Tylko dlatego, Śe nie pozwalasz mu się tam znaleźć - wyszeptała.

- Nie twoja sprawa, Coreen - mruknął. Bił od niego chłód, jakiego nie czuła jeszcze nigdy dotąd. Był zimny jak kamień.

Nagle jej uwagę przykuła melodia, którą grano w klubie. Zaśmiała się nerwowo.

Rozpoznała ją. Nosila tytuł „Dzięki za wspomnienia”. Całkiem adekwatny do jej sytuacji!

- Nie łudź się, Śe to był romantyczny wstęp do wielkiej miłości - powiedział z brutalną szczerością. - Spójrz na siebie. Jesteś jeszcze dzieckiem... Chudym podlotkiem z piersiami małymi jak orzeszki. A teraz uciekaj stąd. Zniknij z mojego Śycia i nigdy do niego nie wracaj!

Odszedł, zostawiając ją samą. Odszukała samochód ojca i wsiadła do niego. Ledwo to zrobiła, a zjawił się jej ojciec i zapytał, co się stało.

Odparła, Śe boli ją głowa. Nie wydawał się przekonany tym wyjaśnieniem. Widział, jak wychodziła z Tedem. Nie zadawał jej jednak Śadnych pytań. Zorientował się, Śe spotkała ją jakaś przykrość. Wy tłumaczył kolegom, Śe muszą juŚ jechać, i zabrał ją do domu.

Coreen nigdy więcej nie poszła na Śadne spotkanie klubu strzeleckiego ani nie przyjęła zaproszenia od Sandy, by przyjechać na ranczo i pojeździć konno. A w czasie rzadkich wizyt Teda w sklepie jej ojca po prostu uciekała. Nie chciała spotkać jego wzroku, zawstydzona z powodu swojego braku samokontroli lub usłyszeć uszczypliwych uwag dotyczących jej wyglądu.

Pocieszała się tylko myślą, Śe jak na kogoś, kto uwaŚa, Śe jej piersi są za małe, dotykał ich z zadziwiającą lubością. Wiedziała jednak bardzo mało o męŚczyznach. MoŚe w ten sposób Ted chciał ją ukarać? Ale w takim razie dlaczego ręce mu drŚały?

W końcu jakoś się uporała z tym problemem. Postanowiła zamknąć Teda w szufladce

pamięci z napisem „Przeszłość”. Udawała przed samą sobą, że tamtego wieczoru nigdy nie było.

Jakiś czas później ojciec Coreen miał atak serca, po którym już nigdy nie wrócił do zdrowia. Teraz to ona musiała wziąć interesy w swoje ręce. Niezbyt dobrze sobie z tym radziła i zaczęło im grozić bankructwo.

Wówczas w jej życiu pojawił się Barry. Coreen i jej ojciec byli zmuszeni wystawić sklep na sprzedaż. Barry okazał się zainteresowany kupnem. Był również zainteresowany Coreen i nagle okazało się, że jest wprost niezbędny do życia zarówno jej, jak i ojcu.

Dostarczał im wszystko, czego potrzebowali, mimo jej nieśmiałych protestów.

Był zawsze w pobliżu, dając jej ukojenie i delikatne pieszczoty. Z jednej strony

Coreen była załamana prognozami lekarzy, z drugiej złakniona dobroci. Zachowanie Teda sprawiło, że coś w niej pękło. Zatem zainteresowanie Barry'ego było niczym balsam na jej rany.

Kiedy Ted dowiedział się, że jego ulubiony kuzyn spotyka się z Coreen, nagle sobie o niej przypomniał. Podczas wizyt u jej ojca wpatrywał się w nią śladowym, niepokojącym wzrokiem. Był łagodny, prawie nieśmiały, kiedy z nią rozmawiał. Coreen zdążyła się już jednak czegoś nauczyć. Była chłodna, obojętna i ledwie uprzejma, jakby w ogóle się nie znali.

Kiedy on podchodził bliżej, ona odsuwała się. Za pierwszym razem Ted poczuł się mocno zbity z tropu.

I wtedy zmienił taktykę. Stał się wobec niej okrutny, jakby nie domyślał się, że ona właśnie teraz rozpaczliwie potrzebuje czułości. Kiedy nie było w pobliżu jej ojca, drwił z niej i Barry'ego, sugerując, że próbuje usidlić jego bogatego kuzyna, oraz twierdząc, że robi to wyłącznie dla pieniędzy. Wszyscy w Jacobsville wiedzieli, że sklep znajduje się na granicy bankructwa, a góra rachunków za leczenie chorego ojca ciągle rośnie.

Te drwiny ją przerażały. Wiedziała, jak beznadziejna jest ich sytuacja, ale nie śmiała poprosić Teda o pomoc. Ironia losu polegała na tym, że to właśnie jego postawa pchnęła ją w ramiona Barry'ego. Jej bezbronność najmocniej przemawiała do kuzyna Teda. Zajął się wszystkim, spłacając ich długi i zdejmując ciężar z ramion Coreen.

W dniu śmierci jej ojca Barry wziął sprawy w swoje ręce, pokrył koszty pogrzebu, po czym poprosił Coreen o rękę. Była zmieszana i przerażona. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Kiedy Ted zaszedł do niej, by złożyć kondolencje, Barry nie pozwolił mu się z nią zobaczyć. Ted odjechał wściekły, a Barry przekonał Coreen, że jego kuzyn w rzeczywistości wcale nie chciał z nią rozmawiać.

Przez cały pogrzeb Barry nie odstępował jej ani na krok, trzymając ją jak najdalej od podejrzliwych, zaniepokojonych spojrzeń Teda. Tego samego dnia przedstawił jej wypełniony wniosek o udzielenie ślubu i namówił do poddania się badaniu krwi.

Ted wyjechał w interesach do Europy zaraz po tym, jak odmówił zostania drużbą Barry'ego. Jego wyraz twarzy, kiedy Barry oznajmił mu, że się z Coreen, był nie do opisanego. Popatrzył na Coreen tak straszonym wzrokiem, że aż zdrętwiała. Wyszedł bez słowa i jeszcze tego samego dnia wsiadł do samolotu lecącego do Europy.

Dla Coreen było to ostateczne potwierdzenie, że nie obchodzi go, co ona zrobi ze swoim życiem. W każdym razie tak długo, dopóki nie będzie miało to nic wspólnego z jego osobą. Doszła do wniosku, że skoro nie może być z mężczyzną, którego naprawdę kocha, może równie dobrze poślubić Barry'ego, jak i każdego innego.

Okazało się jednak, że mało wie o wyzwaniach, jakie stawia przed kobietą małżeństwo, a jeszcze mniej o mężczyznach takich jak Barry i o tym, jacy są naprawdę po zdjęciu maski, którą noszą w obecności innych.

Po ślubie życie Coreen stało się jednym pasmem udręki i nieszczęść. Barry'emu obca

była czułość i nie potrafił w normalny sposób osiągnąć satysfakcji w łóżku. Jego sadyzm zniszczył jej poczucie własnej wartości, a w końcu stała się niezdarna i zamknięta w sobie. Ted w ogóle się u nich nie pokazywał, a zaproszenia Sandy były ignorowane przez Barry'ego. Robił wszystko, by zniszczyć ich przyjaźń. Choć i tak, prawdę mówiąc, nie było co niszczyć. Ted przeprowadził się do Victorii i zabrał Sandy ze sobą, czyniąc ze starej rodzinnej posiadłości Reganów dom letni i zostawiając rancho pod opieką Emmetta Deverella.

Barry doskonale wiedział, co Coreen czuje do Teda. W końcu stał się on najlepszą bronią w jego arsenale, jego ulubionym sposobem demonstrowania swojej władzy nad Soną. Uwielbiał znęcać się nad nią, przypominając jej o mężczyźnie, który nią wzgardził. Dopiero w jakiś rok po ślubie Ted przyjął zaproszenie Barry'ego i złożył im wizytę. Coreen nie spodziewała się, że przyjedzie, a jednak to zrobił.

Już wtedy bała się Barry'ego bardziej, niż sobie wyobrażała, że jest to możliwe. Był impotentem, a jego praktyki seksualne były upokarzające i odraśające. Kiedy był pijany, co po ślubie stało się normą, stawał się jeszcze bardziej brutalny. Winił ją za swoją impotencję i miał do niej pretensję o jej zauroczenie Tedem. Wracał do tego tak obsesyjnie, że w końcu sztywniała na sam dźwięk imienia „Ted”. Kilka razy usiłowała od niego odejść, ale jako człowiek bogaty za każdym razem znajdował sposoby, by ją odszukać i poradzić sobie z nią oraz z każdym, kto chciał jej pomóc. W końcu przestała próbować, ponieważ nie chciała doprowadzić do tragedii.

Kiedy Barry zaczął interesować się innymi kobietami, niemal odczuła ulgę. Na długi czas zostawiał ją w spokoju. Zastanawiało ją tylko, czy ze swoimi kochankami też nic nie może działać. Zaczął ją jednak dręczyć na nowo, kiedy spotkał przypadkiem Teda na jakiejś konferencji i zaprosił go do Jacobsville.

Podczas tej krótkiej wizyty Ted przyglądał jej się ukradkiem, zupełnie jakby coś nie dawało mu spokoju. Wydała mu się zastraszona, a kiedy Barry ją o coś prosił, od razu spełniała jego prośbę.

- I co powiesz? - zaśmiał się Barry. - CzyŜ moja Œona nie jest idealną panią domu?

Tedowi wcale nie było do śmiechu. Dostrzegł na twarzy Coreen wyraz udręki oraz Œałosną chudość jej ciała. ZauwaŜył równieŜ barek pełen trunków i nie omieszkał uczynić na ten temat uwagi, ponieważŜ Barry i Coreen mieszkali w domu Tiny, a dla nikogo nie było tajemnicą, Œe matka Barry'ego nie znosi alkoholu.

- Odrobina alkoholu jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a Coreen ma słabość do ginu - odparł Barry. - Prawda, kochanie?

Coreen odwróciła wzrok.

- Prawda - skłamała. Ostrzegł ją wcześniej, co się stanie, jeśli ośmieli się nie zgodzić z jego słowami. Zapowiedział teŜ, Œe jeśli będzie patrzyła na Teda, wyciągnie w stosunku do niej surowe konsekwencje. Zrozumiała, Œe zaprosił Teda tylko po to, by ją jeszcze bardziej dręczyć. Co gorsza, udało mu się to. W tak wyśmienitym humorze nie widziała go od paru miesięcy.

- Zrób nam drinki - polecił jej Barry, po czym zwrócił się do swojego kuzyna. - Czego się napijesz?

Ted odmówił. Nie zabawił u nich długo. Była to jego pierwsza i ostatnia wizyta w ich domu. Barry spotykał się z nim od czasu do czasu poza domem i za kaŜdym razem nie omieszkał donieść Coreen, jak bardzo Ted mu współczuje. Wiedziała, Œe Barry wygaduje o niej niestworzone historie, ale za bardzo się bała, by go zapytać o szczegóły.

Jej Œycie straciło sens. Na domiar złego jej wcześniejsza niezdarność wyraźnie się zwiększyła. Ciągle wpadała na doniczki z kwiatami albo potykała się o dywany. Barry

pogarszał jeszcze jej stan, bez przerwy zwracając na to uwagę, Śartując z niej w niewybredny sposób i obrzucając ją wyzwiskami. W końcu przestała reagować. Jej poczucie własnej wartości stało się tak niskie, Śe juŚ się nawet nie broniła.

Próbowała uciec. Ale zawsze ją znajdował...

Barry wspomniał kiedyś, Śe jego matka, Tina, kontrolowała go przez całe Śycie. Być moŚe jego słabość miała źródło w jej dominacji i braku ojca.

Coraz częściej pił. Nie krył się juŚ nawet ze swoimi zdradami. Był teŚ jednak mniej zainteresowany dręczeniem Śony. AŚ do dnia poprzedzającego dzień wypadku, w którym zginął. Coreen dostała wówczas kartkę od Sandy z Śyczeniami urodzinowymi. Widniał na niej równieŚ podpis Teda. Barry na jego widok wpadł w szał. Upił się i w nocy rzucił się na Coreen z noŚem... Przygniótł ją całym ciężarem na kanapie i zagroził, Śe poderŚnie jej gardło.

Nagły szum głosów wyrwał Coreen z zamyślenia. Otrząsając się ze wspomnień, wróciła do teraźniejszości. Jej wzrok spoczął na wielkim dębowym biurku, za którym siedział notariusz. Uświadomiła sobie, Śe właśnie kończy odczytywanie testamentu Barry'ego.

- Tak to wygląda - podsumował, zerkając na zebranych zza okularów. - Pan Barry

Tarleton cały majątek zapisał matce. Jedynym wyjątkiem jest ogier, którego ofiarował swojemu kuzynowi, panu Tedowi Reganowi. Oprócz tego przeznaczył sto tysięcy dolarów dla pani Coreen Tarleton. Sumą tą do chwili ukończenia przez panią Tarleton dwudziestego piątego roku Śycia będzie zarządzał pan Ted Regan. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Ted popatrzył kątem oka na Coreen, ale na jej twarzy nie widać było szoku czy zaskoczenia. Był tylko wyraz rezygnacji i przeraŚający spokój.

Tina zerwała się na równe nogi. Spojrzała zimno na dziewczynę.

- Dam ci trochę czasu na opuszczenie tego domu. Dokładnie tyle, Śeby uniknąć plotek.

Tylko dlatego nie wyrzucę cię stąd od razu. UwaŚam, Śe jesteś winna śmierci mojego syna.

Nigdy ci tego nie wybaczę. - Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Coreen nie odpowiedziała. Wpatrywała się w swoje ręce, które bezwładnie spoczywały na kolanach. Nie mogła patrzeć na Teda. Została bez dachu nad głową, a on miał władzę nad jedyymi pieniędzmi, które jej zostały. Oczami wyobraźni ujrzała, jak pada przed nim na kolana, błagając, by kupił jej nową parę pończoch. Musi znaleźć pracę, i to szybko.

- Mogła poczekać przynajmniej do jutra - mruknęła Sandy do brata, kiedy wyszli przed dom. Tina właśnie wsiadała do lincolna.

- Dlaczego on to zrobił? - zapytał Ted ze szczerym zdziwieniem w głosie. - Na miłość boską, przecieŜ był milionerem! I jeszcze na dodatek wciągnął mnie w całą tę szopkę. Ta dziewczyna nie będzie miała ani grosza przez cały następny rok, aŜ skończy dwadzieścia pięć lat! Będzie mnie musiała prosić nawet o pieniądze na benzynę!

Sandy popatrzyła na niego zdumiona, Őe nagle tak bardzo zaczął go martwić los Coreen.

- Da sobie radę - zapewniła go. - Wiedziała, Őe Barry nie zostawi jej pieniędzy. Była na to przygotowana. Powiedziała mi, Őe to nie ma dla niej Őadnego znaczenia.

- Do diabła, oczywiście, Őe ma! Ktoś powinien jej to uświadomić! MoŜe domagać się w sądzie przyznania renty po męŜu! - gorączkował się.

- Wątpię, by to zrobiła. Pieniądze nigdy nie były dla niej najwaŜniejsze. Nie wiesz o tym?

Ted nie odpowiedział. ZmruŜył oczy i w zamyśleniu zapatrzył się w dal.

- ZauwaŜyłeś, Őe ona dziwnie wygląda? - zapytała Sandy z troską. - Naprawdę dziwnie. Mam nadzieję, Őe nie przyjdzie jej nic głupiego do głowy.

- Ruszam - postanowił Ted, idąc do swojego samochodu. - W drodze do domu chcę jeszcze wstąpić do tego notariusza.

Sandy zaszępiła się, kiedy na niego spojrzała. Martwiła się, ale nie problemami finansowymi Coreen ani testamentem, lecz tym, że przyjaciółka po ślubie z Barrym tak się zmieniła. Powiedziała jej kiedyś, że lubi skoki ze spadochronem i loty szybowcem, zwłaszcza kiedy jest czymś zmartwiona, ponieważ to ją uspokaja. Ale opowiadała też o przedziwnych wypadkach, które ciągle jej się przytrafiały. Czasami Sandy zdawało się, że Barry rzucił na nią jakiś urok. Kilka razy na początku ich małżeństwa, kiedy jeszcze widywała się z przyjaciółką, zanim Barry je odseparował, była świadkiem tego, jak wielką przyjemność czerpał z udowadniania jej, jaką jest niezdara.

Ted nie miał pojęcia o tych wypadkach. Aż do pogrzebu Barry'ego odchodził na sam dźwięk imienia Coreen, zupełnie jakby rozmowa o niej sprawiała mu zbyt wielką przykrość. Miał dziwne nastawienie do jej przyjaciółki. Sandy wiedziała, że brat nie interesuje się za bardzo kobietami, ale sposób, w jaki traktował Coreen, był intrygujący. A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, jak wyglądał, trzymając ją w objęciach w salonie. Wyraz jego twarzy był pełen bólu, nie nienawiści.

Nigdy nie zrozumie swojego brata. Gwałtowność jego reakcji w stosunku do Coreen stała w całkowitej sprzeczności z czułością, jaką jej wtedy okazywał. Może jednak na swój sposób coś do niej czuje, ale po prostu nie zdaje sobie z tego sprawy?

Sandy została z Coreen na noc. Zaproponowała jej, by zamieszkała na ich ranczu, dopóki nie znajdzie sobie mieszkania. Coreen odmówiła, wzdrygając się na samą myśl, że każdego ranka przy porannej kawie musiałyby patrzeć na Teda.

Nazajutrz Coreen wyprawiała Sandy do domu po długiej, bezsennej nocy, w czasie której obwiniała siebie i rozpamiętywała zarzuty Teda.

- Dopiero co się tam wprowadziliśmy - mówiła Sandy. - Nie pamiętasz? Mniej więcej

w tym samym czasie, kiedy ty poślubiłaś Barry'ego, Ted wydzierżawił ranczo i przenieśliśmy

się do Victorii. Teda nie ma teraz w domu całymi dniami, przebywa głównie na naszej farmie pod Jacobsville, którą prowadzi dla niego Emmett Deverell z rodziną. Na ranchu mamy konie czystej krwi i kilka wierzchowców. Będziemy na nich jeździć. Jak dawniej. Pojedź ze mną.

Uzgodnię to z Tedem - nalegała Sandy.

- żeby doprowadził mnie do załamania nerwowego? - roześmiała się gorzko Coreen. -

Nie, dzięki. Przecież on mnie nienawidzi. AŜ do wczoraj nie wiedziałam jak bardzo. Wolałby, Őby to ja leŜała w grobie, a nie Barry, nie rozumiesz? UwaŜa mnie za morderczynię...

Sandy uściskała roztrzęsioną przyjaciółkę.

- Mój brat to idiota! - powiedziała gniewnie. - Słuchaj, on nie jest taki gruboskórny, jak się wydaje. Naprawdę.

- Zawsze był wobec mnie okrutny - odparła Coreen, odsuwając się od niej. - Powiedz mu, Őe moŜe zrobić, co chce, z tym spadkiem, nie potrzebuję go. Poradzę sobie sama. Őyczę ci szczęścia, Sandy. Czeka cię wielka kariera w tej twojej firmie komputerowej. Pomyśl o mnie od czasu do czasu. Staraj się pamiętać tylko to co dobre.

Sandy poczuła, Őe robi się jej zimno. Coreen znów sprawiała wrażenie rozkojarzonej.

Miała w ostatnich latach dwa niebezpieczne wypadki, które spowodowała jej pasja latania.

Ich efektem były złamana noga i dwa Őebra. Sandy za kaŜdym razem jechała do szpitala, by się z nią zobaczyć, ale Barry cały czas był przy niej, nie pozwalając Coreen mówić zbyt duŜo o wypadku.

- Proszę cię, uwaŜaj na siebie. Naprawdę za często coś ci się przytrafia - wyszeptała.

Coreen zadrŜała.

- Nie martw się - powiedziała. - JuŜ nic mi się nie stanie. Ludzie, z którymi skaczę,

dobrze mnie pilnują. Będzie lepiej. Nie bój się, nie mam samobójczych myśli - dodała i

zobaczyła, Őe jej przyjaciółka czerwienieje. - Nie zabiję się z powodu tego, co o mnie myśli

Ted. Nie dam mu tej satysfakcji.

- Ted ci źle nie życzy - zaprotestowała Sandy.

- Oczywiście, że nie - odparła Coreen pojednawczym tonem. - A teraz wracaj do domu. Trudno mi się z tobą rozstawać, ale masz przecież własne życie. Dziękuję, że byłaś ze mną. Bardzo tego potrzebowałam.

- Ted przyjechał tu z własnej woli - dodała Sandy. - Wcale go do tego nie namawiałam.

Niebieskie oczy Coreen pociemniały z żalu.

- Przyjechał, żeby się na mnie mścić za śmierć Barry'ego - odparła. - Zawsze znajdował sposoby, żeby się na mnie odgrywać, nawet za to, że mi na nim zależało.

- Dobrze wiesz, dlaczego Ted nikogo do siebie nie dopuszcza - powiedziała Sandy półgłosem. - Nasza matka była o wiele młodsza od taty. Odeszła z innym mężczyzną. Tata zniósł to bardzo ciężko. Zasiał w Tedzie nieufność do kobiet, a ja byłam dla ojca kozłem ofiarnym, dopóki nie umarł. Ted jest dla mnie dobry i lubi ładne kobiety, ale nie chce się angażować.

- Zauważyłam.

Sandy przyjrzała jej się bacznie.

- Zmienił się po twoim ślubie. Przez ostatnie dwa lata wydawał się taki obcy... Po powrocie z wizyty, którą złożył ci i Barry'emu, wyjechał na miesiąc do Kanady, a potem przeprowadził się do Victorii. Nie mógł znieść, kiedy mówiło się o tobie.

- Bóg wie czemu, bo nigdy nie zrobiłam mu nic złego. Wiedział, że Barry chce się ze mną ożenić, i uważał, że jestem z nim tylko dla pieniędzy, ale nigdy nie próbował nas powstrzymać.

Sandy nie drążyła tego tematu.

- Przyślij mi kartkę, jak już będziesz wiedziała, gdzie zamieszkaś - powiedziała. -

Zadzwoń wtedy do ciebie. Mogłybyśmy kiedyś pójść razem na lunch...

Coreen wyraźnie się zmieszała.

- Oczywiście. - Spojrzała na przyjaciółkę. - Ta kartka urodzinowa, którą mi przysłaliście...

- Byłaś zaskoczona, prawda? - zapytała Sandy. - Ja też. Ted był akurat po rozmowie z Barrym. A dzień czy dwa później zobaczył wasze zdjęcie w gazecie, którą kupił w Victorii.

Nic wtedy nie powiedział. Nie uśmiechałaś się na nim i byłaś jakaś taka... krucha.

Coreen przypominała sobie tę fotografię. Ona i Barry byli na balu dobroczynnym, na którym jej mąż się upił. O wiele bardziej niż zwykle. Była u kresu wytrzymałości, kiedy jak spod ziemi wyrósł przed nimi fotoreporter.

- Potem Ted przypomniał sobie, że zbliżają się twoje urodziny - kontynuowała Sandy.

- I kupił tę kartkę. Jak na człowieka, który cię nienawidzi, to dosyć dziwny gest, nie uważasz?

Coreen zastanawiała się przez chwilę, co mogło powodować Tedem. Czy wiedział, jak bardzo zazdrosny jest o niego Barry? Czy zrobił to, by przysporzyć jej kłopotów? Nie mogła uwierzyć, że mógłby się do tego posunąć. W każdym razie to ta kartka sprowokowała Barry'ego do grośnienia jej nośem tamtej ostatniej nocy. Czy to możliwe, że było to zaledwie tydzień temu? Przeszył ją zimny dreszcz.

Pośegnała się z przyjaciółką i patrzyła, jak odjeżdża. Kiedy samochód zniknął jej z oczu, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer.

- Halo, to ty Randy? - zapytała ze śmiechem. - Kiedy następne skoki? Jutro? Dobrze, w takim razie wpisz mnie na listę. Nie, nie boję się burzy. Pewnie nawet nie będzie pochmurno, wiesz, jak często prognozy pogody się nie sprawdzają. Poza tym potrzebuję odmiany. Do zobaczenia na lotnisku o ósmej.

- Już się robi, kochanieńka.

Odłożyła słuchawkę i poszła sprawdzić swój sprzęt spadochroniarski. Na razie nie chciała myśleć o tym, że już niedługo będzie musiała opuścić ten dom. Postanowiła, że zacznie szukać nowego mieszkania oraz pracy dopiero po południu następnego dnia.

Było pochmurno, ale nie na tyle, by ostudzić entuzjazm skoczków.

Skoki z samolotu dostarczały Coreen doznań, które nieodmiennie wprawiały ją w radosny nastrój. Tego nie mogło zmącić nawet bolesne szarpnięcie pasków na ramionach, kiedy otwierała się czasza spadochronu. Ludzie na ziemi nie doświadczają tego nagłego podwyższenia poziomu adrenaliny, jaki towarzyszy skokom. Uwielbiała to uczucie.

Dorównywało jedynie największej przyjemności, jakiej doznawała w Syciu: niespodziewanemu ujrzeniu twarzy Teda Regana.

Pociągnęła za linki, by spadochron skręcił, szukając miejsca, w którym miała wylądować. Dwaj pozostali skoczkowie byli pod nią. Ale nagły podmuch wiatru zaczął ją ściągać w kierunku, w którym nie chciała lecieć, a kiedy spojrzała do góry, zobaczyła olbrzymią błyskawicę.

Robiła wszystko, co mogła, by nie wpaść w panikę, i w szalonym pośpiechu, by skierować spadochron we właściwym kierunku, utraciła nad nim kontrolę.

Znosiło ją w stronę linii wysokiego napięcia. Czytała kiedyś, że balon uderzył w taką linię i nikt nie przeżył. Wyobraziła sobie, że teraz ona wpadnie na przewody, tańczące na nich iskry...

Rozległ się następny grzmot. Z bezradnym okrzykiem szarpnęła za linki i zmieniła położenie ciała, starając się zmusić uparty spadochron do przeciwstawienia się wiatrowi i podporządkowania jej woli. Czowała, że ta walka jest skazana na niepowodzenie. Była jednak waleczna i do ostatniej chwili nie zamierzała się poddać. Błyskawica uderzyła tuż obok niej.

Coreen zamknęła oczy, zacisnęła zęby i kolejny raz usiłowała zmienić kierunek lotu.

Linia wysokiego napięcia była coraz bliżej. Coreen podkurczyła nogi i ponownie szarpnęła. Prawie dotykała kabli stopami, prawie... Jednak kolejny podmuch wiatru zniósł ją nieco, zaledwie o kilka centymetrów, ale to wystarczyło, by minęła przeszkodę.

Odetchnęła z ulgą. Zaczęło padać. Zamknęła oczy i zmówiła modlitwę dziękczynną.

Kiedy podniosła powieki, zobaczyła przed sobą złowieszczą, czarną burzową chmurę.

Dopiero teraz dostrzegła teś to, na co kilka minut wcześniej nie zwróciła uwagi. Miała przed sobą gęsty las sosnowy poprzątkany drzewami liściastymi. Drzewa jak okiem sięgnąć. Nie było żadnego pola, żadnego miejsca, w którym mogłaby wylądować. Spadnie na te drzewa.

A jeśli zawisnie na czubku któregoś z nich? Czy zatrzyma się tam? Czy gałęzie nie utrzymają jej ciężaru, a ona runie na ziemię? A jeśli to będzie ten wielki dąb? Jeśli zapłacie się w jego poskręcanych konarach, nie znajdą jej aż do pierwszego mrozu!

W innych okolicznościach taka myśl by ją rozbawiła, ale teraz była zbyt pochłonięta ratowaniem życia i wcale nie było jej do śmiechu.

Już nie próbowała zmieniać kierunku lotu. I tak nie miało to sensu. Gdy piorun uderzył w jedno z drzew, dostrzegła obłok dymu.

Pomyślała, że notatka o jej śmierci będzie interesującym dodatkiem do kolumny z nekrologami w lokalnej gazecie. Cóż, przynajmniej zejdzie z tego świata w niekonwencjonalny sposób.

Wyobraziła sobie minę Teda Regana, kiedy o tym przeczyta. Miała nadzieję, że ten, kto zajmie się przygotowaniami do pogrzebu, nie dopuści, by Ted stał nad jej trumną i robił obraźliwe uwagi na temat jej podłego charakteru.

Drzewa były coraz bliżej. Widziała już pojedyncze gałęzie i z rezygnacją pozwoliła swojemu ciału się odprężyć. Jeśli nawet nie zginie od impetu zderzenia z ziemią lub

drzewem, prawdopodobnie trafi w nią piorun. Tyle razy kusiła los, że w końcu się doczekała.

To nie będzie próba samobójstwa, chociaż ludzie pewnie tak pomyślą. Tego dnia chciała się tylko zrelaksować, zaznać trochę wolności, zanim spróbuje poukładać sobie życie na nowo. Chciała zapomnieć o zarzutach Teda i jego lodowatym spojrzeniu.

Przypomniła sobie mocny uścisk jego ramion. Czy jej współczuł przez tych kilka chwil, kiedy trzymał ją w objęciach? Czy też był to zwyczajny odruch, naturalna reakcja mężczyzny, który trzyma w ramionach kobietę? Nigdy już się tego nie dowie.

Przypomniła sobie jego błękitne spojrzenie i dotyk jego warg dawno temu. Zamknęła oczy, czekając na śmierć. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślała, że tam, dokąd idzie, zapewne uda jej się zapomnieć o jedynym mężczyźnie, którego w swoim krótkim życiu pokochała. Być może po jej śmierci Ted będzie w stanie wybaczyć jej wszystko, o co ją obwiniął.

Uderzenie było nagłe i zaskakująco bezbolesne. Czowała tylko, że całym ciałem trze o szorstkie liście i gałęzie, potem o coś uderzyła głową. Pochłonęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ted Regan siedział przy biurku, przeglądając dokumenty. Sandy dopiero co wyszła z domu. Nagle drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i jego siostra wpadła do środka roztrzęsiona i czerwona na twarzy.

- Co się stało? - zapytał, odkładając papiery na bok.

- Coreen... - wykrztusiła Sandy. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. - Właśnie mówili o niej w radiu... Miała straszny wypadek!

Serce podskoczyło mu do gardła. Zerwał się z fotela i chwycił ją za ramiona. Był przerażony.

- żyje? - zapytał. Gdy siostra nie odpowiedziała, potrząsnął nią z całej siły. - Mów! Co

jej się stało?

- Zabrali ją do szpitala w Jacobsville. W radiu mówili, że skakała ze spadochronem i spadła na drzewa albo linię wysokiego napięcia... Nie powiedzieli, w jakim jest stanie.

Wybiegł z domu, nie zatrzymując się nawet po to, by wziąć kapelusz. Później nie potrafił przypomnieć sobie, w jaki sposób dojechał na miejsce.

W szpitalu zaczął się domagać w recepcji informacji o stanie zdrowia Coreen, po czym udał się do sali pooperacyjnej, nie zważając na głośne protesty pielęgniarki.

Coreen leżała na łóżku ubrana w spraną szpitalną koszulę. Na twarzy i rękach miała niezliczone zadrapania i siniaki. Spała.

- Co z nią? - zapytał pielęgniarkę w średnim wieku, która sprawdzała jej funkcje życiowe.

- Wyjdzie z tego - odparła kobieta. - Doktor Burns udzieli panu szczegółowych informacji o jej stanie. Jest pan krewnym pacjentki?

Zawahał się. Pomyślał, że w zasadzie jest z Coreen spokrewniony. Gdyby powiedział, że nie jest jej rodziną, na pewno by go wyproszono i niczego by się nie dowiedział.

- Tak - odparł zdecydowanym tonem.

- Panie doktorze! - Pielęgniarka zawołała stojącego na korytarzu mężczyznę w zielonym fartuchu. - Ten pan jest krewnym pani Tarleton.

Ted przedstawił się. Kiedy lekarz usłyszał nazwisko, jego twarz się rozpromieniła.

Przywitał się z Tedem wylewnie.

- Mam nadzieję, panie Regan, że pan wie, jak bardzo jesteśmy wdzięczni za to, że ufundował pan naszemu szpitalowi oddział intensywnej terapii dziecięcej - powiedział.

- Och, to drobiazg - odparł Ted. - Zrobiłem to z największą przyjemnością. Proszę mi powiedzieć, co z nią? Czy jest bardzo źle? - zapytał, gestem głowy wskazując na Coreen.

- Lekkie wstrząśnienie mózgu, złamane Œebro i przebity wyrostek. Wszystko juŒ naprawiliŒmy. Pani Tarleton musi teraz odpocząć, ale szybko dojdzie do siebie. KtoŒ jednak powinien zwrócić jej uwagę, Œe nie powinna skakać ze spadochronem w czasie burzy. To juŒ jej drugi taki powaŒny wypadek w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, Œe nie wspomnę o jej wizycie u nas po tym, jak rozbił się szybowiec, którym leciała, czy o tym, Œe jakiś czas temu przywieziono ją do izby przyjęć, bo potknęła się i pokaleczyła o brzeg arkusza blachy falistej. Ted z trudem zachował spokój.

- O jakim wypadku szybowca pan mówi? - zapytał.

Doktor Burns popatrzył na niego podejrzliwie.

- Podobno jest pan jej krewnym.

- Dalekim - przyznał. - Pani Tarleton wczoraj pochowała męŒa.

- Tak, wiem.

- Przez jakiś czas mieszkałem w Victorii. WłaŒnie przeprowadziłem się z powrotem do domu swojego ojca.

- Ach tak, do starej rezydencji Reganów.

- W istocie - powiedział Ted. - Ostatni raz rozmawiałem z Barrym Tarletonem kilka tygodni temu. To mój kuzyn. To dziwne, Œe nie wspomniał o Œadnym wypadku swojej Œony.

- To rzeczywiŒcie doŒyć niezwykle - zgodził się z nim lekarz. Spojrzał na Coreen. -

Podobno jest strasznie roztrzępana. Jej męŒ nam opowiadał, Œe przyjaciółka poŒyczyła jej szybowiec. Podleciała za blisko drzew. Całe ŒczęŒcie, Œe szybowiec był ubezpieczony.

Radziłbym na nią uwaŒać. Przynajmniej dopóki nie dojdzie do siebie. Mówiąc Œczerze, przydałaby jej się pomoc psychologa. To naprawdę niepokojące, Œe tak często zdarzają się jej powaŒne wypadki. Musi się coŒ za tym kryć. MoŒe przed czymŒ ucieka albo się czegoŒ boi?

Ted myŒlał o słowach lekarza, kiedy wraz z Sandy pili kawę w poczekalni, czekając na

przeniesienie Coreen z sali pooperacyjnej. Pacjentka była przytomna, ale odurzona środkami znieczulającymi.

- Wiedziałaś o tym, że już przedtem zdarzały jej się wypadki? - zapytał siostrę.

Skinęła głową.

- Byłam u niej w szpitalu, a w każdym razie próbowałam się do niej dostać. Barry wyraźnie nie był zachwycony moim widokiem. Pozwolił mi tylko złożyć jej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Nawet w takich okolicznościach trzymał wszystkich od niej z daleka.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie chciałam wiedzieć - odparła. - Przecież nienawidzisz Coreen. Powiedziała mi to, zanim od niej wyszłam. Trzeba było widzieć jej spojrzenie... - Skrzywiła się. - Mówiła też, że bym starała się zapamiętać ją tylko z dobrej strony. Bardzo dziwnie to zabrzmiało.

Przestraszyłam się, że planuje coś głupiego. Uwielbia skoki ze spadochronem, ale jest taka niezdarna...

- Pamiętam, że zanim wyszła za męża, wcale taka nie była - zauważył. - Od jak dawna się tak zachowuje?

Siostra podniosła na niego spojrzenie.

- Zaczęło się to jakiś miesiąc po ślubie... - zaczęła. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Barry uznał, że Coreen i ja nie powinniśmy się spotykać.

Ted był zszokowany. Palił nerwowo papierosa za papierosem i zastanawiał się, czy to nie jego zachowanie podczas pogrzebu doprowadziło do tego wypadku. Czyżby Coreen miała tak duże wyrzuty sumienia, że nie mogła z nimi żyć? Nie takie były jego intencje. Bardzo lubił swojego młodego kuzyna, który chętnie korzystał z jego rad i pomocy. Można powiedzieć, że w tym względzie Ted zastępował mu rodziców. A Coreen pozwoliła, by Barry

usiadł za kierownicą po pijanemu. Nie mógł jej tego darować. To tak, jakby skazała go na śmierć.

- Jutro albo pojutrze pojedę po jej rzeczy. Poproszę Henry'ego, żeby mnie wpuszczał do ich domu - powiedziała Sandy, dopijając kawę. - Tina pewnie niedługo zmieni zamki w drzwiach i Coreen nie będzie miała gdzie się podziać. Na razie zamieszka ze mną w Victorii...

- Zabierzemy ją na ranczo - oznajmił Ted tonem nieznoszącym sprzeciwu. - I będziemy mieli na nią oko.

Sandy bacznie się mu przyjrzała.

- Nie będziesz jej dokuczał?

- Postaram się schodzić jej z drogi - odparł. Zirytowała go sugestia, że mógłby chcieć ją skrzywdzić właśnie teraz, kiedy o mało nie zginęła. Przeszył siostrę wściekłym spojrzeniem. - Taki układ powinien jej odpowiadać.

Podniósł się i ruszył korytarzem. Sandy patrzyła za nim z zaciekawieniem.

Coreen leżała, czując każdy, nawet najmniejszy siniak i zadrapanie. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł znajomo wyglądający mężczyzna.

- Cześć - powiedziała bez uśmiechu, kiedy go rozpoznała. - Przyszedłeś cieszyć się z mojego nieszczęścia? Wybacz, że cię rozczarowałam, ale jeden pogrzeb w tygodniu w zupełności wystarczy.

Włożył ręce do kieszeni i stanął przed łóżkiem. Popatrzył jej uważnie w oczy i uznał, że za tym buńczucznym powitaniem kryje się lęk.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Przyłożyła rękę do posiniaczonego czoła.

- Jestem zmęczona - odparła.

- Kto to słyszał, żeby skakać z samolotu w czasie burzy?! - powiedział z wyrzutem. -

Szczyt niedojrzałości!

Popatrzyła na niego z rezygnacją.

- Ted, zostaw mnie w spokoju - poprosiła zmęczonym głosem. - Nie mam siły z tobą się kłócić.

Ze ściśniętym sercem zbliżył się do łóżka.

- Ty głuptasie - wyszeptał.

Pochylił się, jedną rękę opierając na jej poduszce, i niespodziewanie ją pocałował.

Zaskoczona aż się skuliła.

Wyczuł jej mimowolny odruch i szybko oderwał wargi od jej ust. Popatrzył jej w oczy. Nie miał pojęcia, czego właściwie się spodziewał, ale na pewno nie takiej reakcji.

- To coś nowego - zauważył, patrząc na nią w zamyśleniu.

Coreen z trudem łapała oddech.

- Nie rób tego więcej - wyszeptała.

- Niby czemu? - zapytał gniewnie. - Były czasy, kiedy wiele byś za to dała.

Spoglądała na mnie błagalnym wzrokiem za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy. Ale teraz już tego nie czujesz, prawda? Czy wiesz, że Barry płakał, kiedy opowiadał mi o twojej oziębłości, o tym, że nie pozwalasz nawet się dotknąć...

Rozpłakała się, łzy jak groch spływały jej po policzkach.

- To było podłe z mojej strony. - Z trudem wydobywał z siebie głos. - Przepraszam,

Corrie, nie chciałem... - Znow się pochylił i zaczął okrywać jej bladą twarz delikatnymi, czuлыми pocałunkami, w końcu docierając do jej drżących warg. - Corrie... - jęknął, kiedy ich usta się spotkały.

Uniosła dłoń, by odepchnąć jego głowę.

- Nie rób tego - powtórzyła.

Jej ręka drżała. Ujął ją, ogrzał i przyłożył do warg.

- Jak mogłaś być tak nieostrośna? - zapytał chropawym głosem, odrywając usta od jej dłoni. Coreen bezskutecznie starała się wyrwać ją z jego uścisku.

- Nie zmartwiłbyś się, gdybym umarła. - Jej głos drżał.

Ted skrzywił się.

- Myślisz, że ci tego śyczę?

Rzuciła mu smutne spojrzenie.

- A nie? - Zaśmiała się gorzko. - Może wtedy wybaczyłbyś mi śmierć Barry'ego.

Zaczerpnął powietrza. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo ją skrzywdził.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Do pokoju weszła Sandy. Aś uniosła ze zdziwienia brwi na widok Teda, który stał przy łóżku Coreen i trzymał ją za rękę.

- Czy mój brat już ci powiedział, że jedziesz z nami na ranczo? - zapytała.

- Nie ma takiej potrzeby...

- A właśnie, że jest - uciął jej protesty Ted. - Wynajmiemy dla ciebie pielęgniarkę.

Coreen przeraziła się.

- Nie! Nie chcę!

- Nie masz wyboru - odparł lodowatym tonem. - Jeśli będzie trzeba, zaniosę cię tam na rękach!

Coreen odwróciła szybko wzrok. Chociaś wiedziała, że Ted nie chciał, by te słowa zabrzmiały tak ciepło, była nimi do głębi poruszona.

- Powinnaś pospać - powiedziała cicho Sandy. - Przyjdę później.

- Oboje przyjdziemy później - poprawił ją Ted, a jego spojrzenie przekonało Coreen,

że nie warto się z nim kłócić. Popatrzył na swoją siostrę. - To jest piąte piętro. Jak sądzisz, czy to możliwe, że ona zrobi sobie z prześcieradeł spadochron i wyskoczy przez okno?

Sandy roześmiała się, lecz oczy Coreen były tak smutne, że natychmiast spowaśniała.

- Nie martw się - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Naprawdę? - zapytała Coreen, patrząc na Teda niemal z przerażeniem. W tej sytuacji Sandy uznała, że lepiej będzie, jeśli zostawi ich samych.

- O co chodzi? - zapytał Ted po wyjściu siostry.

Coreen nie odpowiedziała. Potrząsnęła tylko głową.

Ted patrzył jej prosto w oczy.

- To był tylko pocałunek - wyszeptał. - Wiem, że nie powinienem tego robić, ale mnie przestraszyłaś.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Przestraszyłam cię?

Wsunął rękę do kieszeni, by jej nie dotknąć. Z ledwością udawało mu się panować nad emocjami.

- Jadąc tutaj, nie wiedzieliśmy nawet, czy żyjesz. Bardzo się o ciebie baliśmy, oboje.

- Nie jestem samobójczynią - odparła zdecydowanym tonem - niezależnie od tego, co o mnie myślisz. Uwielbiam skakać ze spadochronem. Po prostu chciałam na chwilę zapomnieć o wszystkich problemach, oderwać się od całego świata.

- Mało brakowało, a oderwałabyś się od niego na zawsze. Skakanie ze spadochronem w czasie burzy...

- Nie padało, kiedy wyskoczyłam z samolotu. Nigdy nie robiłeś czegoś choć trochę niebezpiecznego?

- Kiedyś zrobiłem - przyznał, patrząc jej prosto w oczy. - Pocałowałem cię.

Wyszedł z pokoju, zanim zdołała zareagować.

Ted podniósł Coreen z wózka inwalidzkiego, by zanieść ją do samochodu. Sandy w

tym czasie otworzyła tylne drzwi. Coreen podziękowała pielęgniarkom i z wahaniem objęła

Teda za szyję.

- Uważaj, jestem ciężka - uprzedziła go. Jego twarz była tak blisko, że Coreen widziała tylko jego oczy.

- Jesteś lekka jak piórko - odrzekł.

- Stałysta, który przeniósł mnie z łóżka na wózek, był innego zdania.

Gdy Ted roześmiał się, popatrzyła na niego tak, jakby po raz pierwszy w świecie słyszała jego śmiech.

Jej spojrzenie napełniło go ciepłym, nieznanym mu do tej pory uczuciem. Ruszył w stronę samochodu, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Czy to w ten właśnie sposób usidliłaś Barry'ego? - zapytał szeptem. - Wpatrując się w niego takim łagodnym, wygłodniałym wzrokiem?

Odwróciła głowę i jeszcze bardziej zeszywniała w jego ramionach.

- Myśl o mnie, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi - stwierdziła.

- Niestety obchodzi cię - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Dlatego właśnie to jest niewybaczalne.

- Niby co?

Spojrzał na nią.

- To, że za niego wyszłaś, chociaż nie mogłaś o mnie zapomnieć - wyjaśnił ochrypłym głosem, po czym dodał: - On doskonale o tym wiedział. To dlatego się rozpił. I dlatego zginął. Wiem o wszystkim. Barry niejednokrotnie zwierzał mi się ze swoich kłopotów małżeńskich. Naprawdę myślałaś, że ci to kiedykolwiek wybaczę?

Potępiął ją. Chciała mu wyjaśnić, że niesprawiedliwie ją osądza, że to ona była ofiarą, a nie Barry, ale bała się, że usłyszy ją Sandy. Poza tym uznała, że szkoda słów. Skoro Ted ma

już wyrobione zdanie na jej temat, to nic tego nie zmieni. Zresztą odniosła też wrażenie, że wygodnie mu było tak o niej myśleć. Utwierdzało go to w przekonaniu, że kobietom nie można ufać.

Posadził ją na tylnym siedzeniu, by mogła się na nim wygodnie ułożyć. Przez całą drogę w ogóle nie odzywała się do niego i do Sandy. Przerzuciła całą ciężar konwersacji na nich. Ale i oni nie mówili dużo.

Sypialnia, którą przeznaczyci dla niej, była urządzona w beżowo - różowej tonacji, a łóżko okazało się olbrzymim łóżkiem z baldachimem.

- To było kiedyś łóżko Teda - powiedziała Sandy, kiedy ułożyła ją na niej przyjaciółkę - ale kiedy zmienialiśmy wystrój domu, zapragnął spać na czymś nieco bardziej nowoczesnym.

Coreen poczuła, że mrówki przebiegają jej po krzyżu na samą myśl o tym, że leży w łóżku, w którym niegdyś sypiał Ted. Pomyślała z goryczą, że pewnie już nigdy nie będzie jej dane zaznać większej bliskości ukochanego mężczyzny. Teraz miał jeszcze więcej powodów, by winić ją za śmierć Barry'ego. Najwyraźniej ubzdurał sobie, że to przez niego małżeństwo jego kuzyna nie było szczęśliwe.

- Zrobię coś do jedzenia - powiedziała Sandy. - Z tego wszystkiego nie jedliśmy lunchu. Jesteś głodna?

- W szpitalu zjadłam trochę zupy - odparła Coreen. - Smakowała mi, ale nie miałabym nic przeciwko kanapce.

- Już się robi!

Sandy wyszła z pokoju. Coreen poprawiła poduszkę. Miała na sobie białą bawełnianą koszulę z małym dekoltem i błękitno - różowym kwiatowym wzorkiem na górze, który maskował skromne rozmiary jej biustu. Przydałby się jej szlafrok, ale zapomniała poprosić

Sandy, by zajechali po drodze do jej domu. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Była zakryta pod samą szyję niczym dziewiętnastowieczna stara panna. Skrzywiła się, kiedy przypomniała sobie wydekoltowane sukienki, jakie nosiła jeszcze dwa lata wcześniej. Czując, że teraz nie ośmieliłaby się włożyć żadnej z nich. Może z czasem to się zmieni.

Do pokoju wszedł Ted. Miał na sobie dżinsy i rozpiętą pod szyję cienką koszulę.

Wyglądał zabójczo przystojnie.

Jej wzrok spoczął na jego klatce piersiowej. Nigdy nie widziała go bez koszuli.

Prawdę mówiąc, wcześniej pozwalała sobie obserwować go tylko z pewnej odległości.

On też się jej przyglądał. Z wyraźnym zainteresowaniem przypatrywał się kwiatkom na jej koszuli. Czym prędzej podciągnęła kołdrę pod szyję.

- Na co się gapisz? To przecież tylko orzeszki - powiedziała bez zastanowienia.

Uśmiechnął się.

- Niezupełnie - odrzekł.

Zgromiła go wzrokiem.

- Sandy poszła zrobić coś do jedzenia - poinformowała go.

- Wiem. Kiedy skończy już demolować kuchnię, usmażę omlety.

- Powiedziała, że zrobi kanapki. Do tego nie trzeba być wytrawnym kucharzem.

- Pod warunkiem, że jest chleb. A tak się składa, że pani Bird zrobiła mi dziś na śniadanie grzankę z ostatniej kromki. Sandy smaży kotlety.

- O Boże, tylko nie to - wyszeptała Coreen, ponieważ w przeszłości kilka razy miała okazję doświadczyć próbek talentu kulinarnego przyjaciółki.

Ted przechylił głowę. Z kuchni dolatywały stłumione przekleństwa i zapach spalenizny.

- Wygląda na to, że już zaczęła - jęknął.

- MoŜesz ją jeszcze powstrzymać.

- Za duŜo tam noŜy - odparł. Podeszedł do łóŜka i usiadł obok niej. Wpatrując się w nią, nagle odrzucił z niej kołdrę. Próbowwała mu ją wyrwać, ale bezskutecznie.

- Ted, przestań - szepnęła.

- Czego się boisz? - spytał z zagadkowym uśmiechem. - Sandy jest niedaleko. Usłyszysz cię, jeśli ją zawołasz.

Niespodziewanie połoŜył rękę na jej piersi, po czym znieruchomiał, czekając na reakcję.

Chwyciła go gwałtownie za nadgarstek, usiłując odepchnąć jego dłoń. Miała w tym miejscu ledwie zabliźnioną ranę i nie chciała, by poczuł pod palcami zgrubienia po szwach. Szarpnęła jego rękę, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

MoŜna by uznać, Ŝe to reakcja bardzo dziwna w przypadku kobiety, która przez prawie dwa lata była męŜatką. Ted dowiedział się jednak od kuzyna, Ŝe Coreen jest oziębła.

Zastanawiała go ta jej fizyczna niechęć wobec jego osoby. Jeśli Barry mówił prawdę, Ŝe Coreen tak bardzo go poŜąda, to dlaczego teraz tak negatywnie reaguje na jego dotyk?

Niepokoilo go teŜ to, Ŝe nie jest juŜ złaźniona jego pocałunków. Wolał nie myśleć, co to moŜe oznaczać. PrzecieŜ jeszcze dwa lata temu nie była oziębła...

W końcu niechętnie dał się odepchnąć.

- Co to miało być? - zapytała zdenerwowana.

- Eksperyment - odparł. - Jak na kobietę, która podobno dyszy Ŝądzą na mój widok, reagujesz bardzo dziwnie, gdy cię dotykam.

- Wcale nie... dyszę na twój widok. - Odwróciła wzrok.

- ZauwaŜyłem. Więc dlaczego wzdychałaś do mnie za plecami Barry'ego? - zapytał z niesmakiem.

- Wcale do ciebie nie wzdychałam - odparła ze znużeniem.

- Nie? - Oparł rękę obok niej i zerknął na jej piersi. Błyskawicznie podciągnęła wyśsej kołdrę, a on ze zdziwieniem uniósł brwi. - Chyba trochę przesadzasz. Nawet cię nie dotknąłem.

- Nie jestem eksponatem w muzeum - oznajmiła. - I nie mów, że wcale nie chcesz kupować biletu wstępu, bo już mi to kiedyś uzmysłowiłeś! Pamiętasz? Dałeś mi to jasno do zrozumienia dwa lata temu.

Przebiegł wzrokiem po jej twarzy, po czym popatrzył w oczy, napotykaając gniewne spojrzenie.

- W wyjątkowo okrutny sposób - przyznał z śalem. - Czy Sandy wyjaśniła ci, dlaczego taki jestem?

- Tak - odrzekła. - Ale ja nigdy cię nie skrzywdziłam.

- Za to przez dłuższy czas byłaś dla mnie po prostu zbyt miła. Chciałem się od ciebie uwolnić.

- Gratulacje. Udało ci się.

- Dlaczego właściwie wyszłaś za Barry'ego?

To pytanie ją poraziło. Chwilę trwało, zanim otrząsnęła się z szoku. Nie mogła się zmusić do wyznania mu prawdy. Odwróciła wzrok.

- Bo mnie o to poprosił.

- I zgodziłaś się, ot tak, po prostu?

- Zajął się moim ojcem, kiedy nikt się nim nie przejmował - powiedziała. - Byliśmy bez grosza przy duszy. Barry uregulował rachunki za lekarza, a potem odkupił od nas sklep. Czułam, że jestem mu coś winna. Ślub wydawał mi się bardzo niską ceną za spokój ojca. - Nie powiedziała, że on też miał swój udział w popchnięciu jej w ramiona Barry'ego. Gdyby

okazał jej choć odrobinę sympatii... Wolała o tym nie myśleć.

Podniósł się z łóŜka i podszedł do okna. Oparł się ręką o parapet i zapatrzył w bujną zieleń łąki, na której pasło się stado czarnych krów.

- Kochałaś go? - zapytał znienacka.

Mięła w palcach brzeg prześcieradła.

- Z początku go... lubiłam.

Spojrzał na nią.

- Czy kiedykolwiek go poŜadałaś?

ZadrŜała. ZauwaŜył to, nim zdąŜyła nad sobą zapanować.

- Pragnęłaś mnie - stwierdził bezbarwnym tonem. - Nie zapomniałem balu w klubie strzeleckim. Tamtej nocy dałabyś mi wszystko, co tylko bym chciał.

- I tak byś tego nie wziął - odparła ponuro. - Nawet powiedziałaś mi dlaczego.

Pamiętasz?

Przeniósł wzrok z powrotem na pastwiska. Nie miał ochoty przywoływać tego wspomnienia. Sięgnął do kieszeni po papierosa. Przez chwilę na niego patrzył, po czym schował z powrotem, uśmiechając się do niej cierpko.

- Obiecałem Sandy, Ŝe rzucę palenie - wyjaśnił.

- Nie do wiary, więc jednak chodzi po tym świecie kobieta, dla której jesteś w stanie coś zrobić - mruknęła z przekąsem.

- Sandy to moja siostra.

- Oraz jedyna kobieta na świecie, którą lubisz.

Odwrócił się i przysiadł na parapecie. SkrzyŜował ręce na piersi, wyduł wargi i uśmiechnął się półgębkiem.

- I ciebie mógłbym polubić, gdybym zechciał - powiedział, odsuwając się od okna. -

Ale nie zamierzam próbować.

- Jasne - zgodziła się. - Po co?

Zatrzymał się przy łóŜku.

- W tym stanie przez kilka najbliższych tygodni nie będzie z ciebie większego poŜytku

- zawyrokował. - Mam nadzieję, Ŝe ci się tu spodoba, bo zostaniesz u nas, dopóki nie wy
dobrejesz, nawet gdybym musiał przywiązać cię do łóŜka.

Coreen usiadła raptownie, krzywiąc się z bólu, i przeszła go wściekłym spojrzeniem.

- Mogę wrócić do domu...

- Nie masz juŜ domu - przypomniał jej.

Opadła na poduszki. Była cała obolała. Zamknęła oczy, by juŜ na niego nie patrzeć.

- Tak, to prawda - przyznała.

Zirytowała go jej bezsilność. Przebiegł wzrokiem po jej ciemnych włosach i nagle
gdzieniegdzie zauwaŜył srebrne pasemka.

- Coreen, ty siwiejesz - wyszeptał ze zdziwieniem.

- Wiem. - Uniosła powieki. - Miałaś kiedyś włosy takiego samego koloru jak ja,
prawda?

- Do trzydziestki. Potem przedwcześnie posiwiałem. Nawet na klatce piersiowej.

- Naprawdę? Nie zauwaŜyłam.

Uniósł brwi, ponieważ Ŝ wydawało mu się, Ŝe patrzyła na jego tors, kiedy wchodził do
pokoju.

- A niech to szlag...! - Temu okrzykowi, dobiegającemu z kuchni, towarzyszył bardzo
wyraźny swąd spalenizny.

- Lepiej pójdę tam, dopóki jest jeszcze coś do uratowania. Przyślę tu Sandy, Ŝeby ci
dotrzymała towarzystwa pod moją nieobecność.

- Ja umiem gotować - powiedziała z wahaniem. - Zanim wyszłam za męża, zajmowałam się kuchnią.

- Naprawdę? - Nie okazał większego zainteresowania. - Nie zauważyłem.

Odwróciła wzrok. Nie zwracał na nią uwagi, gdy Barry ubiegał się o jej rękę.

Smutnym, zrezygnowanym wzrokiem patrzyła, jak wychodzi z pokoju. Bolała nad tym, że już nie jest taka jak dawniej. Ted nie chciał jej, kiedy była zdrowa, a co dopiero teraz, kiedy jest w takim opłakanym stanie. A nawet jeśli by zechciał, to nie zostało jej już nic, co mogłaby mu dać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Coreen miała tylko jedną nocną koszulę i śladnych swoich ubrań. Zamierzała przypomnieć Sandy i Tedowi, że potrzebuje czegoś na zmianę, ale też bała się wysłać ich do swojego dawnego domu. Nie chciała, by zobaczyli, w jakich warunkach żyła. Z opresji wyratowała ją pani Bird, gospodyni Teda. Okazało się, że ma córkę mniej więcej wzrostu Coreen, która wyszła za męża i przeniosła się do Europy. Ta zająca kobieta wręczyła jej całą stertę ubrań, które po niej pozostały, dzięki czemu Coreen z czystym sumieniem mogła powiedzieć Sandy, że na razie niczego jej nie trzeba.

Przez kilka pierwszych dni w domu Reganów panował pewien chaos, ponieważ Sandy musiała wyjechać do pracy. Na szczęście właśnie ożrebiły się dwie klacze, więc Ted większość czasu spędzał z nimi, pozostawiając Coreen, ku jej nieklamanej uldze, samą sobie. Nie miała nic przeciwko temu, tym bardziej że w obecności Teda stawała się rozkojarzona i jeszcze bardziej nerwowa.

Codziennie siadała przy oknie i patrzyła, jak Ted ujeżdża konie w korralu. W stosunku do zwierząt był łagodny, cierpliwy i dobry. Nie miałaby nic przeciwko temu, by i ją traktował podobnie.

Szczególnie spodobał jej się rumak czystej krwi, czarny, z białą plamką na czole i białymi skarpetkami. Był podobny do konia, którego kiedyś pościgała jej Sandy, ilekroć razem wyruszały na przejażdżkę. To nie był jednak tamten koń. Ten był młody, mógł być jego potomkiem.

Nie powinna podglądać Teda, ale sprawiało jej to tyle radości! Był wysoki, szczupły i poruszał się z gracją kowboja. Bezbłędnie posługiwał się lassem. Równie dobrze jeździł na oklep jak w siodle.

Zauważyła jednak, że jest porywczy. Pewnego dnia była świadkiem, jak wyprowadził go z równowagi jeden z pracowników. Dygocząc ze strachu, bezwiednie odsunęła się od okna. Barry zawsze krzyczał, kiedy zamierzał ją uderzyć. Przyszło jej do głowy, że może dobrze się składa, że Ted nie chce mieć z nią do czynienia, ponieważ jego siła fizyczna i temperament onieśmiały ją w równym stopniu.

Mimo to dalej spędzała każdą wolną chwilę przy oknie. Udało jej się nie rozpamiętywać minionych dwóch lat i w wyobraźni stała się znów młodą dziewczyną zakochaną bez pamięci w Tedzie Reganie, pełną nadziei, że pewnego dnia zwróci na nią uwagę.

Ted nie mógł nie zauważyć jej zainteresowania. Milcząca postać w oknie przyciągała również uwagę jego ludzi. Zaczęli delikatnie śmigać na temat „cielęcego wzroku”, którym Coreen za nim wodzi.

Ted zjawił się u niej dzień przed powrotem Sandy.

- Czy pani Bird ma jak zwykle przynieść ci kolację do pokoju? - mruknął, stając w drzwiach.

Była w równej mierze zaskoczona tym pytaniem, co nieprzychylnym tonem jego głosu.

Od pierwszego dnia jadała posiłki w swoim pokoju. Bardzo jej to odpowiadało, ponieważ nie mogłaby znieść widoku Teda przy wspólnym stole. Zaczęła zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Sandy wróci dopiero jutro - przypomniał jej - a ja mam dziś wieczorem spotkanie. Z prawniczką z Victorii, która zostanie u nas na kolacji.

Wyraźnie miał nadzieję, że ją zaszokuje. Udało mu się to. Nie zdołała ukryć swojej reakcji odpowiednio szybko.

- Nie chcę wam przeszkadzać. Zjem tutaj - powiedziała pośpiesznie.

Wpatrzył się w nią zmrużonymi oczami.

- Powinnaś się czymś zająć, żeby się nie nudzić.

Nie wiedząc, jak odeprzeć ten frontalny atak, milczała.

- Czymś poza nieustannym gapieniem się na mnie przez okno - dodał.

Odwróciła od niego wzrok.

- Patrzę na konie, nie na ciebie - szepnęła.

- Wszystko jedno, znajdź sobie coś lepszego do roboty.

Zacisnęła palce na szlafroku. Ted wbił jej nóż w samo serce. Myślała, że jej stan sprawi, że nie będzie okazywał jej tak ostentacyjnej wrogości. Cóż, wygląda na to, że była w błędzie.

- Dobrze - zgodziła się, nie patrząc na niego. - Zajmę się... czymś.

Wpatrywał się w jej pochyloną głowę z mieszanymi uczuciami, z których najsilniejsze były wyrzuty sumienia. Przez nią Barry stał się pijakiem, co w końcu doprowadziło go do śmierci, a wszystko dlatego, że pragnęła mężczyzny, którego nie mogła mieć. Ogarniało go poczucie winy za każdym razem, kiedy myślał o śmierci kuzyna. Obecność Coreen tylko wzmagala jego niechęć wobec samego siebie. Była żywym przypomnieniem cierpienia

Barry'ego.

Celowo zaprosił Lillian na kolację. Nie dlatego, że naprawdę tego chciał, a dlatego, że musiał sprawić, by Coreen zrozumiała, że w dalszym ciągu nie jest nią zainteresowany. Nie mógł znieść jej spojrzeń zza firanki. Prześladowała go nawet w czasie pracy!

- To się nie uda - stwierdził, patrząc na nią lodowatym wzrokiem.

- Pewnie nie uwierzysz, ale to samo powiedziałam Sandy - odrzekła. - Obiecuję, że zacznę szukać mieszkania, kiedy tylko przestanę mieć zawroty głowy.

- Pomogę ci - zaofiarował się.

- Dziękuję. Tylko pamiętaj, że na razie nie stać mnie na nic drogiego. Nie znalazłam jeszcze pracy.

- Musi być jakiś sposób, żeby obejść postanowienia testamentu Barry'ego -

powiedział. - Sprawdzę to. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, postaram się, byś dostawała jakieś pieniądze na życie.

Chciała znów podziękować, ale czułaby się jak papuga. Skinęła więc tylko głową.

- Przyślę tu panią Bird, żebyście ustaliły, co ma ci przygotować do jedzenia.

- Cokolwiek zrobi, będzie mi smakowało - odparła z przesadną grzecznością. - Nie chcę sprawiać jeszcze więcej kłopotu.

Nie odpowiedział. Jego wzrok wciąż był lodowaty i oskarżycielski, kiedy odwracał się, by odejść. Dopiero kiedy dotarł do swojego pokoju, uświadomił sobie, ile nieszczęść

spadło na Coreen tylko w tym jednym tygodniu. Cóż, niezależnie od tego, czy kochała

Barry'ego, czy nie, jego śmierć musiała być dla niej ciosem, podobnie jak utrata domu i

środków do życia. A do tego miała jeszcze wypadek, którego omal nie przypłaciła życiem.

Trzeba mieć serce z kamienia, by jej nie współczuć. Może obarcza ją zbyt wielką winą? Wy-

glądała tak bezbrinnie w tym ogromnym łóżku z baldachimem. Gryzło go sumienie z powodu

oschłości, z jaką przed chwilą ją potraktował.

Zrzucił jednak z siebie poczucie winy równie szybko, jak zdjął robocze ubranie. Wziął prysznic, po czym włożył białe spodnie, koszulę, marynarkę z lnem i krawat.

Potem pojechał na lotnisko w Jacobsville, by odebrać Lillian przylatującą samolotem z Victorii.

Coreen była coraz bardziej przybita. Słyszała Teda i jego gościa idących przez hol.

Śmiali się i rozmawiali jak starzy przyjaciele. Bo zapewne łączyła ich głęboka zażyłość.

Nie miała pojęcia, czy zniesie dłuższą ciągłą afronty ze strony Teda. Gdyby Sandy była na miejscu, wszystko ułożyłoby się inaczej. Nie może jednak wymagać od swojej serdecznej przyjaciółki, by zrezygnowała z pracy tylko po to, by dotrzymać jej towarzystwa. A to oznacza, że będzie musiała sama sobie poradzić z Tedem.

Pani Bird przyniosła jej kolację, narzekając na gościa.

- Najpierw zamówiła sobie słabszą kawę, a potem oddzielnie sałatę i sos - mruczała gniewnie, stawiając tacę na kolanach Coreen. - Nie chciała wołowiny, bo cholesterol, a i deseru nie tknęła.

- Widocznie dba o zdrowie - zauważyła Coreen, wciągając z lubością zapach zupy serowej i świeżego chleba.

- Chuda jak patyk. Podobno teraz taka moda. - Pani Bird przyjrzała się krytycznie zapadniętym policzkom Coreen. - Nic tak nie tuczy jak zupa serowa i chleb.

- Nie byłam bardzo głodna, ale to tak smakowicie pachnie, że ślinka mi cieknie do ust

- oświadczyła Coreen ze szczerą radością i uśmiechnęła się.

Gospodyni promieniała.

- Na deser upiekłam szarlotkę. Z jabłek, które sama suszyłam.

Coreen była w siódmym niebie.

- Uwielbiam szarlotkę! - wykrzyknęła.

- Wiem, Sandy mi mówiła. - Uśmiechnęła się do Coreen i skierowała do drzwi. -

Postaw tacę obok łóżka. Zabiorę ją później, kiedy oni już sobie pojedą. Podobno wybierają się do centrum, a potem Ted odwiezie ją na lotnisko, na nocny samolot.

- Czy ona jest sympatyczna? - zapytała Coreen, nie mogąc opanować ciekawości.

Starsza kobieta zawahała się.

- Myślę, że na swój sposób jest całkiem miła. Ma swój styl i jest bystra, a poza tym ona i Ted znają się od dawna. Kiedyś myślałam, że się z nią ożeni. Ale on nie chce słyszeć o żeniactwie. Obawiam się, że złamał jej serce. Niby są teraz tylko przyjaciółmi, ale podejrzewam, że gdyby zaproponował jej małżeństwo, nie wahałaby się ani chwili.

- Myślę, że Ted potrafi być miły, kiedy chce - powiedziała Coreen, nie precyzując, co ma na myśli. Zaczęła jeść zupę.

- Dla niektórych na pewno tak - odparła pani Bird, nieco zdziwiona. - No dobrze, wracam do kuchni.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. To prawdziwa przyjemność widzieć, że komuś smakuje moje gotowanie.

Kiedy Coreen skończyła jeść, odstawiła tacę na bok. Z chęcią by się czymś zajęła, ale w pokoju nie było nawet żadnego czasopisma, nie mówiąc już o telewizorze czy radiu. Była w tej ładnej, staroświeckiej sypialni całkowicie odcięta od świata.

Śmiech dobiegający z któregoś z pokoi działał jej na nerwy. Usiłowała sobie wyobrazić, że Ted śmieje się nie do swojego gościa, a do niej, że to jej towarzystwo zabiega, że to z nią oddaje się niezobowiązującej pogawędce. Lecz on w jej obecności umiał tylko warczeć. Lillian musi być dla niego kimś wyjątkowym. Nie chciała być zazdrosna. Nie

miała prawa do zazdrości. Ted zaśmiał się znowu i Coreen poczuła, że łyzy cisną jej się do oczu.

Spojrzała na zegarek. Była dopiero siódma wieczorem. Miała nadzieję, że uda jej się zasnąć. Nie chciała dłużej słuchać, jak Ted śmieje się z inną kobietą. Zgasiła światło i zamknęła oczy. O dziwo, przespała całą noc.

Nazajutrz nie wyglądała przez okno, kiedy Ted zajmował się końmi. Włożyła za duży dżinsy oraz koszulkę z napisem „Texas” i siadła z podkulonymi nogami w fotelu, by przeczytać gazetę, którą dostała od pani Bird.

Lektura nie nastroiła jej zbyt optymistycznie. Przejrzała stronę z komiksami, a w końcu zajęła się rozwiązywaniem krzyżówki. Dzięki temu miała czym zająć umysł i nie musiała rozpamiętywać tego, że Ted chce jej się pozbyć ze swojego domu. Była wciąż zbyt słaba i obolała, by iść do pracy. Ewentualny pracodawca z pewnością będzie od niej oczekiwał, że od razu porządnie weźmie się do roboty. Miała nadzieję, że Sandy przyjedzie wieczorem tego dnia i pomoże jej uciec z tego więzienia, które przygotował dla niej Ted. Nie powiedział jej wprawdzie wprost, by nie wychodziła z pokoju, ale dał jej jasno do zrozumienia, że nie śyczy sobie, by kręciła się w jego pobliżu.

Po lunchu usłyszała samochód zatrzymujący się przed domem. Kilka minut później do pokoju weszła uśmiechnięta Sandy. Padła na łóżko.

- Ale jestem skonana - jęknęła, uśmiechając się do Coreen. - Myślałam, że nigdy nie uda mi się założyć klientowi tego cholernego systemu komputerowego. Ale jakoś dałam radę. Dzięki temu mogłam wziąć dzień wolnego, żeby spędzić trochę czasu z tobą. Co słychać?

- W porządku - odparła Coreen beztrąsko. - Pomogiesz mi znaleźć mieszkanie?

Sandy skrzywiła się.

- Zdaje się, że Ted nie jest dla ciebie zbyt miły, co?

- JuŜ o tym rozmawiałyśmy - szepnęła Coreen. - Wiesz, co myśli o mnie i moim

pobycie tutaj. Zarzucił mi, Ŝe znów gapię się na niego lubieŜnie. MoŜe nawet tak jest. Nie mogę przestać... - przerwała. - Nie ma w tym ani odrobiny lubieŜności. Nie wiesz, jak było z Barrym... Gdybyś wiedziała, rozumiałabyś, jak niewiarygodne jest dla mnie to, Ŝe mogę patrzeć na męŜczyznę bez strachu!

Sandy usiadła, odgarniając z oczu niesforny kosmyk.

- MoŜe gdybyś powiedziała to Tedowi...

- Po co? - zapytała Coreen powaŜnie. - On nie chce nic wiedzieć o moim małŜeństwie ani o mnie. Bardzo wyraŜnie dał mi do zrozumienia, Ŝe jestem tutaj z łaski i Ŝe nie jest mną zainteresowany.

- Pani Bird wspomniała, Ŝe wczoraj na kolacji była tu Lillian. Poznał cię z nią?

Coreen pokręciła głową, na co Sandy westchnęła z rozdraŜnieniem.

- Cały Ted. Przepraszam, Ŝe cię namówiłam do przyjazdu na ranczo. Miałam nadzieję, Ŝe... zresztą, niewaŜne. Chcesz stąd wyjechać?

- Tak.

- Dobrze. Przeprowadzimy się razem do mojego dawnego mieszkania w Victorii. Nie wynajęłam go, więc wciąż stoi puste. Jest na tyle duŜe, Ŝe bez trudu zmieścimy się w nim obie i nie będziesz miała na głowie mojego braciszka.

- Ale przecieŜ masz pracę...

- Mogę równie dobrze pracować w oddziale naszej firmy w Victorii, jak w siedzibie głównej w Houston.

- Nie chcę ci się narzucać.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Skąd pomysł, Ŝe mi się narzucasz?

- Muszę zabrać z domu swoje rzeczy - powiedziała Coreen z wahaniem. - AŜ mi

głupio o to prosić, ale czy mogłabyś...?

- Oczywiście, Œe je zabiorę.

- Klucze s¸ u Henry'ego. Na pewno nadal tam mieszka, bo Tina potrzebuje kogoś, Œeby dogl¸dał rezydencji, zanim si¸ do niej wprowadzi. Moje ubrania s¸ w szafie w drugiej sypialni po prawej. W szufladach zostało niewiele, bo zd¸Œyłam spakowa¸ swoje ksi¸Œki, kasety i pami¸tki po matce.

- JeŒli chcesz, mog¸ pojecha¸ tam jeszcze dzisiaj.

- Dzi¸kuj¸ ci z ca¸ego serca.

- Drobiazg. Od czego s¸ przyjaciele? A teraz g¸owa do g¸ry! W przysz¸ym tygodniu b¸dziemy juŒ w Victorii i wszystkie z¸e wspomnienia b¸d¸ za nami.

Sandy przynios¸a kaw¸ i ciasto. Zaraz po tym, jak przyjaci¸lka wysz¸a si¸ przebra¸ i przygotowa¸ walizki na jej rzeczy, w sypialni zjawi¸ si¸ Ted.

Coreen wci¸Œ siedzia¸a w fotelu przy oknie. Zaczerwieni¸a si¸, kiedy na ni¸ spojrz¸.

- Rozmawia¸am z Sandy, wcale si¸ na ciebie nie gapi¸am - wyja¸ni¸a.

- Szkoda, Œe ta twoja t¸sknota nie obj¸¸a biednego Barry'ego - zadrwi¸.

Rysy jej st¸Œa¸y.

- Miał inne kobiety - powiedzia¸a.

- Nic dziwnego, skoro jego Œona nie pozwala¸a mu si¸ dotkn¸¸. - Na jego twarzy pojawi¸ si¸ wyraz niesmaku. Coreen aŒ skuli¸a si¸ w fotelu. - Dr¸czy¸as¸ go, a potem pozwoli¸as¸ mu wsi¸¸ do samochodu, kiedy by¸ pijany. Nigdy ci tego nie zapomn¸. JesteŒ bez grosza przy duszy i zas¸uŒy¸as¸ na to. M¸j BoŒe, tw¸j widok przyprawia mnie o md¸oŒci! - doda¸ brutalnie, po czym odwr¸ci¸ si¸ i wyszed¸ z pokoju.

Dopiero gdy znikn¸ jej z oczu, poruszy¸a si¸. Cierpia¸a tak strasznie, Œe nie mog¸a si¸ nawet rozp¸aka¸. Nie wiedzia¸a, jak wytrzyma nast¸pny tydzie¸, zanim ona i Sandy przenios¸

się do Victorii, wiedząc, co Ted o niej myśli, i mając w perspektywie znoszenie jego pogardliwych spojrzeń i uwag. Nie, to zdecydowanie ponad jej siły. Musi stąd uciec.

Kiedy Sandy pojedzie po jej ubrania, Ted pewnie wyjdzie. Wtedy ona pojedzie taksówką na dworzec, a stamtąd autobusem do Houston. Z pewnością w Houston jest oddział YWCA lub jakiejś innej organizacji pomagającej kobietom pozbawionym dachu nad głową.

Wszystko będzie lepsze od towarzystwa Teda. Gdyby miała więcej siły, mogłaby mu się przeciwstawić. Miała jej jednak tylko tyle, by wyjechać.

W drzwiach pojawiła się Sandy.

- Jadę. Ted mnie zawiezie. Wrócimy za dwie godziny. Na razie!

Coreen chciała jej powiedzieć, że wyjechała, ale Sandy już nie było. Usłyszała jeszcze, jak mówi coś do pani Bird. Potem trzasnęły drzwi samochodu i rozległ się szum silnika.

Pół godziny później pojechała się z panią Bird, pytając najpierw, czy może zobaczyć ubrania jej córki, zanim nie sprawi sobie własnych.

- Myślałam, że Sandy i Ted pojechali do twojego domu, żeby przywieźć ci ubrania - powiedziała zmieszana gospodyni.

- Spotkam się tam z nimi - skłamała Coreen. - Właśnie sobie przypomniałam, że nie powiedziałam im o paru rzeczach, których potrzebuję. Muszę więc pojechać sama.

- Dziecko, jesteś na to zbyt słaba.

- Czuję się już dobrze - zapewniła ją Coreen z delikatnym uśmiechem. - Dziękuję za szyczliwość. Jestem pani do zgonnie wdzięczna.

Pani Bird spochmurniała.

- Powinnaś poczekać. Zadzwoń do twojego domu i upewnij się, czy Sandy i Ted już tam są.

- Naprawdę nie trzeba, nic mi się nie stanie. - Usłyszała klakson i uśmiechnęła się z

ulgą. - Jest już taksówka. Proszę się nie martwić, dobrze?

Pani Bird była zmartwiona.

- Jesteś taka blada...

- Jestem zaprawiona w bojach. Nic mi nie będzie. - Zamknęła torebkę. Było w niej wszystko, co teraz posiadała, cały jej majątek. - Odezwę się.

- Wrócisz, prawda?

- Może zostanę u siebie - skłamała. - Porozmawiam o tym z Sandy i Tedem - dodała. -

Dobrze?

Pani Bird odetchnęła.

- Niech i tak będzie. Uważaj na siebie, dziecko.

- Obiecuję. Do widzenia.

Coreen bardzo wolno wyszła z domu. Złamane Źebro bolało ją przy każdym ruchu.

Była słaba i niezbyt pewnie trzymała się na nogach, ale jakoś udało jej się dotrzeć do taksówki. Serce waliło jej jak oszalałe, a ze zdenerwowania miała napięte wszystkie mięśnie.

Bała się, że w ostatniej chwili ktoś ją zatrzyma. Wsiadła do auta, pomachała pani Bird na pożegnanie i powiedziała taksówkarzowi, dokąd ma jechać. Dopiero gdy samochód ruszył, odetchnęła z ulgą. Wreszcie była wolna. Koniec udręki. Barry jest już przeszłością, a niedługo stanie się nią również Ted Regan. Wtedy będzie miała szansę odzyskać wewnętrzny spokój.

Ted i Sandy odnaleźli Henry'ego w małym domku przy rezydencji.

Wpuścił ich do środka i zaprowadził do pokoju Coreen.

- Biedulka - wyszeptał, kiedy ich oczom ukazało się wnętrze olbrzymiej szafy, w której wisiały zaledwie trzy spłowiałe sukieneczyny. - Przez dwa lata kazał jej być w skrajnej nędzy, prześladował ją i dręczył. Uciekała, ale za każdym razem ją znajdował. Nienawidziłem tej pracy, ale nie mogłem zostawić jej tutaj samej, zdanej na jego łaskę i niełaskę.

Oczy Teda błyszczały groźnie, gdy odwrócił się, by spojrzeć gniewnie na szofera.

- Mój kuzyn był milionerem - podkreślił Ted z godnością.

Henry skinął głową.

- To prawda, proszę pana. Stać go było na najdroższe garnitury, najdroższe samochody oraz najdroższe kobiety - wyrecytował, nic sobie nie robiąc z uwagi Teda. - Ale wszystko, na co mogła liczyć Coreen, to jego cięska ręka i ostry język. Czy wie pan, że ostatniego wieczoru, który pan Tarleton tutaj spędził, dzień przed śmiercią, omal jej nie zabił? Musiałem zawieźć ją do szpitala i okłamać lekarza, że upadła na ostrą blachę. Nigdy jeszcze nie widziałem tyle krwi...

Ted i Sandy oniemieli.

- Czym jej to zrobił? - zapytał Ted, a na jego twarzy widać było wyraz niedowierzania.

- Nożem, proszę pana, nożem - odparł Henry. - Kiedy przyszedłem tutaj wieczorem, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje przed snem, zobaczyłem ją na sofie w salonie. Kłął ją w szywy kamień i odgrażał się, że ją zabije. Myślałem, że uda mi się go uspokoić, ale dalej jej wymyślał za jakąś kartkę z życzeniami urodzinowymi, którą od kogoś dostała. Oskarżał ją o zdradę - dodał, patrząc z ciekawością na wyraz twarzy Teda. - Dźgnął ją, zanim zdołałem go powstrzymać. Krzyknęła, a krew trysnęła na wszystkie strony. Ten widok go trochę otrzeźwił. Zabraliśmy ją do szpitala, tam założyli jej szwy, a potem wróciliśmy do domu. Nie widziałem go przez cały następny dzień, aż do chwili, kiedy się zjawił, żeby zabrać ją na przyjęcie. Ted usiadł na krześle.

- Z powodu tej kartki urodzinowej?

- Tak, proszę pana. Wprawiała go we wściekłość. Wcześniej też się zdarzało, że ją bił.

Nigdy o tym nie mówiła, ale widziałem siniaki. Cieszę się, że mój chlebodawca nie żyje -

mówił Henry beznamiętnym tonem. - To był podły człowiek. Nic mnie nie obchodzi, że był pana kuzynem, moim zdaniem dostał to, na co zasłużył. Tamtej nocy chciał zabrać Coreen z przyjęcia, żeby znów się nad nią znęcać. Pewnie by ją zabił, ale nie pozwoliłem jej z nim jechać. Zanim wsiadł do auta, znowu jej groził. Nikt tego nie słyszał oprócz nas trojga. Ludzie gadają, że Coreen pozwoliła mu jechać po pijanemu. Tak naprawdę to ona tylko ratowała siebie. On był zdolny do wszystkiego.

- Kłamiesz - wycedził Ted przez zęby. Jego twarz była blada jak płótno.

Henry zwrócił się do Sandy.

- Może pani poprosić ją, żeby pokazała szwy. To była paskudna rana na piersi.

Lekarze myślą, że Coreen jest po prostu niezdarna, bo miała tyle wypadków. Ale za każdym razem to była robota pana Barry'ego. Ona nie rozbiła się w żadnym szybowcu... to on zrzucił ją ze schodów!

Ted westchnął ciężko i ukrył twarz w dłoniach. Sandy wyprowadziła Henry'ego z pokoju i podziękowała mu za pomoc. Kiedy wróciła, Ted siedział w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Milczał. Wyglądał jak zbity pies.

- Wiedziałaś? - zapytał w końcu, patrząc na nią. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Nie. - Westchnęła. - Wierzyłam w to, co mi mówiła, tak samo jak ty. Barry nie pozwalał mi się z nią widywać. Czasami udawało nam się zjeść w tajemnicy przed nim lunch, ale nawet wtedy nie rozmawialiśmy o jej małżeństwie. Nikt nie miał o tym pojęcia. Jak się okazuje z wyjątkiem Henry'ego.

Ted wstał.

- Ona nie może się dowiedzieć o tym, co odkryliśmy - powiedział wolno.

- Oczywiście, że nie.

- Mam wraŜenie, Œe to tylko wierzchołek góry lodowej. - Popatrzył na siostrę z przeraŜeniem.

Sandy przytaknęła.

Odwrócił się. Serce ścisnęło mu się z Œalu, kiedy przypomniał sobie, co powiedział Coreen przed wyjazdem z domu. Zapewne nie uda mu się juŜ naprawić krzywdy, jaką jej wyrządził.

Nagle dotarło do niego, Œe Sandy o coŒ go zapytała.

- Co takiego? - wymamrotał.

- Co zrobimy z Coreen? - powtórzyła.

- Zobaczymy - odparł, wzdychając głoŒno. - Na razie spakujmy jej rzeczy i wynoŒmy się stąd.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ted wnióŒ walizki do domu. Tylko jedna z nich była wypełniona Œałosnym dobytkiem Coreen. Pozostałe były puste.

Powoli zaczęło do niego docierać, Œe to Coreen była ofiarą, a nie jego kuzyn. Barry od samego początku go okłamywał. To właŒnie przez te kłamstwa Ted był tak okrutny dla Coreen. Teraz nie mógł sobie tego darować. Jakby spotkało ją mało nieszczęŒ, musiał ją jeszcze zadręczać! Przez wszystkie te lata przysparzał jej tylko nowych zmartwień.

Pani Bird juŜ nie było. Zostawiła w kuchni kolację i kartkę, na której napisała, Œe Coreen obiecała się odezwać.

Ted czytał ją dwa razy, poniewaŜ wydała mu się bez sensu. Nagle do kuchni wbiegła Sandy.

- Jej pokój jest pusty - powiedziała. - Uciekła.

- Uciekła?! - krzyknął. - PrzecieŜ ona ledwie trzyma się na nogach! Dokąd?

- Nie mam pojęcia - odparła Sandy Śałośnie, siadając na krześle. - Nie ma tutaj Śadnych krewnych. Zresztą nie tylko tutaj. Ma tylko poŚyczone ciuchy i sto dolarów w torebce. Z kart kredytowych nie będzie miała Śadnego poŚytku. Jestem pewna, Śe Tina zdąŚyła juŚ zablokować konto.

- Co proponujesz? - zapytał Ted, wkładając ręce do kieszeni.

- Trzeba zadzwonić do pani Bird. MoŚe Coreen powiedziała jej coś przed wyjazdem. Jeśli to nic nie da, zacznę dzwonić po korporacjach taksówkowych. Jednego nie rozumiem: dlaczego wyjechała tak nagle? - Sandy, kręcąc głową, wzięła do ręki telefon i zaczęła wybierać numer. - Obiecałam jej, Śe za tydzień przeprowadzimy się do mojego mieszkania w Victorii.

- Kiedy jej to obiecałaś? - zapytał Ted.

- TuŚ przed twoim przyjściem... Halo, pani Bird? Czy wie pani, dokąd pojechała Coreen? Nie? W takim razie moŚe przynajmniej wie pani, z której korporacji zamówiła taksówkę? Tak, wiem. Dziękuję. Nie, wszystko w porządku, znajdziemy ją, proszę się nie martwić.

OdłoŚyła słuchawkę i zaczęła przewracać kartki ksiąŜki telefonicznej, podczas gdy Ted wpatrywał się w podłogę i przeklinał swoją głupotę.

Wiedział, Śe nie mają szansy na znalezienie jej przed zmrokiem. Miał tylko nadzieję, Śe Coreen ma wystarczająco duŚo pieniędzy, by zatrzymać się w porządnym hotelu. Nie zgodził się, by Sandy pojechała z nim. Przez niego Coreen uciekła, i on musi nakłonić ją do powrotu. Lecz to nie będzie takie proste.

Odnalazł ją w oddziale YWCA, organizacji pomagającej kobietom w potrzebie, w Houston. Siedziała w świetlicy. Sprawiała wraŚenie zmęczonej i chorej. Obok niej dostrzegł kobietę w Średnim wieku, która zapewne była pracownikiem socjalnym. Właśnie coś

notowała.

Ted poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, kiedy znalazł się na tyle blisko, by słyszeć, co mówi.

- Na razie, dopóki nie wróci pani całkowicie do zdrowia, zostanie pani tutaj. W tym czasie spróbujemy znaleźć pani jakiś dach nad głową...

- Ona ma już dach nad głową - powiedział cicho Ted.

Gdy Coreen odwróciła głowę w jego stronę, jej oczy pociemniały z przerażenia.

Zbladła i zacisnęła ręce na poręczach fotela, na którym siedziała. Podszedł bliżej. W eleganckim szarym garniturze wyglądał bardzo zamożnie.

- Zna pani tego człowieka? - zapytała kobieta.

- To brat mojej serdecznej przyjaciółki - odparła Coreen. - Niepotrzebnie tu się fatygował. Sama sobie poradzę.

- Ta pani miała wypadek. Ma złamane śebro i inne poważne obrażenia - wyjaśniał

Ted. - Powinna zostać z nami, dopóki nie wyzdrowieje. To jest nieporozumienie.

Kobieta zmrużyła oczy.

- Delikatnie powiedziane, biorąc pod uwagę stan, w jakim pani Tarleton tu przyjechała, panie...? - zawiesiła głos.

- Regan - przedstawił się. - Ted Regan.

To nazwisko wiele znaczyło w południowym Teksasie. Kobieta od razu spuściła z tonu.

- Rozumiem - bąknęła.

- Nic pani nie rozumie. Dopilnujemy, by Coreen miała dobrą opiekę. Dopiero co owdowiała.

- To prawdziwe nieszczęście - stwierdziła kobieta, lecz nim Ted zdążył się z nią

zgodzić, dodała: - Serdecznie Źałuję, Źe ten szubrawiec nam się wymknął. Po rozmowie z pracownikiem socjalnym w Jacobsville z przyjemnością zaciągnęłabym świętej pamięci małŹonka pani Tarleton przed oblicze sądu.

Ted milczał, chociaŹ Coreen spodziewała się, Źe stanie w obronie kuzyna. W ogóle nic nie mówił. Wcześniej ta dociekliwa kobieta wyciągnęła z niej całą prawdę. Coreen była zbyt przygnębiona, by oponować i odmówić odpowiedzi na jej pytania.

- Coreen, gdzie są twoje rzeczy? - zapytał tak łagodnym głosem, Źe w pierwszej chwili nie odniosła tego pytania do siebie. Spojrzała na kobietę.

- Nie moŹe mnie zmusić, Źebym z nim poszła, prawda? - zapytała zachrypniętym szeptem. Ted tylko zacisnął dłonie w pięści.

- Nie masz się czego bać. - Miał ochotę porwać ją na ręce i natychmiast z nią uciec. -

WyjeŹdŹam w interesach. W domu zostanie tylko Sandy. Ucieszy się, jeśli dotrzymasz jej towarzystwa.

Coreen zdawała sobie sprawę, Źe nie ma wielkiego wyboru. Była juŹ tym wszystkim zmęczona. Na dodatek bardzo dokuczał jej fizyczny ból. Spojrzała na Teda z udręczonym wyrazem twarzy.

- Coreen, juŹ nigdy nie będziesz miała powodu do ucieczki - zapewnił ją przez ściśnięte gardło. - Przyrzekam ci!

Nie wierzyła mu, a on wyczytał to w jej oczach. Gdy odwróciła się do pracownicy schroniska, zobaczyła na jej twarzy niezdecydowanie. Ta kobieta walczyłaby o nią jak lwica, gdyby tylko ona sama chciała o siebie walczyć. Lecz Ted Regan miał bardzo silną osobowość. Nie to co Barry Tarleton.

Powrót do przeszłości. Znowu pieniądze, władza, dominacja. Nie da się od tego uciec.

Coreen nie miała siły dłuŹej uciekać.

- Wracam - poddała się.

- A twoje rzeczy?

Pokazała torebkę.

- To wszystko, co mam.

Wyraz jego twarzy zaintrygował pracownicę społeczną, której wydawało się, że już wszystko w Syciu widziała.

- Zadba pan o nią? - zapytała.

Skinął głową. Nie dowierzał swojemu głosowi na tyle, by odpowiedzieć. Coreen wstała, ale kiedy wyciągnął do niej rękę, odsunęła się. Odwróciła się, by podziękować pracownicy społecznej, po czym skierowała się do drzwi.

Jego samochód, lśniący jaguar, stał przed budynkiem. Ted pomógł jej wsiąść, po czym obszedł auto i usiadł za kierownicą.

Coreen zacisnęła ręce na materiale luźnych, pończuchach. Spoglądając na swoje dłonie, zauważyła nagle, że na palcu wciąż ma ślubną obrączkę. Nie miała pojęcia, dlaczego wciąż ją nosi po tym, co się wydarzyło.

Ted wyczuł jej napięcie.

- Przepraszam - powiedział.

Spojrzała przez przednią szybę samochodu.

- Sandy nie powinna cię zmuszać, żebyś po mnie przyjechał.

- Sandy do niczego mnie nie zmuszała - odrzekł cicho. - Jest mi przykro z innego powodu. Z powodu tego, co ci nagadałem.

Nie pojmowała tej nagłej przemiany i nie wierzyła w nią. Milczała. Ted spodziewał się, że to nie będzie łatwe. Nie uświadamiał sobie jednak, że wszelkie jego próby przeprosin będą daremne. Coreen nawet nie chciała na niego patrzeć. Włączył silnik i ruszył w kierunku

Jacobsville.

Czekał na nich lunch, ale Coreen była zbyt zmęczona, by coś jeść. Odrzuciwszy pomoc Teda, pozwoliła, by Sandy zaprowadziła ją do łóżka. Pani Bird szła obok, nie dając jej spokoju, dopóki nie zgodziła się zjeść przynajmniej kanapki. Ale ledwie zdołała ją przełknąć, kiedy dopadło ją zmęczenie. Zamknęła oczy i zasnęła.

Ted uniósł wzrok, kiedy Sandy dołączyła do niego w salonie.

- Jak ona się czuje? - zapytał.

- Śpi. Biedulka, jest wyczerpana. Dlaczego to zrobiła? - dodała. - Powiedziała ci coś?

Podszedł do biurka i sięgnął po słuchawkę.

- Lecę do Kansas. Chcę obejrzeć pewnego ogiera, zanim zdecyduję się go kupić.

Potem mam konferencję w Los Angeles - oświadczył.

Sandy zaczęła się domyślać, jakie są zamiary brata, i wcale jej się to nie spodobało.

- Powiedziałeś jej coś, prawda? - zapytała.

- To już przeszłość - odparł. - Uwalniam ją od siebie. Nie będę jej więcej dokuczał.

- Więc uważasz, że wreszcie zapłaciła wystarczającą cenę za przywilej kochania ciebie? To bardzo miło z twojej strony - powiedziała Sandy z przekąsem. Była wściekła.

Jego palce zdręptały na tarczy telefonu.

- Ona mnie nie kocha - odparł chłodnym tonem. - Kiedyś była we mnie zadurzona. To wszystko.

- Jesteś tego pewien?

- Gdyby mnie kochała, nie wyszłaby za mojego kuzyna, a tym bardziej nie trwałaby przy nim przez dwa lata.

- Z tego, co pamiętam, byłeś dla niej wyjątkowo niemiły w czasie, kiedy umierał jej ojciec - wypomniała mu siostra, wstając z kanapy. - Barry udawał miłego faceta i zaoferował

im pomoc, coś, czego ty nie zrobiłeś.

Skrzywił się, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w pastwiska za oknem.

- Myślisz, że nie wiem? - mruknął.

Sandy ze zmarszczonym czołem czekała na dalszy ciąg. On jednak wybrał numer i ton jego głosu stał się nagle rzeczowy.

Coreen obudziła się dopiero po wyjeździe Teda. Resztę dnia spędziła w towarzystwie Sandy. Rozmawiały o wszystkim, tylko nie o jej bracie.

Zgodnie ze swoim postanowieniem Ted jak najdłużej zwlekał z powrotem do domu.

Coreen z każdym dniem czuła się coraz lepiej. Kiedy Ted pewnego słonecznego popołudnia pojawił się w drzwiach rezydencji, poruszała się już bardzo sprawnie.

Śmiała się z czegoś, co właśnie powiedziała Sandy, jej niebieskie oczy błyszczały, a twarz była roześmiana i promienna. Kiedy jednak usłyszała jego kroki i odwróciła głowę, wszystko to z niej uszło, jakby ktoś nagle zgasił jej wewnętrzne światło.

Ted poczuł się nagle pusty w środku. Nieraz śnił, że wraca i widzi Coreen, która wita go radosnym uśmiechem. Kiedyś, przed laty, przez krótki czas udawało mu się wywoływać u niej taką reakcję. To jednak się zmieniło. Teraz na jej twarzy, kiedy go zauważyła, pojawił się wyraz bólu.

Nie mógł znieść tego widoku. Postawił walizkę i przywitał się z Sandy, zanim znów spojrzał na ich gościa.

- Witaj, Coreen - powiedział z ostrością obojętnością.

- Cześć. - Nie poruszyła się, zupełnie jakby się go bała. Stare opięte dżinsy i bawełniany top w prążki podkreślały jej smukłą figurę. Skrzyżowała ręce na piersi.

Z trudem odwrócił od niej wzrok.

- I co? Udało ci się kupić tego ogiera, którym byłeś zainteresowany? - zapytała Sandy

uprzejmie.

- Nie - odparł. Usiadł na krześle i założył nogę na nogę.

- Lillian dzwoniła dwa razy, kiedy cię nie było - poinformowała go siostra. - Mówiła, że ma pilną sprawę.

- Zadzwoń do niej później. Coreen, jak się czujesz?

- Znacznie lepiej, dziękuję - odparła. Patrzyła na niego z rezerwą. - Jeśli chcesz, to bym wyjechała...

- Nie chcę - przerwał jej szorstko. Jego błękitne oczy próbowały przyciągnąć jej spojrzenie, ale ona nie dała się sprowokować. Przeniósł wzrok na Sandy i uśmiechnął się.

- Zostawię was samych - powiedziała Coreen. Nie zwracając uwagi na ciche zapewnienia Teda, że nie ma potrzeby, by wychodziła, poszła do swojego pokoju.

- A czego innego się spodziewałeś? - zapytała Sandy, kiedy brat zaklął szpetnie.

Stał przy oknie. - Coreen nie zaznała od mężczyzn niczego poza cierpieniem.

Ted sięgnął po papierosa, ale Sandy wyjęła mu go z ust i wrzuciła do kominka.

- Skończ z tym - powiedziała. - Jestem już bardzo zmęczona pilnowaniem ludzi, którzy chcą się zabić.

Spojrzał na nią.

- Nie jesteś moją opiekunką.

- Ale ktoś taki jest ci potrzebny - odparła. - Dlaczego nie oddzwonisz do Lillian? Ona za tobą szaleje, a między wami jest tak mała różnica wieku, że nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia.

Zrozumiał tę aluzję.

- Może masz rację. - Odwrócił się od okna. - Co zamierzasz dzisiaj robić?

- Planowałam spotkanie, ale je odwołam - odrzekła. - Nie zostawię cię sam na sam z

Coreen.

Jego oczy zabłyły gniewnie.

- Tylko się nie wściekaj - ostrzegła go. - Ja ci ufam, ale Coreen nie. Nie zauwaŜyłaś, Őe ona się ciebie boi?

- Co takiego?!

- Ona się ciebie boi, Ted - powtórzyła. - Mój BoŜe, naprawdę tego nie widzisz?

Westchnął cięŜko.

- Kiedyś było inaczej - powiedział.

- Owszem - przytaknęła. - Zanim wyszła za mąż, w jej głowie nawet nie powstała myśl, Őe jakiś męŜczyzna moŜe się nad nią znęcać.

WłóŜył ręce do kieszeni.

- Bydlak! - warknął. - Ja mu współczułem, a on opowiadał mi niestworzone historie, Őeby mi ją zohydzić, Őebym trzymał się od niej z daleka i nie dowiedział się, jak ją traktuje!

- Naprawdę by cię to obeszło? - rzuciła Sandy z kpiącym uśmiechem. - Jesteś ostatnią osobą, do której Coreen zwróciłaby się o pomoc.

Broda zadrŜała mu pod wpływem bolesnych wspomnień.

- Wtedy czy teraz? - zapytał.

- A co to za róŜnica? Nawiasem mówiąc, nie musisz juŜ się martwić, Őe będzie na ciebie patrzeć, kiedy pracujesz. Nie odwaŜy się podejść do okna nawet po to, Őeby je otworzyć.

Mruknął coś pod nosem i wyszedł z pokoju.

Coreen na trzęsących się nogach wyszła na dwór, by popatrzeć na konie. Wcześniej upewniła się, Őe Teda nie ma w pobliŜu.

Ubrała się w swoje własne dŜinsy, jedyne, jakie miała, tenisówki i luźną bluzkę. Było

pochmurno. Zastanawiała się, czy będzie padać. Spalonym przez słońce pastwiskom bez wątplenia przydałoby się trochę deszczu.

Zatrzymała się przy drzwiach stajni i zmarszczyła brwi, ponieważ usłyszała głosy dobiegające z głębi czystego, wyłożonego słomą korytarza, który biegł na przestrzał od jednych otwartych drzwi do drugich.

Kiedy zauważyła Teda, odwróciła się szybko i ruszyła w stronę domu.

- Coreen!

Zatrzymała się. Popatrzyła na niego ostro. Miał na sobie kapelusz, brudne dżinsy ze skórzanymi ochraniaczami i wzorzystą koszulę. Jego twarz była ponura. Jak zwykle był nie w sosie.

- Nie wiedziałam, że tutaj jesteś - usprawiedliwiła się.

- Domyślam się - odrzekł z goryczą. - Wychodzisz z pokoju, kiedy wchodzę, zostajesz w swojej sypialni, dopóki rano nie wyjdę z domu, nawet nie wychodzisz na ganek, jeśli wydaje ci się, że jestem w pobliżu!

Zrobiła krok do tyłu.

- Nie! - Zacerpnął powietrza, by pohamować złość. - Nie odchodź - powiedział, zmuszając się do tego, by mówić łagodnie. - Coreen, nie mam zamiaru cię skrzywdzić - dodał, widząc jej napięcie. Skrzyżowała ręce na piersiach, obserwując go czujnie, wręcz trwożliwie.

Zdjął kapelusz i otarł rękawem spocone czoło.

- Pamiętasz Amarilla, konia, którego pośyczała ci Sandy? Został ojcem. Jego córka ma teraz dwa lata. Nadaliśmy jej imię Topper. Chcesz ją zobaczyć?

Coreen odetchnęła.

- Tak - powiedziała po chwili namysłu.

Podał jej rękę.

- Chodźmy.

Podeszła do niego, ale nie podała mu dłoni.

Ted udał, że nie zauważył, że nie chce go dotknąć. Teraz liczą się jej uczucia, nie jego.

Zaprowadził ją w głąb stajni, gdzie w dużym czystym boksie, przy słobie pełnym siana, stała piękna czarna klacz z białą plamą na czole i białymi skarpetkami.

- Cześć, Topper - powitał ją Ted.

Otworzył drzwi boksu i skinął na Coreen, by weszła za nim. Musnął ręką aksamitne chrapy i odwrócił łeb konia tak, by Coreen mogła go pogłaskać.

- Jaka delikatna... - wyszeptała ze zdziwieniem.

- Jak aksamit. - Cieszył się widokiem jej oczu, które aż błyszczały z zachwytu. Dawno nie widział w nich tyle blasku.

- Dlaczego nazwaliście ją Topper?

Wzruszył ramionami.

- Bez powodu. Wydawało się nam, że to imię do niej pasuje. Mamy nadzieję, że zostanie koniem wyścigowym. Znalazłem już trenera, który wkrótce zacznie z nią pracować.

- Koń wyścigowy... - powtórzyła. - Masz na myśli na przykład udział w derbach?

- To właśnie planujemy w przyszłym roku - zwierzył się jej.

- Ma odpowiednie warunki - przyznała.

Patrzył, jak Coreen gładzi grzywę i uszy zwierzęcia, które nie zwracało na nią uwagi pochłonięte posiłkiem.

Gwałtowne i zupełnie niespodziewane uderzenie pioruna sprawiło, że klacz wierzgnęła. Coreen skuliła się z cichym okrzykiem.

- Wygląda na to, że czeka nas wiosenny deszcz - zauważył, rozglądając się po

pograżonej w mroku stajni.

- Albo tornado - dodała nerwowo.

- Nie sądzę - odparł Ted, by ją uspokoić. Gdy wyszli z boksu, wyrzwał na dwór.

Niebo było ciemne, a nad horyzontem zawisły sinoczarne chmury. Kolejna błyskawica przecięła powietrze, po czym rozległ się głuchy grzmot.

- Piękne, prawda? - Zerknął na nią kątem oka. - Pokaz potęgi naszej matki natury.

- Raczej jej gwałtowności - sprostowała Coreen i wzdrygnęła się. Patrzyła z lękiem na kolejne wyładowania. - Nie cierpię hałasu.

Oparł się o ścianę i wpatrzył się z ciekawością w jej bladą twarz.

- Podniesionych głosów też nie? - zapytał łagodnie.

Nie patrzyła na niego.

- Też.

Oderwał się od ściany. Podążyła za nim wzrokiem. W jej oczach był ten sam strach, jaki wcześniej wywołał niespodziewany grom.

- Tylko hałasów, czy również mężczyźni, którzy za bardzo do ciebie się zbliżają?

Uniosła w obronnym geście rękę, kiedy zrobił kolejny krok w jej stronę.

Zauważył, że Coreen aż zesztywniała. Jej oczy zwęziły się. Na zewnątrz wiatr się nasilał, w miarę jak burzowe chmury ciemniały.

- Burze zwiększają liczbę jonów ujemnych w atmosferze - powiedział. - Naukowcy twierdzą, że wówczas czujemy się znacznie lepiej.

- Naukowcy tak twierdzą? - powtórzyła półgłosem.

- Corrie, wiem, jak wyglądało twoje małżeństwo.

Roześmiała się z przymusem.

- Czyżby?

- Od Harry'ego. O wszystkim nam opowiedział.

Sztuczny uśmiech zamarł jej na wargach. Popatrzyła mu prosto w oczy, szukając w nich potwierdzenia. Lecz on umiał skrywać swoje uczucia. Nic nie zobaczyła.

- I ty mu uwierzyłeś? - zapytała po chwili. - Nie do wiary.

Skrzywił się.

- Tak. Domyślałem się, że tak zareagujesz.

Odwróciła wzrok i zeszywniała, kiedy rozległ się kolejny grzmot. Na ziemi przed drzwiami stajni zaczęły rozpryskiwać się pierwsze krople deszczu. Przemokłaby do suchej nitki, zanim dotarłaby do domu. Tym razem nie miała siły uciekać.

- Nic się nie zmieniło - stwierdziła. - Zupełnie nic.

Ted odłożył na bok kapelusz i oparł nogę na beli siana. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na zacinający deszcz.

- W samą porę ta burza - odezwał się w końcu. - Właśnie zaczynamy siać.

- Ach tak.

By uspokoić nerwy, sięgnął do kieszeni koszuli po papierosy, ale zorientował się, że siostra mu je zabrała.

Roześmiał się cicho.

Coreen spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Sandy ukradła mi papierosy - wyjaśnił. - Boi się, że mnie zabiją. Nie może wymóc na mnie, że bym rzucił palenie, więc próbuje innych sposobów.

- Och.

Uniósł brwi i uśmiechnął się rozbawiony.

- Nie znasz żadnych dłuższych słów?

Starał się być uprzejmy. Coreen rozumiała to, ale nie chciała już żadnych kłopotów

więcej. Patrzyła na dom, przeklinając deszcz, który uwięził ją z Tedem w stajni.

On zauważył, jak bardzo Coreen chce odejść, co rozłościło go ponad wszelką miarę.

- Niech to szlag! - zaklął.

Spojrzała na niego, przestraszona, szeroko otwartymi oczami.

- Na litość boską, przestań - jęknął. - Nigdy nie uderzyłem kobiety! To prawda, miewam napady złego humoru. Jestem niecierpliwy, a kiedy coś mi się nie podoba, mówię to prosto z mostu. Ale to jeszcze nie znaczy, że zamierzam cię skrzywdzić! Uwierz mi, skarbie!

Tym ostatnim słowem przemówił do jej serca. Nigdy nie używał czułych słów, kiedy ze sobą rozmawiali. Nigdy nie słyszała nawet, żeby tak się zwracał do Sandy. Speszona opuściła wzrok.

Popatrzył na nią zdziwiony jej reakcją.

Przysunął się do niej o jeden krok, by niepotrzebnie jej nie straszyć. Obserwowała go, ale się nie cofnęła. Stał na wyciągnięcie ręki. Wędrował wzrokiem po jej twarzy. Z tej odległości widział cienie pod jej oczami.

- Nie sypiasz za dobrze, prawda? - zaniepokoił się.

- Za dużo się na mnie zważyło... - zawahała się. - Nie wyobrażasz sobie...

- Chyba sobie wyobrażam - odrzekł. - Coreen, myślę, że powinnaś skorzystać z pomocy psychologa. Ten związek zniszczył cię emocjonalnie.

- Nie jestem jeszcze na to gotowa - powiedziała. - Jestem śmiertelnie zmęczona. Chcę odpocząć i nie myśleć o swoich problemach. - Wciągnęła powietrze. Bawiła się przez chwilę kosmykiem włosów, który opadł jej na zaróżowiony policzek. - Ted, wiem, że nie słyszysz sobie mojej obecności tutaj. Dlaczego nie chcesz pozwolić mi wyjechać do Victorii i zamieszkać z Sandy?

- Kto ci to powiedział?

- Twoja siostra. Podobno wciąż wynajdujesz nowe preteksty, żebyśmy się tam nie przeprowadzały.

- To nie są preteksty - zaprotestował. - To są ważne powody. Siedziałabyś tam sama przez większą część dnia. Przecież Sandy pracuje. Tutaj przynajmniej zawsze w pobliżu jestem ja albo pani Bird.

- Nie musisz się czuć za mnie odpowiedzialny. - Wzruszyła ramionami.

- Owszem, muszę - odparł. - Zarządzam spadkiem, który zostawił ci Barry.

- Nie chcę tych pieniędzy - powiedziała zmęczonym głosem. - Nie dla nich za niego wyszłam!

- Te pieniądze należą ci się z mocy prawa - stwierdził. - I je przyjmiesz.

Gwałtownie uniosła głowę. Przez chwilę myślał, że wstąpił w nią nowy duch, iskra, która pomoże jej wyjść ze skorupy i wrócić do świata żywych. Ale ta iskra natychmiast zgasła.

- Nie mam siły walczyć - wyszeptała. - Kiedy stanę na nogi, poszukam pracy i mieszkania. I na dobre zniknę z twojego życia.

Tego się obawiał. Chciał jej to powiedzieć, wyjaśnić, co czuje, ale deszcz zmienił się w niegroźną mżawkę i Coreen wyszła ze stajni, kierując się w stronę domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Zauważyłaś, że ostatnimi czasy mój brat stał się bardzo nerwowy? - zapytała Sandy przyjaciółkę pewnego popołudnia, kiedy siedziały w kuchni, wsłuchując się w gniewne pokrzykiwania Teda, który z pomocnikami naprawiał cięgarówkę. - Jeszcze nie słyszałam w jego ustach takich wiązanek!

Rzeczywiście, z dworu co rusz dolatywały do nich niewybredne przekleństwa. Coreen spojrzała przez okno na szopę z blachy, w której trzymano pojazdy gospodarcze. Jeden z

mężczyzn, którzy pracowali z Tedem, akurat cisnął na ziemię klucz francuski i odszedł wściekły.

- Hawkins, albo w tej chwili wrócisz, albo szukaj sobie innej roboty! - ryknął za nim Ted.

- Wybieram to drugie - usłyszały odpowiedź robotnika. - Każda praca będzie lepsza niż tutaj.

- Mięczak! - krzyknął za nim trzeci mężczyzna z satysfakcją.

- Charlie, chcesz pójść w jego ślady? - zapytał Ted z groźnym uśmiechem. - Wolna droga!

Charlie bez słowa podniósł z ziemi klucz i podał go mechanikowi pochylonemu nad silnikiem ciężarówki.

Coreen drżała. Takie sceny wciąż wprawiały ją w niepokój, a Ted okazał się o wiele bardziej porywczy, niż sądziła. W domu, gdzie czuł się swobodnie, potrafił być okropny.

- Jak ty to wytrzymujesz? - zapytała przyjaciółkę, kiedy nakrywały do stołu.

Sandy odwróciła się do niej, uświadamiając sobie, że hałas na dworze ustał.

- To nie tak, Coreen... - rzekła półgłosem. - Mój brat nie jest taki jak Barry. On nie jest brutalny. Bardzo trudno wyprowadzić go z równowagi do tego stopnia, żeby kogoś uderzył. I nigdy, przenigdy nie podniósł ręki na kobietę. Teraz jest taki nieznośny, bo jest wściekły na siebie za to, że był dla ciebie niemiły. Przykro mu z tego powodu, ale jest zbyt dumny, żeby cię przeprosić.

- Ale on strasznie wrzeszczy! - mruknęła Coreen.

- W środku jest miękki. To, co widzisz, to nie jest prawdziwy Ted. On ukrywa swoje uczucia pod bardzo grubym pancerzem, żeby nikt nie domyślił się, jaki jest naprawdę.

- Akurat! - zadrwiła Coreen. - Ted jest cały ze stali pancernej.

Sandy postawiła talerz na stole.

- Ale ty go nie nienawidzisz, prawda? - zapytała. Coreen zaczerwieniła się. - Mam rację? - nalegała przyjaciółka.

- Masz - przyznała Coreen, opuszczając wzrok. - Ale wolalabym go nienawidzić.

Barry sprawił, że moje życie było pasmem nieszczęść. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy być z kimś, kto szydzi z twoich uczuć, stale przypomina, że ktoś cię odrzucił, i na każdym kroku udowadnia, że nie jesteś warta miłości. Był zazdrosny o twojego brata... Chorobliwie zazdrosny, chociaż tak naprawdę sam mnie nie chciał. Nie mógł znieść myśli o tym, co czuję do Teda. Myślę, że tamtej nocy był w stanie mnie zabić...

Za jej plecami rozległ się cichy szelest. Odwróciła głowę. W otwartych drzwiach stał blady jak ściana Ted.

- No to się nasłuchałeś - wymamrotała Coreen, niechętnie trącając łokciem otwartą torbę z mąką. Przytrzymała ją nerwowym ruchem.

- Prawdziwa Miss Wdzięku - palnął Ted bez zastanowienia.

Była to kropla, która przelała czarę goryczy. Coreen dostrzegła jeszcze wyraz żalu na twarzy Teda, który za późno przypomniał sobie, co Henry mówił o Barrym i o tym, jak nieustannie drwił z jej niezdarności, ale nie mogła już się powstrzymać. To było o jedno szyderstwo za dużo.

Machinalnie chwyciła torbę z mąką i rzuciła nią w jego kierunku. Ubrudzona olejem silnikowym twarz Teda zniknęła pod białą warstwą pyłu.

- Kara smoły i pierza - orzekła Sandy słodkim głosem, po czym wybuchnęła śmiechem.

Ted popatrzył na nią, a potem na Coreen, która zdawała się tak samo zdumiona tym, co zrobiła, jak on.

Ujrzała błysk złości w jego oczach. Poczzerwieniał. Zrobiło jej się słabo na samą myśl

o tym, jak Barry zareagowałby w takiej sytuacji. Czowała, jak drżała jej kolana, czekając, kiedy

Ted wybuchnie, kiedy ją uderzy.

Jej spojrzenie uśmierzyło jego gniew. Natychmiast się opanował.

- Jak na kobietę, która nienawidzi przemocy - wycodził przez zęby - wykazujesz zadziwiający brak samokontroli.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni, zostawiając za sobą białe ślady.

- I niech to będzie dla ciebie nauczka! - krzyknęła za nim Sandy. - Zapamiętaj sobie, że nie wolno denerwować kobiety, kiedy coś gotuje!

Kowboj, który mu pomagał, musiał stać na ganku, bo do uszu kobiet dobiegł nagle okrzyk przerażenia, a potem wybuch śmiechu, któremu wtórowały przekleństwa.

Coreen była załamana tym, co zrobiła. Jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi to,

że Ted nie wziął na niej odwetu. To była dla niej tak wielka ulga, że zaczęła płakać. Ledwo powstrzymując wesołość, Sandy przytuliła ją.

- Spokojnie, nikomu jeszcze nie zaszkodziło trochę mąki. Z pewnością od tego nie umrze. Słuchaj, Coreen, jeśli nie uda mu się tego wszystkiego zmyć, możemy wrzucić go na patelnię i usmażyć. Był już wysmarowany olejem, a ty tylko dodałaś pani erkę...

Na myśl o chrupiącym Tedzie ułożonym na wielkim półmisku Coreen przestała płakać i równieś się roześmiała.

Na kolację Ted przyszedł już czysty. Spojrzał na obie kobiety, ale ani słowem nie wspomniał o tym, co zaszło.

Coreen jadła z odrobinę większym apetytem niż zwykle. Ona i Barry rzadko jadali razem, z wyjątkiem początków małżeństwa. A i wtedy te wspólne posiłki były dla Barry'ego przede wszystkim okazją do tego, by jej dokuczać z powodu Teda.

Kiedy przyszedł czas na deser, Ted wziął filiŹankę z kawą i wyszedł bez słowa.

- Jest w złym nastroju - zauwaŹyła Sandy. - Ale będzie mu szkoda, Źe zrezygnował z ciasta. MoŹe zaniósłabyś mu kawałek na zgodę?

- Nie chcę z nim się godzić.

- AleŹ oczywiście, Źe chcesz. - Przyjaciółka uśmiechnęła się szeroko. - Idź. To nie boli.

- To tylko tobie tak się wydaje. Wiedziałaś, Źe stoi za moimi plecami, prawda?

Sandy zaczerwieniła się.

- Chciałam tylko, Źeby się przekonał, Źe nie czujesz do niego nienawiści. Myślałam, Źe to pomoŹe. Przepraszam.

Coreen nic nie powiedziała. Wstała i zaniósła talerzyk z kawałkiem ciasta do pokoju Teda.

Drzwi były otwarte. Ted siedział za ogromnym dębowym biurkiem i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ścianę. W dłoni trzymał filiŹankę.

- Masz ochotę na ciasto? - zapytała nieśmiało.

Odchylił się w fotelu i spojrzał na nią.

- Sandy cię tu przysłała, prawda? - Zaśmiał się, ponieważŹ jej wyraz twarzy zdradził, Źe tak właśnie było. - Wątpię, byś przyszła tu z własnej woli.

Puściła mimo uszu tę ironiczną uwagę i postawiła talerzyk z ciastem na biurku.

- Wcale nie miałem na myśli tego, co powiedziałem - wyznał. - Wiem, Źe nie jesteś niezdara. Powinienem był ugryźć się w język.

- A ja zareagowałam zbyt ostro - odrzekła pojednawczo. Wpatrywała się w słoje drewna na blacie biurka. - TeŹ przepraszam. - Podniosła na niego wzrok. - Nie uderzyłeś mnie.

Jego rysy stęsały.

- Nie muszę bić kobiet, żeby czuć się mężczyzną.

- Jednak miło jest się upewnić.

Nie zdziwiło go, że po tym, co przeszła, potrzebuje takich dowodów. Wypił łyk kawy i odstawił filiżankę na biurko.

- Podejrzewam, że nie masz ochoty na to, byśmy się pocałowali na zgodę.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Och, nie miałem na myśli nic zdrośnego - wyjaśnił pośpiesznie. Jego wzrok był czujny, ale przychylny i dziwnie czuły zarazem. - Niewinny pocałunek mógłby ci pomóc w przezwyciężeniu lęku przed mężczyznami.

- Nie chcę, żeby zbliżał się do mnie jakikolwiek mężczyzna - oznajmiła z nieskrywanym smutkiem.

- Rozumiem, że teraz tak to odczuwasz - odparł. Jego głos był wciąż łagodny. - Ale nie możesz pozwolić, żeby tak zostało. Szkoda byłoby zmarnować twój instynkt macierzyński. Pamiętasz, jak Mary Gibbs przyszła z synkiem do sklepu twojego ojca? - dodał tęsknie, zupełnie jakby sam bardzo starannie pielęgnował to wspomnienie. - Oczy ci się śmiały, gdy trzymałaś w ramionach tego szkraba.

- Przecież wcale na mnie wtedy nie patrzyłaś... - wyjąkała.

Przeszył ją wzrokiem.

- Nigdy nie przestawałem na ciebie patrzeć - wyznał. - Obserwowałem cię cały czas, nawet wtedy, gdy nie wiedziałaś, że jestem w pobliżu. Skarbie, wciąż nie rozumiesz? -

Pokręciła głową. - Mam czterdzieści lat, a ty zaledwie dwadzieścia cztery.

Z jej spojrzenia wyczytał, że ona w dalszym ciągu niczego się nie domyśla. Westchnął ciężko.

- Jestem od ciebie szesnaście lat starszy - ciągnął. - Nie zdajesz sobie sprawy, jakim cię sąrem stałaby się kiedyś dla ciebie ta różnica wieku.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Ja nic dla ciebie nie znaczę - stwierdziła - więc nie musisz mówić o różnicy wieku.

Nie nienawidzę cię, ale też cię nie kocham. Postarałeś się o to. Jesteś bezpieczny, Ted - dodała beznamiętnym tonem. - Nigdy już ci nie zagrozę, ani tobie, ani żadnemu innemu mężczyźnie.

Ruszyła w stronę wyjścia. Nie usłyszała jego kroków, zobaczyła tylko rękę zatrzasnącą przed nią drzwi.

Zbyt zdenerwowana by się odwrócić, znieruchomiała. Poczowała, jak jego dłonie chwytają ją za ramiona. Chwilę później odwróciły ją plecami do drzwi. Stała oko w oko z rozwścieczonym Tedem.

- To nie znaczy, że ja nie stanowią zagrożenia dla ciebie. Jestem już bardzo zmęczony tą szlachetną postawą... - wycedził przez zęby.

Pochylił się do jej ust. Jęknęła, kiedy poczuła ciepły, twardy nacisk jego warg. Jej ręce odruchowo powędrowały do góry, by go odepchnąć.

- Nie zrobię ci nic złego - szepnął czule. - W żadnym sposób. Nawet cię nie obejmę. Skarbie, nie broń się. Pozwól się pocałować tylko ten jeden raz.

To będzie fatalne w skutkach. Wiedziała to. Ale słodki dotyk jego ust był niczym nektar. Przez tyle lat tak bardzo go kochała. Ich czas już minął, ale tych kilka chwil było przypomnieniem tego, że mogli być razem szczęśliwi.

Nie opierała się. Jej wargi musnęły jego usta w powolnym, łagodnym pocałunku, który w końcu stał się natarczywy i głęboki. Ted nie objął jej, nawet nie dotykał. Tylko ich usta stykały się przez kilka sekund, które wydawały się wiecznością.

Kiedy Ted wreszcie uniósł głowę, Coreen nie mogła złapać tchu. Jego błękitne oczy patrzyły na nią poważnie.

- Właśnie tak mogłoby być - powiedział ochryplym głosem. - A to dopiero początek.

Otrząsnęła się.

- Ted, nie zniżaj się nade mną - wyszeptała z goryczą.

- Ja się zniżam? - jęknął.

- Nie mam siły drugi raz przez to przechodzić - stwierdziła, wzdrygając się. - Barry dręczył mnie tobą. Powtórzył mi, co mu powiedziałaś podczas wizyty u nas - dodała, patrząc na niego oczami pełnymi bólu. - Źe tylko się mną bawiłeś, zanim za niego wyszłam, Źe nigdy mnie nie pragnąłeś, bo byłam za chuda, Źe nie byłam dla ciebie wystarczająco kobieca...

Zamknął oczy.

- Coreen... - Odepchnęła go i otworzyła drzwi. - To nie była prawda - powiedział ciszej.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Ale tak było - odparła ze smutkiem. - Sam mi to powiedziałaś, tamtej nocy podczas balu strzelców.

- Kłamałem - wyznał.

Uśmiechnęła się ponuro.

- W porządku, Ted. To było dawno temu. Nie próbuj na nowo grać na moich uczuciach. Poza tym oboje wiemy, Źe masz już inny obiekt zainteresowań.

Wyszła, zanim zrozumiał, Źe chodziło jej o Lillian. Westchnął. Ona naprawdę myśli, Źe coś go z nią łączy! Miał sobie za złe, Źe zaprosił Lillian. No tak. Zepsuł wszystko. Coreen już nie pozwoli się do siebie zbliżyć. Uwierzyła Barry'emu, Źe Ted tylko się nią bawił. Na chwilę ogarnęła go rozpacz. Potem jednak uznał, Źe musi być jakiś sposób, by pokazać jej,

jak naprawdę sprawy się mają. Ale jak tego dokonać?

Topper okazała się doskonałym wabikiem, by wyciągnąć Coreen z domu. Uwielbiała przyglądać się młodej klaczy biegnącej w corralu za domem. Ona podziwiała Topper, a Ted ją.

Coreen z dnia na dzień coraz częściej się uśmiechała, a jej cera stopniowo nabierała kolorów. W jej niebieskich oczach tańczyły wesołe iskierki. Nawet zaczęła przybierać na wadze.

Pewnego dnia stała na dolnej Śerdzi ogrodzenia, jak zwykle podziwiając Topper, kiedy poczuła na sobie spojrzenie Teda. Nie odwróciła się. Nie musiała. Wiedziała, kiedy jest blisko.

- Gorąco dzisiaj. - Objął ją w pasie i postawił na ziemi. - Nie stój za długo na słońcu.

- Ted, nie przesadzaj...

Urwała na widok zakrwawionego bandaŚa na jego ramieniu. Ted wydawał się rozbawiony jej przeraŚeniem.

- Byk zahaczył mnie rogiem - wyjaśnił. - Nic powaŚnego.

DrŚącymi palcami dotknęła niedbałego opatrunku.

- Ciągłe krwawisz! Chodź. - Nie ruszył się z miejsca, więc chwyciła go za zdrową rękę. Miała bardzo zmartwioną minę. - Ted, chodź ze mną! Proszę!

Pozwolił się zaprowadzić do domu. Przez tylne drzwi weszli do kuchni, gdzie nad zlewem Coreen ostroŚnie odwinęła bandaŚ. Było tak duŚo krwi, Śe nie moŚna było nawet dojrzeć rany. Całe szczęście, Śe nie była zbyt wraŚliwa na takie widoki.

Obmyła delikatnie ranę, po czym palcami ucisnęła arterie nad nią, krzywiąc się na myśl, jak bardzo musi go to boleć. Gdy po dwóch minutach krwawienie nie ustawało, spojrzała na niego z troską.

- To jest poważna sprawa - oznajmiła. - Musisz natychmiast jechać do lekarza.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Coreen, to zdarzyło mi się nie po raz pierwszy. Naprawdę wiem, co mam robić.

- Zabieram cię do lekarza. Nie wykręcaj się. Jeśli nie dasz się zawieźć, wezwę karetkę.

Otworzył usta, by zaprotestować, ale bladość jej twarzy i gniewne spojrzenie

powstrzymały go. Ucieszyło go, że Coreen tak nim się przejmuje. Podobało mu się to, że wstąpił w nią nowy duch. Obawiał się, że tak długo maltretowana przez Barry'ego Coreen nigdy już nie będzie taka jak dawniej.

- Dobrze, Corrie - dał za wygraną, używając tego zdrobnienia po raz pierwszy, od kiedy zamieszkała w jego domu.

Nie zwróciła na to uwagi. Za bardzo się bała, że Ted wykrwawi się na śmierć. Szkoda, że nie ma pani Bird albo Sandy! Jest zdana na samą siebie.

Podał jej kluczyki do ciężarówki.

- Poradzisz sobie? Jest długa.

- Spokojna głowa - odparła, prowadząc go w stronę białego - czerwonego samochodu. -

Nie bój się, nie rozwalę stajni ani nie wjadę do rowu.

Roześmiał się.

- Uf, ulżyło mi - zasartował.

Jak na człowieka, który był bliski wykrwawienia się na śmierć, był zaskakująco wesoły.

Pomogła mu wsiąść, po czym sama zajęła miejsce za kierownicą i zapytała go o nazwisko jego lekarza.

- Lou Blakely - poinformował ją.

Nie odzywała się przez całą drogę do miasta. Zerkała tylko od czasu do czasu na

zakrwawiony bandaŝ na jego ramieniu. Martwiła siê, ale on byÅł zadziwiajÄcÄ obojêtny. To dobrze, pomyÅlaÅ, bo ona niepokoi siê za nich dwoje.

Po przybyciu na miejsce podaÅa jego nazwisko recepcjonistce. OkazaÅo siê, Åe nie byÅo takiej potrzeby, poniewaÅ kobieta doskonale znaÅa Teda.

UÅmiechnęÅa siê na widok tego potêÅnie zbudowanego ranczera podtrzymywanego przez drobnÄ, zdecydowanÄ kobietê.

Jej uÅmiech zgaÅ, gdy zauwaÅyÅa zakrwawiony bandaŝ. Natychmiast wezwaÅa pielêgniarkê, ktÅra zaprowadziÅa ich prosto do ambulatorium. Po chwili zjawiÅ siê lekarz: przystojna blondynka w biaÅym fartuchu.

- To pani jest doktor Lou Blakely? - zapytaÅa ze zdziwieniem Coreen. - MÅwiÄc szczerze, spodziewaÅam siê mêÅczyzny.

Lekarka rozeÅmiaÅa siê i zaczęÅa oglÄdaÅ ranê Teda.

- Lou to zdrobnienie od imienia Louise - wyjaÅniÅa, po czym zapytaÅa: - Ted, jak to siê staÅo?

- Kolidzja z rozjuszonÄ bykiem - rzuciÅ pogodnie, po czym gestem gÅowy wskazaÅ na Coreen. - Za nic w Åwiecie nie daÅa sobie wytÅumaczyÅ, Åe nic mi nie będzie, i uparÅa siê, Åe musi mnie tu przywiezÅ.

- I bardzo Ålusznie postÄpiÅa - powiedziaÅa Lou, ÅciÄgajÄc brwi. - Ta rana wymaga szycia. Kiedy ostatni raz szczepiÅ siê przeciw tÅcowi?

- Nie pamiêtam - odrzekÅ. - JakiÅ czas temu.

- Dla pewnoÅci zaszczepimy ciê jeszcze raz. Berty! - krzyknęÅa do pielêgniarki. -

Przygotuj szwy, jodynê i surowicê przeciw tÅcowÄ, a ja przez ten czas zbadam pacjenta w gabinecie trzecim. - Za chwilê wracam - obiecaÅa Lou, po czym wyszÅa z ambulatorium.

- MoÅesz poczekaÅ na zewnÄtrz, jeÅli wolisz na to nie patrzeÅ - zwrÅciÅ siê Ted do

Coreen, która siedziała sztywno na krześle obok leŹanki.

Kiedy spojrzała na niego, zobaczył na jej twarzy wyraz rozpacz. Łzy spływały jej po policzkach.

- JeŹli chcesz się mnie...

- Corrie! - przerwał jej. Wyciągnął do niej zdrową rękę. Chwycała ją. Wargi jej drŹały.

- Och, kochanie... - wyszeptał ochryplym głosem, a w jego oczach pojawiła się niezwykła czułość. - Nie płacz, kochanie! Nic mi nie jest!

- Tak bardzo krwawisz... - wyszeptała łamiącym się głosem.

Wzruszony przygarnął jej głowę do swojej piersi i zanurzył palce w jej włosach.

- Nic mi nie jest - powtórzył dobitnie.

Gdy w drzwiach ukazały się doktor Blakely wraz z pielęgniarką, Coreen odsunęła się od Teda, by im nie przeszkadzać.

Lekarka uŹmiechnęła się do niej.

- Ted jest silniejszy, niŹ się pani wydaje. Naprawdę.

Coreen skinęła głową, nie mogąc wydobyć głosu.

Wreszcie zabieg dobiegł końca i Coreen wyszła z pielęgniarką, podczas gdy Lou robiła Tedowi zastrzyk.

- Od jak dawna jesteŹcie państwo małŹeństwem? - zapytała Betty, widząc na palcu

Coreen obrączkę. Nie mogła przecieŹ wiedzieć, Źe jest to obrączka Barry'ego, nie Teda.

- Ja... - zaczęła niepewnie Coreen. Poczwała się kompletnie zagubiona.

- Od niedawna - poŹpieszył jej z pomocą Ted, który akurat wychodził z ambulatorium.

Ujął ją pod rękę. - Chodź, kochanie. Jedziemy do domu. Dzięki, Betty.

- Nie ma sprawy, panie Regan.

- Twoja odzywka sprawiła, Źe ta dziewczyna będzie teraz uwaŹała nas za małŹeństwo

- wyrzucała mu Coreen po drodze do samochodu.

- Betty jest tutaj nowa. Nie chciało mi się strzepić języka, żeby jej wszystko

wyjaśniać. - Zatrzymał się przy drzwiach do szoferki i spojrzał na nią łagodnie. - Wciąż nosisz jego obrączkę. Dlaczego?

Okręciła nią na palcu.

- Myślałam, że jeśli ją zdejmę, dostarczę ci kolejnego pretekstu do nowych zarzutów.

Chwyił ją za rękę i ściągnął obrączkę z palca. Rzucił ją na ziemię i obcasem wgniół w piach, patrząc przy tym Coreen prosto w oczy.

- Ale... - wyjąkała.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Zawieź mnie do domu - powiedział, po czym wsiadł do samochodu. Wahala się przez chwilę, wpatrując się w miejsce, gdzie upadła obrączka. Nie podniesie jej. To małżeństwo należy już do przeszłości. Musi o nim zapomnieć. Czy właśnie to Ted starał się jej przekazać?

Wsiadła do ciężarówki. Przez całą drogę powrotną na ranczo milczała pogrążona w zadumie.

Kiedy Sandy wróciła z pracy, była zszokowana tym, że Ted zgodził się na wizytę u lekarza dopiero po długich namowach.

- Ty kretynie! - wymyślała mu przy kolacji. - Ja usiłuję ratować cię przed rakiem płuc, chowając przed tobą papierosy, a ty tak beztrząsowo wystawiasz się na ryzyko zakażenia tęszczem! Całe szczęście, że była tu Coreen!

- To prawda - przyznał. - Całe szczęście, że tu była.

Sandy odłożyła widelec i napiła się gorącej herbaty.

- Ted, czy moje mieszkanie już jest gotowe? - zapytała.

Wlepił wzrok w talerz.

- Sandy, nie miałem czasu tym się zająć. Wpadnę tam za dzień lub dwa - obiecał.

Sandy popatrzyła na Coreen, po czym przewróciła oczami. - Poza tym wiesz dobrze, że

Corrie nie powinna być sama przez cały dzień, kiedy ty idziesz do pracy - powiedział

niespodziewanie. - Tutaj ma przynajmniej właściwą opiekę.

- Czuję się już znacznie lepiej - zaprotestowała Coreen. - Nic mnie już prawie nie boli

i nie mam zawrotów głowy...

- Lecz nadal jesteś w szoku - odparł. - Wiele przeszłaś. Zbyt wiele.

- Ted ma rację - przyznała Sandy. - Chyba nie jest ci tutaj bardzo źle?

Coreen zawahała się. Spojrzała nieśmiało na Teda.

- Lubię przyglądać się Topper - wyznała. - Jeśli przeprowadzę się do Victorii, będzie

mi tej przyjemności brakowało.

Oboje uśmiechnęli się.

- W takim razie zostajesz - zdecydował Ted.

- Na razie. Ale to w niczym nie zmienia faktu, że muszę zacząć szukać pracy i

mieszkania.

Ted odłożył widelec i popatrzył na nią spodoba.

- Czemu nie chcesz tu zostać?

- Nie mogę - odparła. - Nie należę do waszej rodziny, będę dla was finansowym

ciężarem, dopóki nie skończę dwudziestu pięciu lat. Ted, nie musisz...

- Do diabła, wiem, że nie musisz - mruknął. - Ale czy pomyślałaś o tym, jakie masz

kwalifikacje? I jak dużo siły wymaga praca przez osiem godzin dziennie? Nie mówiąc już o

tym, ile kosztuje, nawet w Jacobsville, wynajęcie mieszkania? - Po minie Coreen widać było,

że wolałaby nie myśleć o swojej sytuacji. - To jest bardzo duży dom - ciągnął. - Mieszkamy

w nim tylko we dwoje. Dotrzymujesz Sandy towarzystwa. Jesteś jej serdeczną przyjaciółką.

- Aleja...

- Daj spokój, wszystko się ułoży - powiedział łagodnie. - Dopóki całkowicie nie wyzdrowiejesz, będziesz dostawała ode mnie na poczet spadku pieniądze na własne wydatki.

Nie myśl, co będzie jutro. Masz na to mnóstwo czasu.

- Ted ma absolutną rację - przyznała Sandy z uśmiechem. - Mówiąc szczerze, chyba bym oszalała, gdybyś mnie teraz opuściła.

- Jeśli wam nie zawadzam... - wybąkała Coreen.

Wszyscy wiedzieli, że to znaczy „tak”. Ted ponownie zajął się jedzeniem, a jego uśmiech zdradzał, że jest z siebie bardzo zadowolony.

Trenerem Topper był starszy mężczyzna, który przez całe życie pracował z wierzchowcami pełnej krwi. Jego syn Barney odwiedzał go w weekendy. Młody człowiek bardzo szybko zauważył Coreen. Chłopak miał łagodny charakter, był niezbyt wykształcony, za to całkiem sympatyczny. Coreen polubiła go i w trakcie jego cotygodniowych wizyt spędzała z nim coraz więcej czasu.

Problem pojawił się, gdy Ted zaczął częściej bywać w domu. Wcale mu się nie podobało, że w pobliżu Coreen kręci się inny mężczyzna. A skoro mu to zawadzało, postanowił to ukrócić. Barney zniknął. Coreen brakowało jego towarzystwa, więc zapytała trenera, czemu jego syn już do niego nie przyjeżdża.

Dowiedziała się, że Ted załatwił mu posadę w Victorii. Barney podobno nie posiadał się ze szczęścia. Coreen zastanawiała się, czy przysługa Teda była do końca bezinteresowna, ale nie przyszło jej do głowy, że Ted po prostu jest zazdrosny. Dopatrzyła się w tym wyłącznie chęci dokuczenia jej.

Jeszcze tego samego ranka postanowiła się z nim rozmówić. Zastała go w jego pokoju.

Właśnie rozmawiał przez telefon. Zaczęła się wycofywać, ale niecierpliwym gestem zaprosił ją do środka.

Odniosła wrażenie, że z kimś się sprzecza. Zakończył rozmowę oschłym tonem i odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź osoby na drugim końcu linii.

- Co się stało? - zapytał.

Jego gniewne spojrzenie ją speszyło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ted zauważył lęk na jej twarzy i po chwili zapanował nad zdenerwowaniem. Odchylił się do tyłu w fotelu i trzymając ręce za głowę, patrzył na nią wyczekująco.

- Masz do mnie jakąś sprawę? - zapytał.

Zawahała się.

- Podobno znalazłeś Barneyowi pracę w Victorii - powiedziała w końcu.

Przytaknął. Z każdą chwilą wyglądał coraz bardziej nieprzystępnie. Jego siwe włosy miały w tym świetle metaliczny połysk.

- I co z tego?

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie. Chciała zapytać, czy pozbył się tego chłopaka tylko dlatego, że spędzała z nim za dużo czasu, ale mogło to zabrzmieć, jakby wyrzucała mu, że jest o nią zazdrosny. Trudno było jej uwierzyć, że z tego powodu pozbawił ją towarzystwa Barneya.

- Pytaj dalej - zachęcił ją.

Uniosła brwi.

- Mam pytać dalej? O co?

- Zapytaj mnie na przykład, czy zrobiłem to po to, żeby trzymał się z daleka od tego rancza.

- Dlatego to zrobiłeś? - spytała z niedowierzaniem.

Omiótł ją spojrzeniem od stóp do głów. Miała na sobie bladą bluzkę z krótkimi rękawami i dopasowaną do jej figury. Zdążyła już nieco przybrać na wadze.

Wyglądała prześlicznie.

- Słucham? - mruknął z roztargnieniem, zdając sobie nagle sprawę, że ona czeka na odpowiedź.

- Pytałam, czy pozbyłeś się Barneya dlatego, że spędzał ze mną tak dużo czasu.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Mówiąc szczerze, tak.

- Ach, rozumiem.

- Czyśby? - zapytał. Nagle pochylił się do przodu i wstał. - Nie zapominaj, że zatrudniłem jego ojca, a nie jego.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - powiedziała, spoglądając w bok. - Jak to się dzieje, że wszyscy, których lubię, nieważnie, zwierzęta czy ludzie, muszą odejść? Barry kiedyś kazał zastrzelić psa tylko dlatego, że go pogłaskałam... - Przerwała w połowie zdania, bo Ted chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie. Jęknęła zaskoczona i znieruchomiała, lecz on nie zwolnił uścisku.

- Nie zastrzeliłem tego faceta, tylko znalazłem mu pracę - wycedził przez zęby. Jego błękitne oczy błyszczały gniewem. - Nie zrobiłem nic, żeby cię skrzywdzić! Przestań mnie ciągle porównywać z moim kuzynem!

Jego gniew przeraził ją. Był jak letnia burza. W następnej chwili przypomniała sobie jednak, jak rzuciła w niego torbą mąki, a on nie zareagował. Najwyraźniej potrafił powściągnąć swój gniew. Barry nawet tego nie próbował.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, chociaż starała się wyrwać. Spojrzał na nią

pytająco.

- Sandy twierdzi, że się mnie boisz - powiedział. - Czy to prawda?

Wlepiła wzrok w jego pierś.

- Jesteś... zapalczywy.

- Zawsze taki byłem - odrzekł. - To u nas rodzinne. Ale mówiłem ci już, że nie mam w zwyczaju atakować kobiet.

- Wiem. Nawet wtedy, gdy oberwałeś mąką - dodała z nieśmiałym uśmiechem.

Uniósł jej głowę. Spodziewała się zobaczyć błysk rozbawienia w jego oczach, ale zawiodła się. Był poważny, wpatrywał się w jej twarz z ciekawością.

- Powiedziałaś Sandy, że Barry zdręczał cię z mojego powodu...

- Proszę, nie wracajmy do tego - wyszeptała.

- Coreen, zapewniam cię, że nie chcę cię zawstydząć. Najwyższy czas, żebyśmy sobie coś wyjaśnili - powiedział łagodnie. - Posłuchaj, Barry oszukiwał nas oboje, napuszczał na siebie nawzajem. Powiedział mi, że to przeze mnie nie pozwalasz mu się dotknąć.

- To nieprawda - odparła, nie patrząc na niego. - Czułam przy nim tylko ból i lęk. To nie miało nic wspólnego z tobą.

- To, co od niego usłyszałem, wpędziło mnie w poczucie winy - wyznał. - W młodości Barry nie odstępował mi na krok. Miałem wrażenie, że w jego oczach zastępuję mu ojca, który przedwcześnie umarł.

- Zazdrościł ci - odparła. - Za wszelką cenę chciał ci we wszystkim dorównać, ale nie potrafił. Przyznał się kiedyś, że zapragnął mnie tylko dlatego, że wydawało mu się, że ty równieś mną się interesujesz. Wygraną w tym wyścigu traktował jak bardzo poważne wyzwanie. - Zaśmiała się gorzko. - Zabawne, prawda? Dopiero kiedy się ze mną oświadczył, dotarło do niego, że tobie wcale na mnie nie zależy.

- I zaczął się za to na tobie mścić?

Zadrżała.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Prychnął gniewnie, wpatrując się ponad jej głową w ścianę. Wzmianka o nieszczęsnym psie, którego Barry kazał zastrzelić, po raz kolejny uświadomiła mu, jak wyglądał jej związek z jego kuzynem.

- To już przeszłość - powiedziała Coreen po chwili. Jego bliskość niepomierne ją niepokoiła, więc się od niego odsunęła. Pozwolił jej na to, lecz wciąż nie odrywał od niej wzroku.

- Czy Sandy kiedykolwiek opowiadała ci o naszych rodzicach? - zapytał niepewnie.

Skinęła głową.

- Wiele razy.

Przeczesał dłonią siwe włosy.

- To różnica wieku między nimi zniszczyła ich małżeństwo. Ojciec nie wytrzymał zawrotnego tempa Śycia towarzyskiego, które prowadziła matka. Był po prostu na to za stary. W końcu zaczęła wychodzić sama, bez niego. Było tylko kwestią czasu, kiedy zakocha się w kimś, kto był jej bliższy wiekiem. Ojciec nigdy nie zrozumiał, dlaczego od niego odeszła. Oplakiwał jej stratę do końca Śycia. Sandy i ja drogo za to zapłaciliśmy. Wmawiał nam, że to nasza wina. Twierdził, że gdyby nie dzieci, zostałyby z nim.

Coreen skrzywiła się. Serce jej się ścisnęło na myśl o tym, co wtedy czuł.

Wysłuchiwanie takich zarzutów musiało być dla dziecka straszliwie bolesne.

- Och, Ted... - wyszeptała. - Gdyby nie było ciebie i Sandy, twoja matka znalazłaby jakąś inną wymówkę. Ona po prostu nie kochała twojego ojca wystarczająco mocno. Gdyby go kochała, zostawałaby z nim w domu, zamiast chodzić na przyjęcia. Nawet nie miałyby

ochoty wychodzić bez niego!

Spojrzał na nią badawczo.

- Czy to jest twoja definicja szczęśliwego małżeństwa? Dwoje ludzi, którzy są nierozłączni?

- Dwoje ludzi, których łączą wspólne zainteresowania - sprostowała. - Dwoje ludzi, którzy kochają się i chcą od Śycia tego samego. - Wzruszyła ramionami. - Barry lubił błyszczeć. Kochał alkohol i towarzystwo pięknych kobiet. Lgnął do ludzi podobnych sobie: nienawidzących wszystkiego, co inne, i nastawionych tylko na przyjemności. Ja nie jestem przesadnie towarzyska. Lubię otwartą przestrzeń i zwierzęta. - Skrzyśowała ręce na piersiach. - Cóż z tego, skoro on nie pozwolił mi trzymać nawet rybek.

Nagle dotarło do niego, że w ogóle nie zna Coreen. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że ona zawsze lubiła bezkresne pastwiska i zwierzęta. Zanim wyszła za Barry'ego, spędzała mnóstwo czasu na ranczu. Kochała konie i nigdy nie przepadała za przyjęciami. Zupełnie jak on! Jak mógł tego dotąd nie zauważyć? Przypomniawszy sobie również, że lubiła strzelanie, w każdym razie do czasu, kiedy przez niego przestała przychodzić z ojcem do klubu strzeleckiego.

Jego udręczony wzrok zbił ją z tropu. Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Jak ja mało wiem o tobie... - powiedział wolno.

- Ted, nigdy nie chciałeś mnie poznać - odparła. Westchnęła i odwróciła się. - Co to ma teraz za znaczenie?

Położyła rękę na klamce.

- Jeśli towarzystwo Barneya tak dużo dla ciebie znaczy, wycofam swoją rekomendację. - W jego głosie zabrzmiała gorycz.

Coreen nawet się nie obejrzała.

- Nie, jego ojciec powiedział, że Barney jest bardzo szczęśliwy. Lubiliśmy się, Ted, nic więcej. Ty i Sandy jesteście dla mnie bardzo mili, ale... - Jak miała mu powiedzieć, że mimo to jest bardzo samotna, że potrzebuje też kogoś innego, z kim mogłaby od czasu do czasu porozmawiać? Sandy cały dzień pracowała, on również. Poza tym nie chciała, by odebrał to jako prośbę o towarzystwo.

- Coreen, czy ty czujesz się samotna? - zapytał delikatnie.

Zacisnęła palce na klamce. Westchnęła.

- Tak jak większość ludzi - odparła wymijająco. Otworzyła drzwi i wyszła.

Kiedy nazajutrz zeszła na śniadanie, ze zdziwieniem ujrzała przy stole Teda.

Poprzedniego dnia Sandy uprzedziła ją, że wyjeżdża bardzo wcześnie na spotkanie w Houston, Coreen pozwoliła więc sobie na luksus spania do późna. Było już po dziesiątej, kiedy ubrana w dżinsy i luźną bluzę ruszyła do kuchni.

Na widok Teda zatrzymała się w drzwiach.

- Śpioch z ciebie - zauważył. - Siadaj i jedz.

- Już po dziesiątej, a ty jeszcze tutaj? - zdziwiła się.

- Przed śniadaniem załatwiłem kilka spraw - odparł tajemniczo. Nalał kawę do kubka i postawił go przed nią, po czym przysunął mleko i cukier. - Pospiesz się, mam dla ciebie niespodziankę.

Popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem.

- Dla mnie?

Skinął głową. Jego błękitne oczy błyszczały.

- Nie ciągnij mnie za język, bo i tak nic nie powiem. Najpierw zjedz.

Nie spotkało jej w życiu zbyt wiele przyjemnych niespodzianek. Jadła grzanekę i popijała kawą, przez cały czas wpatrując się w Teda w nadziei, że w jakiś sposób się zdradzi.

Nie licząc prezentów dla Sandy, Ted nie miał w zwyczaju nikogo niczym obdarowywać.

- Skończyłaś? - zapytał, kiedy wytarła usta.

Przytaknęła.

- W takim razie chodźmy.

Poprowadził ją przez kuchnię, po drodze witając się z panią Bird. Wyszli z domu i skierowali się w stronę stajni. Coreen spojrzała na niego z zaciekawieniem, kiedy zatrzymał się przy pierwszym boksie i otworzył bramkę, by wpuścić ją do środka.

Na posłaniu z miękkiej szmatki spał zwinięty w kłębek szczeniak owczarka szkockiego. Coreen zapało dech w piersiach. Uklękła przy piesku, który otworzył ślepka i cichutko zaskomlił. Podniosła go, by utulić w ramionach. Roześmiała się, kiedy polizał ją po brodzie. Łzy radości, wdzięczności i zaskoczenia potoczyły się po jej policzkach.

Ted ukląkł obok.

- Piękny, prawda? Byłem już z nim u weterynarza. Ma wszystkie wymagane badania i szczepienia. To rasowy pies, z rodowodem. Musisz mu jeszcze tylko wybrać imię... No coś ty?! - dodał, kiedy ujrzał jej łzy.

- Dziękuję... - wykrztusiła, uśmiechając się do niego. - Och Ted, dziękuję! To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam w Syciu! - Pod wpływem impulsu pocałowała go w usta. Sekundę później odsunęła się zawstydzona i przeniosła wzrok na szczeniaczka.

- Nazwę go Shep - wyszeptała.

Ted milczał. Nie mógł oderwać wzroku od jej pochylonej głowy. Nachmurzył się. Zastanawiał się, czy w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Ten odruch, który kazał mu kupić szczeniaka, okazał się nad wyraz trafiony. Po raz pierwszy, odkąd Coreen u nich zamieszkała, Ted poczuł, że sprawił jej prawdziwą przyjemność.

- Widzę, że nie doczekam się dzisiaj od ciebie już żadnego rozsądnego słowa. Wracam

do swojej roboty. - Wstał. Coreen również się podniosła, nie wypuszczając szczeniaka z objęć.

- Dlaczego? - zapytała.

- O co pytasz?

- Dlaczego mi go podarowałaś?

Musnął palcem jej wargi.

- Bo lubię, kiedy jesteś szczęśliwa.

- Dziękuję. Będę się nim dobrze opiekować.

Uśmiechnął się.

- Nie wątpię - powiedział, po czym zostawił ją samą.

Sandy była zachwycona psem. Jednak jeszcze bardziej fascynował ją fakt, że Ted sprezentował go Coreen.

- Nigdy nie uznawał ładnych zwierząt wokół siebie, z wyjątkiem koni oraz psów do pilnowania stad - wyjaśniła. - Pozwoliłby mi trzymać zwierzęta, gdybym się uparła, ale sam nie był ich miłośnikiem. - Zamyśliła się. - To bardzo dziwne, że podarował ci psa.

- Też tego nie rozumiem - wyznała Coreen. - Jaki on jest śliczny.

- Tak, słodki. O rany, kto by pomyślał, że mój brat jest taki nieprzewidywalny - westchnęła.

Coreen i szczeniak byli odtąd nierozłączni. Gdy wychodziła na spacer, Shep nie odstępował jej na krok, a kiedy pomagała pani Bird w kuchni, posłusznie kładł się w kącie.

Wykąpała go i wyszczotkowała, starannie omijając miejsca szczepień. Straciła głowę na jego punkcie, a i on ją uwielbiał.

Pewnego dnia Sandy poprosiła ją, by pomogła Tedowi uporządkować jakieś dokumenty. Weszła do jego pokoju, a Shep tuż za nią.

- Jesteście jak papuŝki nierozłączki! - Na ich widok Ted uśmiechnął się szeroko.

- On jest po prostu rozkoszny! - Roześmiała się. Szczeniak spowodował w niej ogromną przemianę. Jego bezbronność wyzwoliła w niej instynkt opiekuńczy. Sandy już wcześniej podzieliła się z bratem tym spostrzeŝeniem.

- Słyszałem, ŝe stoczyłaś już pierwsze boje w jego obronie - napomknął Ted.

Coreen poczerwieniała.

- To był wielki zły pies. Mógł go pogryźć!

- Czy dobrze słyszałem, ŝe rzucałaś w niego jajkami? - Nie krył rozbawienia.

Zaczerwieniała się jeszcze bardziej, po czym spiorunowała go wzrokiem.

- Ale się ich przestraszył - burknęła wojowniczo.

- Za to ja nie dostałem ciasta na deser, bo były to ostatnie jajka, jakie były w domu, a pani Bird nie miała czym pojechać do sklepu.

- Ted, przepraszam. Nie wiedziałam.

Roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy.

- Nie martw się, jakoś przeŝyję jeszcze jeden dzień bez ciasta czekoladowego.

Rzuciłaś we mnie torbą z mąką, a w obcego psa jajkami. Przypuszczam, ŝe następnym razem w ruch pójdą kartony z mlekiem. - Zasznurował wargi. - Bardzo ciekawa metoda robienia ciasta...

- Przestań sobie ze mnie kpić, bo cię poszczuję Shepem - zagroziła.

Szczeniak przydreptał do Teda i polizał go po ręce. Ted spojrzał na nią wymownie.

- Zdrajca! - fuknęła na psa.

- Małe stworzenia mnie lubią - skomentował skromnie. Gdy spoglądał na psa, jego twarz nagle złagodniała.

- Nigdy nie chciałeś mieć dzieci? - palnęła nagle Coreen bez zastanowienia.

Spojrzał jej w oczy, po czym nagle przeniósł wzrok na jej biodra. Poczwała, jak robi się jej gorąco. Rozchyliła usta. Nie przypuszczała, że jej ciało jest jeszcze zdolne do takiej reakcji. Wpatrzyła się w niego, nie mogąc złapać tchu, podczas gdy jego spojrzenie przeniosło się na jej wargi.

- Potrafisz już czytać w moich myślach? - zapytał z napięciem w głosie, kiedy zobaczył uczucia malujące się na jej twarzy.

Coreen nie znalazła sensownej odpowiedzi.

Podniósł się wolno z fotela, nie odrywając od niej wzroku. Przeszedł ostrożnie obok szczeniaka i zatrzymał się tuż przed nią, tak blisko, że poczuła bijące od niego ciepło i łagodne muskanie jego oddechu na czole.

- Staram się nie myśleć o dziecku - powiedział. - Wiesz dlaczego? - Coreen milczała. -

Dlatego, że wszyscy braliby mnie za jego dziadka. Czuję już ciężar swojego wieku. Nie mógłbym robić ze swoim dzieckiem tego wszystkiego, co robi młody rodzic. Kiedy moje dziecko wybierałoby się do college'u, ja byłbym już o krok od domu starców.

Omiotła wzrokiem jego twarz.

- Jesteś taki przystojny... - wymknęło się jej. - To byłaby wielka strata, gdybyś nie miał dzieci.

Serce biło mu jak oszalałe. Nigdy nie pośadał tak bardzo ładnej kobiety. Wyciągnął rękę i dotknął jej szyi w miejscu, gdzie tuż pod skórą pulsowała tętnica.

- Widzę, że myśl o dziecku nie jest ci niemiła - zauważył. - A ty? Nie chciałaś mieć dzieci?

- Nie z Barrym - odparła drżącym głosem. - Zadbałam o to, żeby ich nie mieć.

Wciąż dotykał jej szyi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

W jego głosie słychać było zaniepokojenie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Brałam pigułki, żeby temu zapobiec - wyjaśniła.

Odetchnął z ulgą.

- Nie miałaś skutecznego zabiegu? - upewnił się.

- Och, nie - odrzekła speszona. - Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się przejąłeś na myśl, że nie mogę mieć dzieci - odparowała, po czym nagle przestraszyła się własnej śmiałości i popatrzyła na niego z przerażeniem.

Nie tylko siebie samą zszokowała tym pytaniem. Wyglądało na to, że nim wstrząsnęło ono w jeszcze większym stopniu. Przez chwilę wpatrywał się w nią pustym wzrokiem. Potem nachmurzył się i patrzył jej w oczy tak długo, aż poczuła, że się czerwieni.

- Sam nie wiem - wyznał szczerze, po czym przysunął się do niej i otoczył jej twarz dłońmi. Były chropowate, ale ciepłe i silne. Popatrzyła na jego usta i przypomniała sobie, jak się czuła rano tego dnia, kiedy podarował jej Shepa i kiedy go pocałowała.

Uniósł nieco jej głowę i sięgnął kciukami do jej ust, lekko je rozchylając.

- Nie zamykaj oczu, kiedy będę cię całował - szepnął. - Chcę, żebyś mnie widziała, żebyś wiedziała, że to ja. Przez cały czas!

Jakbym mogła zapomnieć, że to ty, pomyślała. Przywarł do jej ust i pocałował ją.

Zesztywniała. Jej ręce powędrowały odruchowo do jego piersi, by go odepchnąć. Nie powstrzymało go to jednak.

Dotykał koniuszkami palców jej policzków i warg, cały czas ją całując. I cały czas patrzył jej prosto w oczy. Zobaczył, jak jej źrenice rozszerzają się, kiedy przyciągnął ją do siebie, wsuwając udo między jej nogi.

Jego oddech był urywany, podobnie jak jej. Pieścił jej policzek i usta. Czuła

natarczywy nacisk jego ciała. Chciała się odsunąć, ale jej nie pozwolił. Cofnął się nieco i przysiadł na krawędzi biurka. Przyciągnął ją do siebie i otoczył udami. Poczowała siłę jego pośądania. Zaczerwieniła się i opuściła wzrok.

- Patrz na mnie, Corrie - upomniął ją ochryłym głosem.

Gdy uniosła głowę, zobaczył w jej spojrzeniu strach, nieśmiałość i pośądanie.

Rozchylił usta i przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Oddychał z trudem. Jęknął cicho, czując bliskość jej ciała.

- Ted... - próbowała się bronić.

- Chciałbym, żeby to dla ciebie było tak samo przyjemne, jak dla mnie - powiedział, patrząc jej w oczy. Uśmiechnął się łagodnie. - Wstydzisz się?

- Nigdy tego z tobą nie robiłam... - wykrztusiła.

- To prawda - przyznał. Jego spojrzenie powędrowało do jej bluzki i zatrzymało się na wezbranych piersiach.

Wiedziała, czego szuka. Nienawidziła swojego ciała, lecz już nie mogła go przed nim ukryć.

Oplótł ją nogą i wsunął dłoń pod bluzkę, po czym nie odrywając od niej wzroku, przez cienką tkaninę biustonosza dotknął jednej piersi. Coreen zadrżała.

- Czy to tu Barry cię zranił? - zapytał cicho.

- Nie. W drugą... - wyszeptała.

- Będę bardzo delikatny - obiecał. - Nie musisz się bać.

Sięgnął dalej, by rozpiąć jej stanik. Chwilę później poczuła na plecach jego gorącą dłoń. Jęknęła zaskoczona, że tak łatwo udaje mu się rozbudzić w niej niezwykle doznania.

Podciągał wyżej jej bluzkę. Chwyciła jego rękę, by go powstrzymać, ale on tylko pokręcił głową.

Z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w długą, cienką bliznę i ślady po szwach. Potem przeniósł wzrok na drugą pierś i przez dłuższą chwilę upajał się jej doskonałym kształtem. Pochylił się i przywarł do niej wargami. Coreen wtuliła się w niego, a z jej ust wydobył się cichy pomruk.

Oderwał się od niej na chwilę, by sprawdzić, czy był to jęk bólu, czy rozkoszy.

- Bolało? - zapytał cicho.

Zawahała się, nie wiedząc, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać.

Ale on już wiedział. Jego błękitne oczy rozbliły.

- Nie wstydź się - wyszeptał z czułością. - Ja też czerpię z tego przyjemność. Jesteś taka delikatna... Mam wrażenie, jakbym całował płatek róży.

Kiedy znów się pochylił, już się nie opierała. Oddała się bez reszty cudownym zmysłowym doznaniom, jakie w niej rozbudził.

Niespodziewanie położył ją na biurku wśród dokumentów, pieczętek i długopisów.

Jego wargi stawały się coraz bardziej natarczywe, a ręka powoli rozwierała jej uda. Gdy wsunął się między jej nogi, pomimo dwóch warstw dżinsowej tkaniny natychmiast poczuła rozmiary jego podniecenia. Usiłowała się podnieść, lecz on wykorzystał to, by wsunąć dłoń pod jej pośladki i nadać ich ciałom szybki bezwzględny rytm.

Wpiła paznokcie w jego ramiona, jęcząc tak głośno, że oderwał usta od jej piersi, by ją uciszyć pocałunkiem. Objęła go kurczowo, ponaglając, by zaspokoił jej dojmujący, niezaspokojony głód.

Nie miała pojęcia, że coś tak wspaniałego może się dziać, mimo że oboje są całkowicie ubrani. Gryzła go, wczepiając palce w jego kark i poddając się coraz szybszemu rytmowi ich bioder, dopóki nie pochłonęła jej fala rozkoszy. Oczy zaszyły jej łzami. Płakała z szalu, że nie może czuć go jeszcze bliżej.

Ted ponieważ zorientował się, jak daleko się zapędzili. Z trudem chwycił powietrze, rozpaczliwie usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- PomóŜ mi... - wyszeptał. - PomóŜ mi, Corrie. Nie ruszaj się, kochanie, proszę cię!

Koń jej szloch pocałunkami, a ona stopniowo się uspokajała.

W końcu otworzyła oczy. Nad sobą miała sufit, a w plecy uwierała ją jakaś pieczęć.

Kilka sekund później Ted uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

Odniosła wrażenie, Ŝe jest tak samo wstrząśnięty jak ona.

- Spokojnie - powiedział czule. - Wszystko w porządku. - Odsunął się od niej i

popatrzył na biurko, na pobożowisko, które było ich dziełem. Część dokumentów leŜała rozrzucona po całej podłodze, inne były pomięte.

Był zaskoczony tak spontaniczną reakcją Coreen. MoŜe do męża czuła odrazę, ale

teraz była równie namiętna, jak wtedy, przed laty, kiedy ją pierwszy raz pocałował. Z

nieskrywaną dumą patrzył, jak zapina stanik i poprawia bluzkę.

ZauwaŜyła jego wyraz twarzy, ale go nie zrozumiała. Doprowadziła do porządku

garderobę i wpatrzyła się w niego. Pomyślała, Ŝe wygląda niezwykle seksownie z nabrzmiałymi ustami i siwymi włosami.

Rozejrzała się za Shepem, który najspokojniej w świecie spał na podłodze w kącie pokoju.

- Ładny z ciebie pies obronny - mruknęła pod jego adresem.

- Uznał, Ŝe wcale nie Ŝyczysz sobie jego pomocy - szepnął.

Zaczerwieniła się, dotykając odruchowo bluzki. Skrzywiła się, wyczuwając pod palcami kompromitującą bliznę.

Ted ściągnął brwi, od razu zgadując przyczynę tego grymasu.

- Byłem zbyt natarczywy? Przepraszam. Domyślam się, Ŝe to wciąż musi boleć.

- Nie bolało - powiedziała. Spojrzała nieśmiało na jego szeroką pierś. - Czy mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Czy to jest takie przyjemne tylko na początku? - Uniosła głowę, marszcząc czoło, kiedy napotkała jego zaintrygowany wzrok. - To znaczy, zanim dojdzie do prawdziwego sto...

- zawahała się, po czym pośpiesznie się poprawiła - ...do prawdziwego zbliżenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wcale nie sprawiał wrażenia zszokowanego. Ba, nawet się uśmiechał.

- Tak jest przez cały czas - zapewnił ją. - Zwłaszcza gdy dwoje ludzi tak rozpaczliwie siebie pragnie jak my.

- Ach tak. - Wyprostowała się. - Jestem bardzo samotna - powiedziała nagle z nadzieją, że Ted właściwie zrozumie zapal, z jakim mu uległa.

Najwyraźniej jednak nie pojął jej intencji, ponieważ z każdą chwilą wyglądał na coraz bardziej zadowolonego z siebie.

- Byłaś samotna - sprostował.

Spojrzała na niego.

- Bardzo samotna. Nie miałam siły ci się opierać.

- Czy uważasz, że to wykorzystałem? - szepnął, a ona zastanawiała się przez chwilę, co mu odpowiedzieć, lecz nic nie przyszło jej do głowy. - Domyślam się, że zbliżenia z Barrym napawały cię wstrętem.

Zawahała się. Potem skinęła głową.

- On wygadywał takie rzeczy... - Na samo wspomnienie robiło jej się niedobrze. - Miał mi za złe, że sztywnieję za każdym razem, kiedy mnie dotyka. Czułam do niego odrazę.

Przechwalał się tym, co robi z innymi kobietami... - Przerwała i odwróciła się. - Nawet nie

wyobraŹasz sobie, co to był za koszmar!

Stanął za nią i połoŹył jej ręce na ramionach.

- Mam całkiem bogatą wyobraźnię - odparł. - Ale przestań już tym się zadręczać. To nie wróci. Staraj się o tym zapomnieć.

Odwróciła się i popatrzyła na niego oczami, w których czaił się lęk.

- A jeśli mi się nie uda? Jeśli naprawdę jestem oziębła, tak jak on mi to wmawiał?

- Corrie... - zaczął łagodnie. - Czy starałabyś się mnie powstrzymać, gdybym sam się nie wycofał? - ZauwaŹył, Źe się zaczerwieniła. - Nie jesteś oziębła - zapewnił ją.

- Ale my nie...

- Nawet gdybyśmy poszli na całość, nie byłoby inaczej. - Spojrzał jej w oczy, a ona nie była w stanie odwrócić od niego wzroku. Poczwała, Źe robi jej się gorąco. - Na samym początku mogłaś się wycofać, ale i tak tylko na chwilę. Potrafię tak cię pobudzić, Źe nic cię nie powstrzyma. - Patrzyła teraz na niego z zaciekawieniem. - Nie rozumiesz? Jak na kobietę, która była męŹatką, jesteś wyjątkowo niedoŹwiadczone.

W krótkich słowach wyjaśnił jej, co ma na myśli.

- Nie znasz swojego ciała - ciągnął. - Szkoda, Źe uwaŹasz seks za coś mrocznego i okrutnego. Wcale tak nie jest. Miłość cielesna to piękny sposób wyraŹania uczuć i pragnień, których nie da się przełoŹyć na słowa.

- Czy robiłaś to z kimś, kogo kochałaś? - zapytała wprost.

Zawahał się. Jego klatka piersiowa powoli wznosiła się i opadała.

- Nie - odparł po dłuŹszej chwili. - Lubiłem wiele kobiet. Z wzajemnością. Ale bardzo starannie doбираłem partnerki. Źaden z moich romansów nie przerodził się w stały związek.

- I to się nie zmieni. Stale to powtarzasz.

ZmruŹył oczy, wpatrując się w jej twarz.

- Powinnaś powtórnie wyjść za mąż - stwierdził. - Jesteś jedną z tych kobiet, które do pełni szczęścia potrzebują gromadki dzieci oraz męża.

Odwróciła się, czując nagłą pustkę.

Nie chce mieć dzieci, bo nie byłyby one dziećmi Teda. Jak mu to powiedzieć?

- Już nie chcę ani małżeństwa, ani dzieci - wyszeptała ze smutkiem.

- Coreen, nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Barry!

Popatrzyła na niego posępnie.

- Skąd kobieta może wiedzieć przed ślubem, jakim mężem okaże się mężczyzna, za którego wychodzi? Skąd ma wiedzieć, że nie będzie się nad nią znęcał albo jej zdradzał?

- Jeśli naprawdę ją kocha, to wszystko będzie w porządku - powiedział.

- Niektórzy mężczyźni nie potrafią wytrzymać z jedną kobietą - odparła. - Sam wiesz o tym najlepiej. Zmieniasz kobiety jak rękawiczki - dodała z saniem. - Co wezmę do ręki jakąś gazetę, to widzę twoje zdjęcie z inną damą u boku.

- Kroniki towarzyskie żyją z takich plotek - odparł. - Lubię kobiety, wcale tego nie ukrywam.

- Dlaczego miałbyś ich nie lubić? Jesteś kawalerem. Nie masz rodziny ani śladnych tego typu zobowiązań. - Odwróciła wzrok. - Ale śonaty mężczyzna powinien wyrzec się towarzystwa innych kobiet. Przynajmniej tak mi się kiedyś wydawało. Barry nie zrezygnował dla mnie z nikogo ani z niczego.

- Barry cię nie kochał.

- Masz rację. Byłam jego własnością. Kiedyś powiedział, że mnie kupił i za mnie zapłacił. Faktem jest, że tata nie umierałby tak spokojnie, gdyby Barry nam nie pomógł finansowo. Nie miałam wyjścia. Musiałam przyjąć jego pomoc, a on to perfidnie wykorzystał. Ted nie lubił sobie tego przypominać. Nie mógł sobie darować, że nie pomógł jej

wtedy, kiedy go naprawdę potrzebowała. Chociaś, jakby się nad tym dobrze zastanowić, to pewnie nawet gdyby chciał, Barry zrobiłby wszystko, by trzymać go od niej z daleka.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Barry był o niego zazdrosny. Musiał zauważyć spojrzenia, którymi Ted obrzucał Coreen, i to sprawiło, że jej zapragnął, ale tylko po to, by go ubiec. Dlaczego nie zorientował się, że Barry z nim rywalizuje? Okłamywał ich oboje, by ich zantagonizować, a on niczego się nie domyślał. Jak to się stało?!

Coreen zauważyła gniewny grymas na jego twarzy.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam wywoływać duchów przeszłości.

- Tak, wiem. - Popatrzył na nią ze smutkiem. - Szkoda, że nie możemy cofnąć czasu.

Wzruszyła ramionami.

- Wszyscy przechodzą trudne chwile. Trzeba po prostu pamiętać, że zawsze na końcu tunelu jest jakieś światło.

- Naprawdę tak myślisz? Byłaś taka namiętna... Z powodu okrucieństwa Barry'ego?

Czy dlatego, że jeszcze nigdy się nie kochaliśmy i to cię intryguje?

- Chyba jedno i drugie. - Rzuciła mu wojownicze spojrzenie.

- A może ani jedno, ani drugie? Dzieli nas za duża różnica wieku. Potrzebujesz młodego mężczyzny, który da ci dom oraz dzieci i przy którym będziesz szczęśliwa do końca życia.

- Wciąż to powtarzasz. Ale jeśli w to wierzysz, to dlaczego pozbyłeś się Barneya? Jak mam to interpretować?

Spojrzał na nią.

- Zdaje się, że miałaś tu coś zrobić? - Taktycznie zmienił temat.

Westchnęła i rozejrzała się dookoła.

- Owszem. Sandy napomknęła, że potrzebujesz pomocy. Umiem pisać na maszynie.

Mogę być twoją maszynistką, jeśli nie będziesz dyktował zbyt szybko.

Popatrzył w rozdrażnieniu na nieporządek na biurku, przypominając sobie, jak powstał.

- MoŜesz zacząć od tego - powiedział, pokazując głową sterty papierów. - Następnym razem, kiedy dostanę cię w swoje ręce, nie będę się hamował - dodał niespodziewanie.

Uniosła brwi.

- Będziesz musiał wtedy oświecić się ze mną - stwierdziła.

Kiedyś samo słowo „małŜeństwo” skutecznie ostudziłoby jego zapal. Teraz jednak wcale go nie przeraziło. Co więcej, im dłuŜej przebywał z Coreen, tym bardziej dokuczala mu samotność i brak miłości. Coraz częściej myślał o kochającej kobiecie u swego boku.

- W takim razie muszę więcej pracować nad swoją samokontrolą - zaŝartował.

- Chyba tak. - Spojrzała mu wyzywająco w oczy. - Odstawiłam pigułkę.

Ted się zaczerwienił, a ona zauwaŜyła, jak jego oczy pociemniały, kiedy nagle przeniósł wzrok na jej biodra.

- Podobno jesteś za stary na dzieci - powiedziała ironicznym tonem.

Uniół brwi.

- Ale nie za stary, ŝeby je splodzić - odgryzł się. - Więć lepiej uwaŜaj.

Coreen poczuła, ŝe ŝyje. Jak przed laty, zanim poznała Barry'ego, kiedy liczył się tylko Ted Regan. Zdumiała ją jej własna śmiałość, ale wiedziała, ŝe nie boi się jego pogróŜek. ŝe w ogóle się go nie boi.

- Gdybyśmy mieli dziecko - zaczęła powoli - miałoby niebieskie oczy.

Zacisnąwszy szczęki, odwrócił się w poszukiwaniu kapelusza.

- Mam kilka spraw do załatwienia - mruknął. - Jeśli chcesz tu posprzątać, proszę

bardzo. Ale nie ruszaj dokumentów leŜących na biurku. Potem nie będę mógł niczego

znaleźć.

- Jasne.

- Gdzie jest Shep?

- Tutaj. - Pokazała na zwierzaka uspiętego w kącie i uśmiechnęła się. - Pani Bird ugotowała mu kurze udko, ale zostawił je i poszedł za mną.

- Ech, ty i ten twój szczeniak... - westchnął.

- To najwspanialszy prezent, jaki dostałam w Śyciu. Jeszcze nikt nie sprawił mi tyle radości. Ten twój gest ma dla mnie ogromne znaczenie.

- Wiem. - Zatrzymał się przy niej i uniósł delikatnie jej głowę tak, by popatrzeć jej w oczy. - Lubię twój uśmiech. Ostatnio tak rzadko się uśmiechałaś.

- Obiecuję, że postaram się to nadrobić. Skinął głową. Jego wzrok powędrował do jej ust.

- Boisz się mnie pocałować? - wyszeptała zaczepnie.

Uśmiechnął się słabo.

- Być może... Ty i ja stanowimy groźną mieszankę wybuchową. Nie powinniśmy się do siebie za bardzo zbliżać.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Myślałam, że mężczyźni zawsze tak reagują na bliskość kobiety.

Powiodł palcem po jej wargach.

- Nie zawsze i nie wszyscy - wyznał cicho. - Ja czuję ten ogień tylko przy tobie, Corrie

- wyszeptał, przywierając do jej ust.

To był błąd. Wiedział to w chwili, gdy ich wargi się spotkały. Jęknął i rzucił kapelusz na podłogę. W przyływie pośądania przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

Pochylił się nad jej pobudzonym ciałem, a jego język zagłębił się w jej ustach. Poczuł

jej drżenie i usłyszał cichy jęk. Cały świat zawirował wokół nich.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Ten dźwięk docierał do Teda jak z głębokiej studni. Gdy uniósł głowę, z trudem łapał powietrze.

Coreen miała przymknięte oczy i nabrzmiałe wargi, jej uległe ciało czekało. Gdy przyłożył dłoń do jej piersi, poczuł szybkie bicie serca.

- Kto tam? - zapytał ochrypłym głosem.

- Proszę pana, przyjechał mechanik do kombajnu! - krzyknął przez drzwi jeden z jego ludzi.

- Powiedz, że będę za kilka minut! - zawołał Ted.

Kroki oddaliły się. Przez ten czas Coreen nie ruszała się, nie protestowała ani nie próbowała uwolnić się z jego objęć. Zdawała się być gotowa na wszystko.

- Chcesz więcej? - zapytał spokojnie, zły na siebie za swoją słabość do tej cudownej i namiętnej dziewczyny. Powinien bardziej nad sobą panować, ale nie potrafił.

Coreen odrzuciła wszelką dumę.

- Tak - wyszeptała. - Proszę.

- Corrie...

- Proszę... - Przyciągnęła do siebie jego głowę. Opuściła powieki, kiedy zbliżał wargi do jej ust. Pocałunek tym razem był głębszy, wolniejszy, bardziej czuły niż przedtem. Nogi mu drżały, kiedy przywarła do niego, a on poczuł miękkość oraz ciepło jej ciała.

Chwycił ją za biodra i przyciągnął, wciąż całując do utraty tchu.

- Czy wiesz, że mógłbym cię teraz wziąć, ot tak, jak tu stoisz? - zapytał ochrypłym szeptem.

- Wiem - odparła.

Przybliżył się znów do jej ust.

- Otwórz szerzej - zachęcał ją, coraz głębiej wsuwając język. - Pozwól mi cię poczuć...

jeszcze mocniej!

Wydała zdławiony okrzyk na samą myśl o tak intymnych pieszczotach. Kiedy ich wargi ponownie się spotkały, zadrżała. Rozstawił nogi i przyciągnął ją do siebie. Jęknął, gdy przylgnęła do jego przyrodzenia.

Drżące palce Coreen powędrowały do guzików jego koszuli. Chciał ją powstrzymać, wiedząc doskonale, co się stanie, jeśli dotknie jego piersi. Kilka chwil później, kiedy poczuł jej palce na gęstych włosach pod koszulą, od stóp do głów przeszył go dreszcz.

Coreen przywarła ustami do jego torsu. Całowała go i pieściła. Podniecała ją równieś świadomość, że tak łatwo udało się jej go rozpalić.

- Nie! - Ostatkiem sił odsunął ją od siebie. - O Boże... Corrie, nie! - zachrypiął.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Pozwolę ci na wszystko - szeptała gorączkowo. - Na wszystko, czego zechcesz.

Opuścił powieki. Zaciśnął ręce na jej ramionach, próbując zapanować nad rozpaczliwym pośądaniem, które w nim rozgorzało. Tak bardzo jej pragnął...

- Ted, pozwolę ci na wszystko - powtórzyła. - Słyszysz? Na wszystko.

Pochylił głowę, opierając ją na jej czole, i wciągnął z trudem powietrze.

- Nie. Nie chcę, żebyś zaszła ze mną w ciążę.

Zabrzmiało to tak, jakby nic gorszego nie mogło mu się w życiu przydarzyć. Przecież on nie chce dziecka. Nie chce się wiązać i zakładać rodziny. W gorączce pieszczot zupełnie wypadło jej to z głowy. Ale nie jemu. Dał się ponieść zmysłom, ale nie do tego stopnia, by zapomnieć o ewentualnych konsekwencjach kochania się z nią.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Ach tak... - powiedziała chwilę później. - Masz rację. Głupia... zapomniałam o tym.

Ledwo ją słyszał. Ostatni raz doznał tak przejmującego bólu kilkadziesiąt lat temu, w okresie dojrzewania. Co ona z nim wyprawia?!

- Nie ruszaj się - prosił. - Nie pogarszaj jeszcze bardziej sprawy... Nie rękę za siebie.

Nie uświadamiała sobie, że cały czas ociera się o niego. Zastygła w bezruchu, podczas gdy on skoncentrował się na oddychaniu, dopóki jego ciało nie zaczęło się odprężać.

Patrzyła na niego z nieskrywanym zaciekawieniem, bez cienia wstydu, poznając Teda, oraz mężczyznę w ogóle, od zupełnie nowej strony. Bacznie obserwowała wszystkie oznaki zdradzające, jak bardzo był we władzy dzikiego pośądania, oraz jak stopniowo, z niemałym wysiłkiem udawało mu się je okiełznać.

- Przestań się tak gapić - mruknął niecierpliwie, nareszcie rozluźniając uścisk.

- Jestem ciekawa - odrzekła z prostotą. - Nigdy cię nie widziałam w takim stanie.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jesteś z siebie zadowolona? - zapytał.

Skinęła głową.

- Poniekąd. Jeszcze nikt mnie tak mocno nie pragnął. Czy to bardzo boli? -

zainteresowała się, lecz on tylko parsknął. - Boli czy nie? - nalegała. - W niektórych

książkach piszą, że tak, w innych, że nie. Za to wszyscy autorzy zgodnie twierdzą, że

mężczyzna może kontrolować pośądanie, jeśli tylko zechce. Barry twierdził, że nie może i

dlatego musi sprawiać mi ból. Ale to nieprawda? Powiedz.

Ted nabrał powietrza w płuca.

- To zależy od tego, jak bardzo mężczyzna jest podniecony. - Zmrużył oczy. - Czy

robiłaś mu to co mnie, a potem mu odmawiałaś?

Nagle cała radość z niej wyparowała. Ted najwyraźniej nie dopuszczał do siebie

myśli, że to nie była jej wina.

Odsunęła się.

- Nie byłabym w stanie tak go rozpalić, nawet gdybym była urodzoną uwodzicielką - powiedziała wyniosłym tonem. - Utrzymała, że jestem oziębła. W rzeczywistości nigdy mnie nie pośadał. On był... - Nie mogła tego powiedzieć. Nie mogła wydobyć z siebie tego słowa. Samo wspomnienie tych nieprzyjemnych przeżyć powodowało, że zamykała się w sobie.

Oddech Teda powoli się wyrównywał.

- Jaki był Barry?

- To już nie ma najmniejszego znaczenia. On nie żyje. - Podeszła do drzwi. - Muszę się napić kawy. Potem tu posprzątam, dobrze?

- Wychodzę za pięć minut - odparł. - Możesz zacząć po moim wyjściu.

Skinęła głową. Idąc do kuchni, nie oglądała się za siebie.

Ted wyszedł z pokoju wściekły. Dwa razy w ciągu jednego dnia pozwolił, by Coreen doprowadziła go do szaleństwa. Doskonale wiedziała, jakie robi na nim wrażenie. Mogłaby go sobie owinać wokół małego palca, gdyby tylko chciała. Jeszcze nigdy nie był tak bezsilny, a ona miała powody, by wykorzystać jego słabość przeciwko niemu. Nie bardzo wiedział, jak się przed tym bronić.

Musi ochłonać. Potrzebuje czasu do namysłu. Najlepiej zrobi mu wyjazd w interesach.

Długi wyjazd, w bardzo ważnych interesach. I to jak najszybciej i jak najdalej.

Wyszedł z domu i skierował się w stronę garażu, gdzie czekał na niego mechanik wezwany do naprawy zepsutego kombajnu.

Przez cały czas Ted zastanawiał się nad wiarygodnym pretekstem, który pozwoli mu wyjechać z rancza.

Kiedy Coreen zeszła na kolację, zauważyła, że Sandy jest wyraźnie zmieszana. Poza

tym milczała, co było do niej niepodobne. Jeszcze bardziej zdziwiło ją, że pani Bird nakryła tylko dla dwóch osób.

- Co się stało? - zapytała Coreen.

- Nie wiem. - Sandy zerknęła na nią. - Myślałam, że ty mi powiesz. Czy ty i Ted pokłóciliście się dzisiaj rano?

Coreen spuściła wzrok.

- Coś w tym stylu - przyznała. - Dlaczego pytasz?

- Zadzwoił do pani Bird i powiedział, że po południu wylatuje do Nassau. Nawet nie wrócił do domu, żeby się spakować...

Coreen zrobiło się słabo. Więc ma o niej aż tak niskie mniemanie? Teraz podejrzewa, że próbuje nakłonić go do małżeństwa, przedtem uważał, że doprowadziła Barry'ego do samobójstwa. Bóg jeden wie, co sobie pomyślał o niej po tym, co zaszło między nimi w jego pokoju tego ranka.

- Ach tak - mruknęła, uświadomiwszy sobie, że Sandy czeka na jej reakcję.

- To nie wszystko. Podobno zabrał ze sobą Lillian - dorzuciła przyjaciółka.

Coreen nie wytrzymała. Odłożyła widelec i wybuchnęła płaczem.

- Tego się obawiałam - westchnęła smutno Sandy. Podniosła się i objęła Coreen. -

Moje biedactwo... - wyszeptała ze współczuciem. - Miłość nie przemija dlatego, że tego chcemy, prawda? Ty wciąż go kochasz.

- Ja go nie Kocham, ja go nienawidzę! - wykrzyczała z płaczem Coreen. - Nienawidzę go najbardziej na świecie!

- Wcale ci się nie dziwię - powiedziała Sandy, uspokajając ją. - Mój brat to potwór!

- Myśli, że doprowadziłam Barry'ego do samobójstwa - zawodziła. - Wciąż jest przekonany, że to ja go zabiłam!

- Nie, Ted wcale tak nie myśli. Po prostu zaciekle broni się przed twoją miłością. Nie dopuszcza do głosu swoich prawdziwych uczuć. Wmówił sobie, że jest dla ciebie za stary. Pozwolił, żeby nasze dzieciństwo położyło się ponurym cieniem na całym jego dorosłym życiu. Przykro mi, że cię tak traktuje.

Coreen powoli się uspokajała. Wytarła oczy brzegiem bluzki, po czym wzięła od Sandy chusteczkę i wytarła nos.

- Nie zostanę tu ani chwili dłużej - powiedziała. - To zbyt dużo mnie kosztuje.

- Rozumiem cię. Ale musisz nabrać sił...

- Czuję się już całkiem dobrze. Jeśli wynajmiesz mi mieszkanie, a Ted wypłaci pieniądze, które obiecał, zacznę szukać pracy. Umiem pisać na maszynie i stenografować. W Victorii z pewnością znajdzie się ktoś, kto mnie zatrudni.

Sandy skrzywiła się.

- Nie możesz tego zrobić...

- Muszę! Gdybym tu została, w końcu poszłabym do niego na kolanach, zaklinając go na wszystkie świętości, żeby mnie zechciał.

Sandy zacisnęła zęby.

- Jest aż tak źle?

- Chyba jeszcze gorzej. - Coreen zaśmiała się gorzko. - On nie chce stałego związku, dzieci ani mnie. Powiedział mi to, zanim wyjechał. - Nie wspomniała o tym, co go do tego skłoniło, ani o tym, co zaszło między nimi w jego pokoju.

Nie było to konieczne. Sandy nie była ślepa i zauważyła napięcie między swoją najlepszą przyjaciółką i bratem.

- Zabije mnie, kiedy wróci i ciebie tu nie zostanie - jęknęła.

- Na pewno tego nie zrobi. Uciesz się, zobaczysz. Pomożesz mi?

Sandy westchnęła ciężko.

- Chyba nie mam wyboru.

Coreen uśmiechnęła się do niej.

- Ja też nie. Nie martw się o mnie, dam sobie radę - dodała uspokajająco.

Sandy nie spierała się. To faktycznie byłoby nie do wytrzymania dla Coreen, gdyby

Ted po powrocie trzymał ją na dystans, tak jak to robił dwa lata wcześniej.

- A co z Shepem? - zapytała.

Coreen z trudem godziła się z myślą o rozstaniu z psem.

- Musi zostać tutaj. - Spochmurniała.

- Będę cię z nim odwiedzać w weekendy, co ty na to? - zaproponowała Sandy.

Coreen wzruszyła się do łez.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- A ty moją. Chciałabym, żeby mój brat był dla nas chociaż trochę mniej uciążliwy.

Coreen mogła się z tym tylko zgodzić.

Dwa dni później zapakowała swoje bagaże do samochodu, który Sandy jej pościła,
i ruszyła do Victorii. Przyjaciółka jechała za nią.

Mieszkanie było przestronne, w sam raz dla dwóch osób. Roztaczał się z niego bardzo ładny widok. Dziewczyny zapełniły lodówkę i poukładały rzeczy na półkach, po czym Sandy stwierdziła, że już czas na nią.

- Znasz numer na ranczo. Dzwoń śmiało, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Zjawię się tu z Shepem w sobotę. Na pewno dasz sobie radę?

- To jest Victoria, nie Nowy Jork - przypomniała jej Coreen z uśmiechem. - Nic złego mi się tutaj nie stanie.

- Mam nadzieję. Twoimi sąsiadami są państwo Lowery. To bardzo mili ludzie. W

razie czego pukaj do nich. Pan Lowery jest emerytowanym policjantem - dodała Sandy.

- Dziękuję ci, kochana. Za wszystko.

Przyjaciółka popatrzyła na nią z wyrzutem.

- Powinnam była zrobić to już wcześniej - stwierdziła. - Miałam jednak nadzieję, że

Ted się opamięta. Powinnam znać lepiej własnego brata. Jest już za stary, żeby się zmienić.

- Można było się tego spodziewać - zauważyła Coreen. - Gdyby chciał się oświecić, już dawno by to zrobił. żyłam w świecie marzeń. Wierzyłam, że jeśli kogoś mocno się kocha, to i on w końcu nas pokocha. Ale wcale tak nie jest. Swoją drogą, to niezwykle, że od tylu lat kocham tego samego mężczyznę, a on wciąż mnie nie chce.

- Podejrzewam, że się mylisz - odparła Sandy. - Wydaje mi się, że on cię chce, i to bardzo.

- Ale nie na tyle, żeby się ze mną oświecić. - Coreen posmutniała.

Sandy nie zaprzeczyła. Ted dał im to jasno do zrozumienia. Wyjechał z jedną kobietą, żeby uwolnić się od drugiej. Tę bolesną lekcję życia Coreen nieprędko zapomni.

- Widzimy się w sobotę. Dzwoń, kiedy zechcesz.

Coreen obiecała, że w razie czego nie omieszka tego zrobić.

Kiedy drzwi się zamknęły, Coreen została sama. Tak zupełnie sama nie była od lat.

Kiedy to do niej dotarło, pocieszała się, że pewnie to polubi, chociaż podejrzewała, że nie będzie to takie proste.

Spędziła samotnie weekend, przez cały czas mając nadzieję, że zadzwoni telefon i w słuchawce rozlegnie się głos Teda, który powie jej, że popełnił straszliwy błąd. Czekala, że zapuka do jej drzwi. Ale przyszedł poniedziałek, a Ted się nie odezwał. Był na Bahamach z Lillian. Prawdopodobnie chciał w ten sposób dać Coreen jasno do zrozumienia, że nie jest nią zainteresowany. I to mu się udało. Tym razem to rozumiała. W poniedziałek pogodziła się z

myślą, że Ted naleŝy juŝ do przeszłości.

Sandy poleciła jej kilka miejsc, w których mogła się starać o pracę. Poszła nie tylko tam, ale i do czterech innych, których adresy znalazła na tablicy informacyjnej w biurze pracy. I oto stał się cud: jedna z tych firm zatrudniła ją jeszcze tego samego dnia. Biuro obrotu nieruchomościami poszukiwało recepcjonistki, a Coreen spełniała wszystkie wymagane warunki.

Zaczęła pracować od wtorku. Do jej obowiązków naleŝało pisanie na maszynie i umawianie klientów z szefem oraz czterema agentami. Pod koniec dnia wracała do domu zmęczona, ale szczęśliwa. Spodobała jej się ta praca, i to było widać. Co najważniejsze, czuła się bezpieczna i była dumna z faktu, że potrafi sama się utrzymać. Jej poczucie własnej wartości wydatnie wzrosło.

Kiedy Sandy przywiozła w sobotę Shepa, nie uszło jej uwagi, że Coreen promienieje. Miała modną fryzurę i nowe ubranie. Wyglądała na dziewczynę radosną i szczęśliwą, a ciemne cienie pod jej oczami były juŝ ledwie widoczne.

- Ty kwitniesz! - orzekła. - Nie mogę uwierzyć własnym oczom, jaka zaszła w tobie zmiana!

- Czy to nie wspaniałe? Nigdy nie przypuszczałam, jak wiele radości może sprawiać praca. Zarabiam na siebie i nie muszę nikogo o nic prosić! Nie potrzebuję nawet pieniędzy ze spadku!

Sandy spojrzała na nią niepewnie.

- Nie stałaś się zbyt szybko niezależna? Kobieto, zwolnij tempo. Jesteś po wypadku. Powinnaś się oszczędzać.

- Nie przesadzaj - odparowała Coreen, po czym zaczęła bawić się z psem. - Podrósł, prawda? Nie masz pojęcia, jak mi go brakuje!

Tęskniła równieś za Tedem i końmi. Ale musiała robić dobrą minę do złej gry. Nie mogła pozwolić, by ktoś pomyślał, że usycha z tęsknoty.

Tak dobrze grała, że udało jej się oszukać Sandy. Jej przyjaciółka wróciła do domu taka ponura i milcząca, że pani Bird chodziła zmartwiona przez cały następny tydzień.

Ted przyjechał na ranczo bez uprzedzenia dwa tygodnie po wyjeździe. Wyglądał marnie. Jego nastrój oczywiście wcale się nie poprawił. Od razu poszedł do stajni, by złażać robotników za to, że nie zdążyli przed jego powrotem wykonać wszystkich poleceń.

Wpadł jak burza do domu akurat na kolację. Usiadł przy stole i zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, że pani Bird nakryła tylko dla dwóch osób.

Sandy spokojnie jadła pieczeń z ziemniakami, podczas gdy jej brat walczył ze sobą, by nie zadać pytania, które cisnęło mu się na usta.

- Nie szukaj jej - powiedziała w końcu Sandy. - Wyjechała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Wyjechała? - powtórzył Ted, patrząc gniewnie na siostrę. - Dokąd?

- Do Victorii, dwa tygodnie temu. Mieszka u mnie. Znalazła pracę. Jest recepcjonistką w biurze obrotu nieruchomościami. Wreszcie odjechała.

Trochę czasu zajęło mu oswojenie się z tymi rewelacjami. Nie spodziewał się, że Coreen opuści ranczo. Wyjechał, mając nadzieję, że uda mu się ostudzić swoją namiętność do niej, zanim go kompletnie zniszczy. Tak bardzo ją kochał, że nie mógł po nocach spać.

Pragnął jej do szaleństwa, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by tej obsesji ulec. Tak będzie najlepiej dla niej, wmawiał sobie, kiedy wyjeżdżał. Ale te dwa tygodnie wyrzeczeń jeszcze bardziej go rozdrażniły. Dręczyło go, że skazał Coreen na piekło u boku Barry'ego. Kierowany szlachetną pobudką ratowania jej przed związkiem z dużo starszym mężczyzną przysporzył jej samych cierpień. O tym, ile go to kosztowało, wołał nawet nie myśleć.

Potem przypomniał sobie, że znalazł w Victorii pracę Barneyowi. Czy Coreen

wiedziała, gdzie pracuje jej przyjaciel? Może dlatego tam pojechała?

A może zastanawiała się nad tym, dlaczego zniknął bez słowa. Może doszła do

wniosku, że zraził się do niej przez to, że tak chętnie ulegała porywom namiętności w jego

ramionach. Może też uznała, że przestraszył się, że chce go uwieść? Posunął się nawet do

provokujących uwag na temat Barry'ego, by ukryć przed nią swoją słabość.

Czy tą spontaniczną ucieczką po raz drugi pchnął ją w ramiona innego mężczyzny?

- O nie - wyszeptał. Oparł głowę na rękach zaciśniętych w pięści. - Tylko nie to!

- Czemu tak jęczysz? Stało się coś? - zapytała obłudnie Sandy, wkładając do ust

kolejny kęs pieczeni. - A przy okazji, co słychać u Lillian?

- Skąd mam wiedzieć? - obruszył się.

- Przecież poleciałeś z nią na Bahamy. Zgubiłeś ją po drodze?

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Lecieliśmy tylko tym samym samolotem. Wcale nie byliśmy razem.

- Pani Bird powiedziałaś co innego.

Znowu jęknął.

- Dobrze ci tak! - ucieszyła się siostra. - Coreen przepłakała dwa dni, zanim wyjechała

do Victorii - powiedziała, wbijając mu nos w serce. Wcale jej nie było przykro, że zbladł. -

Wyjeżdżała stąd, przeklinając cię, ale kiedy spotkałyśmy się w sobotę, po prostu kwitła. Nie

zająknęła się na twój temat ani jednym słowem.

Spojrzał na nią spod łba.

Sandy spokojnie przesuwiała kolejny kawałek mięsa.

- Pyszne - mruknęła. - Co z tobą? Straciłeś apetyt?

Odsunął talerz i wypił łyk kawy.

- Tak.

- Powtarzałeś do znudzenia, że jej nie chcesz. W końcu to do niej dotarło. Jesteś zadowolony?

Nie odpowiedział. Znowu sięgnął po kubek.

- Jesteś za stary dla niej, prawda? - atakowała. - I nie chcesz mieć dzieci. A ona jest bardzo młoda. Chce wyjść za mąż i założyć rodzinę. Nawiasem mówiąc, w zeszłym miesiącu słyszałam, jak Barney mówił swojemu ojcu, że chciałby się usamodzielnic. - Poweselała, widząc, że Ted zbladł jeszcze bardziej. - Podobno załatwiłeś mu pracę w Victorii? Byłoby zabawnie, gdyby się tam spotkali i w końcu pobrali.

Ted zerwał się od stołu. Wpadł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami. Wyjął z barku karafkę z whisky.

- Nie - powiedział do siebie. - Nie, to nie jest łatwe rozwiązanie. - Wpatrzył się w butelkę i szklankę. - Ale jak się nad tym lepiej zastanowić - wymamrotał - to czemu nie?

Przy drugiej szklance usiadł za biurkiem i dał się ponieść wyobraźni. Coreen prawdopodobnie już odszukała Barneya albo on ją. Pewnie spędzają ten wieczór razem, w kinie albo w teatrze. Może nawet zabrał ją na koncert do Houston.

Popatrzył gniewnie na biurko, przypominając sobie, jak niedawno Coreen leżała pod nim, całując go nieprzytomnie. Czy Barneya też by tak całowała? Wolał nie pamiętać, że to nie ona się wycofała, lecz on. Zasugerowała nawet...

- Nie.

Otrząsnął się na dźwięk własnego głosu.

Ta sprawa przesłoniła mu cały świat. Padł ofiarą manipulacji rozszalałych hormonów.

Za nic w świecie nie może im ulec. Jest święcie przekonany, że nie jest odpowiednim partnerem dla Coreen. Ona jest za młoda. Nawet jeśli było prawdą, że nic nie czuła do

Barry'ego, to być może tylko frustracja pchającą ku niemu. W końcu pragnęła go przed laty, a on ją odtrącił. Może też po prostu powoduje ją ciekawość.

Gubił się w domysłach. Może Coreen odkrywa na nowo swoją kobiecość?

Zrozumiała, że mimo wszystko znowu może kogoś pragnąć, a on akurat znalazł się pod ręką.

Ta myśl mu się nie spodobała. Wrócił z tej eskapady przekonany, że nigdy nie wyleczy się z namiętności do niej. Potrzebował jej. Jego zasady nie są aż tak niewzruszone, by uwolnić go od tej obsesji. Gdyby zastał Coreen na ranczu, nic by jej nie uratowało. Ale mu się wymknęła, a on znów jest rozdarty między pragnieniem i sumieniem.

Pomimo nieudanego małżeństwa wciąż potrafiła być namiętna. Czy będzie taka równieś z Barneyem? Jeśli to jest wyłącznie popęd, to czy wobec innego mężczyzny poczuje go tak mocno jak wobec niego? Mimo tragicznych doświadczeń, garnęła się do niego z takim zapalem, że aż mu się w głowie zakręciło na to wspomnienie. Prosiła go...

Nalał sobie kolejnego drinka, starając się wymazać z pamięci widok jej łagodnych oczu, kiedy błagała go o pocałunki. Nie mógł znieść myśli, że odtrącił ją tak okrutnie i zrejterował. Ale ilekroć to robił, ona go nie opuszczała. To nie ma sensu. W takim razie co ma sens?

Spojrzał na karafkę. Ile drinków wypił: jednego czy dwa? Może trzy? Stracił rachubę.

Ale czuł się lepiej, miał lepsze rozeznanie w sytuacji. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, co to była za sytuacja...

Kiedy Sandy weszła do niego godzinę później, siedział ze zwieszoną głową przy biurku.

- Biedaczek - wymamrotała, odstawiając whisky do barku. - Nie ustąpisz ani na krok, co?

- Rzuciła mnie - wybełkotał.

- To ty ją zostawiłeś. Ona cię kocha.

- Nie - odparł. - Nigdy mnie nie kochała. Jest za młoda, Œeby naprawdę kochać.

- Miłość nie ma nic wspólnego z wiekiem - zirytowała się. - Kocha cię od lat, a ty ciągle się od niej opędzasz. Najpierw był Barry. Teraz będzie Barney. Zrzuca sobie Œycie z innymi facetami, cały czas pragnąc tylko ciebie. To, Œe juŒ posiwiasteś, nie ma dla niej Œadnego znaczenia.

- Jestem za stary! Za stary, Œeby być jej męŒem i ojcem jej dzieci! Ona się mną znudzi, nie rozumiesz? Zachce się jej kogoś młodszeo, a ja nie będę miał siły pozwolić jej odejść. Zmarszczyła brwi, patrząc na niego z niedowierzaniem. Czy on uŒwiadamia sobie, do czego wlaŒnie się przyznał?

- Ted... - Złagodniała.

Oparł głowę na rękach.

- Nikt inny... - zaczął bełkotliwie. - Odkąd pierwszy raz ją zobaczyłem w sklepie jej ojca w rozciągniętej bluzce i szortach... Nikt jej tak nie pragnął... Pragnąłem jej... Œadnej innej nie było w moim Œyciu, sercu, łóŒku... - Westchnął cięŒko, po czym głowa opadła mu na biurko.

Sandy wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. On kocha Coreen!

Nie wiedziała, co robić. Nie moŒe być wobec brata nielojalna. Z drugiej strony, czy ma prawo pozwolić mu, by chowając swoje uczucia w tajemnicy, zmarnował Œycie sobie i przy okazji Coreen? Co robić?!

Nie miała zielonego pojęcia, jak postąpić. Zaciągnęła brata na kanapę, połoŒyła go i przykryła kołdrą z łóŒka.

- W końcu znieawidzisz samego siebie - ostrzegła nieprzytomnego nieszczęŒnika.

PóŒnym wieczorem wychynął z pokoju, jęcząc i trzymając się za głowę. Było mu

niedobrze. Poszedł do łóŜka, nie zwracając uwagi na Sandy, która wodziła za nim zmartwionym spojrzeniem.

Następnego dnia długo się nie pokazywał. A kiedy w końcu wyszedł, był już znowu sobą: opanowanym i nieprzeniknionym Tedem Reganem. Usiadł do stołu rzeŝki jak skowronek. Ani słowem nie zająknął się o wydarzeniach poprzedniego dnia i wieczora. Sandy aŜ korciło, by mu o tym przypomnieć.

- Dzisiaj pracuję w Victorii - powiadomiła go. - Zatrzymam się u Coreen, jeśli zejdziesz mi do późna.

- Rób, jak ci wygodniej.

- Czy mam jej coś od ciebie przekazać? - zapytała, nie patrząc na niego.

- Nie - odparł.

Odchyliła się w krześle z filiŝanką kawy w ręce. Postanowiła zagrać z nim w otwarte karty.

- Zmarnowałeś już dwa lata swojego i jej Ŝycia, starając się być szlachetny - powiedziała. - Barney jest taki jak Barry: beztroski i płytki. Myślę, Ŝe jej nie skrzywdzi, ale teŜ nie uczyni jej szczęśliwą. Chcesz, Ŝeby wpakowała się w kolejne nieudane małŝeństwo?

- To jej Ŝycie. Sama musi ponosić konsekwencje swoich pomyłek - oznajmił z udawaną obojętnością.

- Ty jesteś jej największą pomyłką - wytknęła mu siostra, stawiając filiŝankę na stole.

- Nigdy nie kochała nikogo innego. Chyba nawet by nie potrafiła. I nie otrzymała od ciebie nic poza odrzuceniem i okrucieństwem. - Wstała, patrząc na niego gniewnie. - ŝałuj ę, Ŝe tak się z nią zaprzyjaźniłam. Gdyby nie to, być może nie doznałaby tylu krzywd.

Przeszył ją wzrokiem.

- Nie masz prawa wtrącać się w moje prywatne Ŝycie. Ani w Ŝycie Coreen.

- Wcale nie zamierzam - odparła. - Nie będę bawić się w swatkę. Obiecuję. Uważam

jednak, że mógłbyś zachować bezpieczny dystans, kiedy Coreen dochodzi do siebie po tych nieszczęśliwych latach swojego życia.

Wbił wzrok w talerz.

- Właśnie to robię.

- To dobrze. Może myślę się co do Barneya. Może ten chłopak okaże się jej najlepszym prezentem od losu.

Zacisnął palce na filiżance.

- Może i tak.

Zawahała się, ale nie miała mu już nic więcej do powiedzenia, więc wyszła, pozostawiając go pogrążonego w zadumie.

Coreen rzeczywiście odnalazła Barneya. Czy może raczej on odnalazł ją w małym barze, do którego pewnego dnia oboje wpadli, by coś zjeść. Ucieszyła się, że widzi znajomą twarz.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy spotkali się znowu, a potem jeszcze raz.

Po pracy Sandy zatrzymała się u niej na noc. Nawet nie wspomniała o bracie. Za to

Coreen wspomniała o Barneyu. Stwierdziła, że postanowiła wreszcie zacząć cieszyć się życiem i że doszła do wniosku, że miłość do Teda ją zniszczy, jeśli nie wybije go sobie z głowy.

Robiła dobrą minę do złej gry. Sandy tym razem ją przejrzała. Widziała ból w jej oczach, kiedy Coreen była przekonana, że przyjaciółka na nią nie patrzy. Miała nadzieję, że jej brat wie, co robi. Być może właśnie tracił ostatnią szansę na to, by być szczęśliwym. Ale bez względu na wszystko żyła Coreen jak najlepiej. Zasługiwała na to, by być szczęśliwa. Może to właśnie dzięki Barneyowi tak się stanie?

Jednak tym dwojgu nie dane było się w sobie zakochać. Coreen cieszyła się

towarzystwem Barneya, a on jej. Oboje wiedzieli, że przyjaźń jest wszystkim, czego mogą od siebie oczekiwać, i to nie tylko z powodu uczucia, które Coreen wciąż żywiła do Teda.

Barney też kochał kogoś innego. Szkopuł w tym, że jego wybranka była mężatką. Aktualnie nie było żadnej nadziei na to, że coś się zmieni. Podobnie jak Coreen przepełniały go uczucia, dla których nie mógł znaleźć ujścia.

To, że mieli coś wspólnego, zbliżyło ich do siebie. Ponieważ lubili podobne filmy, zaczęli dzielić się kosztami wypożyczania kaset i spędzać piątkowe wieczory w mieszkaniu Coreen, pogryzając popcorn i popijając łagodne drinki.

Kiedy Sandy odkryła ten nowy rytuał, rozśmieszyła ją jego niewinność. Od czasu do czasu przyłączała się do nich i nawet zaprzyjaźniła się z Barneyem.

- Ostatnio spędzasz dużo czasu w Victorii - zauważył Ted pewnego piątkowego popołudnia. - Co cię tam tak ciągnie?

- Spotykam się z Coreen i Barneyem.

- Z Barneyem? - zapytał, starając się zachować spokój.

- Od czasu do czasu oglądamy razem filmy na wideo - wyjaśniła niewinnie. - Są nierozłączni. Piątek to ich wieczór filmowy.

Jego oczy zablęsnęły.

- Sypiają ze sobą w moim mieszkaniu?! - rzucił z wściekłością.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co powiedziałeś? - Zniżyła głos. - Ty się lepiej zastanów, Ted. Naprawdę uważasz, że Coreen jest taką kobietą?

Jego jednak zżerała zazdrość. Nie mógł racjonalnie myśleć. Coreen z Barneyem...

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak okrutny był dla niej Barry? - ciągnęła Sandy. - Czy rzeczywiście wierzysz, że mogłaby prowadzić bogate życie seksualne po tym wszystkim, co z nim przeszła? Nie wiesz, że boi się intymności?

- Nie ze mną - odparował, zanim zdążył pomyśleć, co mówi.

Posłała mu zdumione spojrzenie.

- Nie uwiodłem jej, jeśli to ma znaczyć ta twoja mina pełna dezaprobaty - powiedział z kpiącym uśmiechem. - Wciąż mam kilka zasad, których nie łamię.

- Mogłbyś jej tego oszczędzić - stwierdziła.

- Ona też mogłaby mi tego oszczędzić.

Sandy nieco spuściła z tonu.

- Przepraszam. Wydaje mi się, że ty naprawdę myślisz, że robisz to tylko dla niej.

Odwrócił wzrok.

- Chyba sama pamiętasz, jak wyglądało nasze dzieciństwo - wybąkał.

- Ale ty najwyraźniej zapomniałeś - odrzekła szorstko. - Nasza matka nie kochała ojca.

Nigdy go nie kochała. Była zainteresowana tylko jego pieniędzmi. Nie chciała mieć dzieci, bo przeszkadzałyby jej, nie pasowały do jej stylu życia. Ale on nalegał, bo nie wyobrażał sobie bez nich szczęśliwego związku.

- Kochała go, kiedy za niego wychodziła - Ted obstawał przy swoim.

- Nie wierzysz w to, co mówisz. Już dawno przestałeś w to wierzyć. Trzymasz się tego, żeby mieć argument przeciwko Coreen. - Milczał. Na jego twarzy malowały się

niezdecydowanie i ból. - Wyrzuć to z siebie - powiedziała. - No, dalej. Jaki jest prawdziwy powód? - Strzelała w ciemno, ale chyba trafiła, bo nagle zbladł. A jednak...! - Powiedz mi - nalegała.

- Barry powiedział mi, że zależało jej na moich pieniądzach. Kiedy nie udało się jej ze mną, zadowolili się nim.

- I ty mu uwierzyłeś!?

- To brzmiało sensownie. Spójrz na mnie. Jestem od niej szesnaście lat starszy. Barry

mówił, że razem wyglądamy śmiesznie, że ludzie będą się śmiali z takiej różnicy wieku.

- Barry był o ciebie zazdrosny i grał na twoich uczuciach. Przecież tak naprawdę w to nie wierzysz. Nie możesz.

Odsunął filiżankę i odchylił się na krześle.

- To już kiedyś mi się przydarzyło - przypomniał jej. - Kiedy miałem dwadzieścia sześć lat, miałem się z Edie.

- Ale odkryłeś, że już chwali się swoim przyjaciółkom, jakie drogie rzeczy sobie kupi, kiedy za ciebie wyjdzie. Pamiętam.

Uśmiechnął się.

- Ja też. No dobrze, Coreen mnie pragnie. Zawsze mnie pragnęła. Ale przecież samo to nie wystarczy. Poza tym wcale nie jestem pewien, czy nie próbuje po prostu odzyskać poczucia własnej wartości, które utraciła, ponieważ Barry uważał ją za oziębłą.

- To też nie jest wykluczone - mruknęła Sandy. - Jeśli faktycznie tak jest, to Barney bardzo jej w tym pomaga.

Zacisnął zęby.

- Dzieli ich niewielka różnica wieku - zauważył.

- To prawda - przyznała. - I bardzo się lubią. Barney jest delikatny. Nie tak jak Barry.

Wychodzą razem, kupuje jej kwiaty, a nawet robi jej kolację, kiedy jest zmęczona. Całkiem miły z niego facet.

Zrobiło mu się niedobrze. Nie sądził, że to może być coś poważnego. Z tego, co mówiła do tej pory Sandy, wynikało, że Barney jest dla Coreen bardziej przyjacielem niż chłopakiem. Teraz nie był już tego taki pewien.

- Rozumiem.

- Ted, cieszę się, że zdecydowałeś się dać jej spokój - powiedziała. - To bardzo ładnie

z twojej strony, bo przecieŜ nie masz jej nic do dania. Znajdzie wlasn drog, po raz pierwszy w Œyciu stanie na wlasnych nogach. Z dala od ciebie jest inn kobiet.

- Pod jakim wzgledem inn?

- Jest kobiet szczliw.

Wsta od stou i wyszed bez sowa. Patrzc za nim, Sandy poŒlowa swoich sow.

JeŒli Coreen udaje i w rzeczywistoŒci dalej kocha Teda, to przed chwil pozbawi j szansy na szczcie.

Nadesz niedziela. Coreen posz z Barneyem do koŒcioa, a potem towarzyszy mu na lotnisko, skd wylatywa w dwudniow podr suŒbow. W mieszkaniu powita j martwa cisza, a w telewizji nie byo nic wartego ogldania.

Niemal czeka na dŒwik dzwonka do drzwi, lecz spodziewa si ujrze na progu akwizytora albo sasiadk spragnion babskiej pogawdki. Westchna zirytowana. Nie bya w nastroju do przyjmowania goŒci.

W koszulce, dŒinsach i boso podesza do drzwi, po czym zerkna przez wizjer. Jej reka zamara na ancuchu od zamka. Patrzya na gniewn twarz czowieka, koŒrego miaa nadziej juŒ nigdy nie ujrze. Zamkna oczy i z mocno bijcym sercem opara si o drzwi.

Ted! To Ted! MeŒczyzna, koŒrego kocha i pragnie. Bez wzajemnoŒci.

- Coreen, otwrzc! - zawoa.

- Skd wiesz, Œe jestem w domu? - zapytaa gniewnie. - MoŒe mnie nie ma?

- Ale jesteŒ, skoro si odzywasz.

Westchna. Szkoda, Œe w por nie ugryza si w jzyk.

Niechtnie otworzya drzwi.

- Wejdz - powiedziaa cicho. - To przecieŜ twoje mieszkanie. Ja je tylko wynajmuj.

Wszed do salonu i zdj kapelusza. Miał na sobie garnitur i koszul z krawatem.

Wyglądał bardzo oficjalnie. Jego wzrok spoczął na jej bosych stopach. Uśmiechnął się.

Opięte dżinsy i niemal prześwitująca koszulka podkreślały jej figurę.

- Co u ciebie? - zapytał.

Przysiadła na poręczy fotela.

- To, co widzisz.

Rozejrzał się po pokoju, nie dostrzegając żadnych śladów wskazujących na obecność lokatorki.

- Nie martw się, nie zniszczyłam ci mebli ani niczego innego - powiedziała, opacznie rozumiejąc jego spojrzenie.

- żadnych zapasów z Barneyem na mojej sofie w piątkowe wieczory? - zapytał jadowicie.

- Możemy oglądać filmy u Barneya, jeśli nie chcesz, żeby go tutaj zapraszała.

Przeszył ją tak wściekłym spojrzeniem, że dawniej miałaby ochotę uciec. Ale teraz tego nie zrobiła. Przez tych kilka tygodni, które minęły od śmierci Barry'ego, odzyskała wiarę w siebie, głównie zresztą dzięki Tedowi. Nie dała zbić się z tropu, co sprawiło, że w jego spojrzeniu pojawił się podziw.

- Nie obchodzi mnie, co tu robisz z Barneyem - oświadczył.

Jakby tego nie wiedziała! Jego nagłe zniknięcie z jej życia kilka tygodni temu było jasnym sygnałem, że nie interesuje go, co się z nią dzieje.

Wyglądał na wyczerpanego. Nie przychodziło jej do głowy inne określenie. Miał zapadnięte policzki, a wokół ust i na czole pojawiły mu się nowe zmarszczki.

- Jesteś zmęczony - zauważyła łagodnym tonem, lecz on na tę uwagę aż zeszywniał. -

Wiem, wiem. Nie słyszysz sobie mojego współczucia. Zapewniam cię, że nie zamierzam zamartwiać się z twojego powodu.

Z rękami w kieszeniach podszedł do okna. Był mglisty letni dzień. Patrzył na ciemne i groźne chmury, które zbierały się nad horyzontem, zapowiadając deszcz.

- Czemu tu przyszedłeś, Ted? - zapytała, kiedy cisza stała się nie do wytrzymania.

Nie odwrócił się.

- Chciałem się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku - odparł.

O co mu chodzi? Wlepiła wzrok w jego plecy.

- Radzę sobie. Mam dobrą pracę, nawiązuję nowe przyjaźnie. Właściwie mogę się obejść i bez twojego zasiłku. Czy przeznaczysz go na cele charytatywne, jeśli z niego zrezygnuję?

Odwrócił się do niej z gniewną miną.

- Nie musisz niczego demonstrować - zauważył oschłym tonem.

- To nie jest żadna demonstracja. Po prostu nie chcę pieniędzy Barry'ego. Nigdy ich nie chciałam. - Uśmiechnęła się, widząc jego minę. - Dziwi cię to? Wiem, że myślisz, że wyszłam za niego dla pieniędzy.

Nie zareagował na te słowa. Nawiązał natomiast do tego, co powiedziała wcześniej.

- W testamencie Barry'ego nie ma ani słowa o tym, co stanie się z pieniędzmi, jeśli odmówisz ich przyjęcia. Prawdopodobnie spadek pozostanie nienaruszony.

Wzruszyła ramionami.

- W takim razie zrób z nim, co chcesz. Ja go nie przyjmę. Zgodziłam się wyjść za Barry'ego tylko ze względu na tatę. Dzięki temu umierał w godziwych warunkach.

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie o pomoc? - zapytał.

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - wyjąkała.

- Twój ojciec był nie tylko moim partnerem w interesach, ale również przyjacielem -

zauwaŜył. - Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, Őeby mu pomóc.

Odwróciła wzrok.

Jej zachowanie wydało mu się podejrzane.

- Coś przede mną ukrywasz.

Zawahała się, ale jednocześnie odniosła wraŜenie, Őe Ted jest gotowy stać w jej pokoju całą noc, jeśli mu nie odpowie.

- Barry ostrzegł mnie, Őebym się do ciebie nie zwracała po pomoc. Podobno mówiłeś mi, Őe bardzo zaleŜy ci na tym, Őebym za niego wyszła, bo masz mnie dosyć. W ten sposób chciał mieć absolutną pewność, Őe o nic cię nie poproszę.

- Mój BoŜe... - westchnął. - Więc to tak wyglądało?

- I tak bym cię o nic nie poprosiła - dodała cicho. - Dałeś mi jasno do zrozumienia, Őe nie chcesz mieć ze mną do czynienia. Nawet kiedy tata zachorował, rzadko do nas zachodziłeś. A jeśli juŜ...

- A jeśli juŜ, to nie miałem ci nic miłego do powiedzenia - dokończył. - Barry nie dopuszczał mnie do ciebie, wiedziałaś o tym? Twierdził, Őe mnie nienawidzisz i nie chcesz mnie oglądać.

Popatrzyła mu w oczy i ujrzała w nich ból wywołany tymi przykrymi wspomnieniami.

- Nigdy nie mówiłam mu takich rzeczy - szepnęła.

- CzyŜby? - Zaśmiał się gorzko. - Utrzymywał, Őe zgodziłaś się wyjść za niego za mąŜ, bo myślałaś, Őe ma więcej pieniędzy ode mnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Coreen patrzyła na niego w milczeniu. Nie miała juŜ siły zaprzeczać. Jeśli chce wierzyć, Őe jest wyrachowana, to niech wierzy, jego sprawa.

Uśmiechnął się do niej, widząc wyraz jej twarzy.

- Tak, wiem... - mruknął. - Zawsze muszę cię posądzać o najgorsze. Barry miał wielki dar przekonywania. W jego ustach to wszystko brzmiało logicznie. Był genialnym manipulatorem. Przez dwa lata, a nawet dłużej, kłamał jak najęty, a ja mu wierzyłem, nawet nie podejrzewając, że prawda może wyglądać zupełnie inaczej.

Popatrzyła na małą plamę oleju na nogawce dżinsów.

- Nie wszystko, co mówił, było nieprawdą - zaprotestowała. - Powiedział ci przecież, że jestem oziębła. I faktycznie jestem.

- Nie ze mną.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Kilka pocałunków i pieszczot to jeszcze nie jest prawdziwa bliskość. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. I wiesz, co mam na myśli. Przez mnie Barry przestał w końcu być mężczyzną. Był niezdolny do...

Ted wlepił wzrok w jej twarz, która wyglądała jak maska wykuta z kamienia.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - zapytał wolno.

- Tak. To, że nie byłam dla niego wystarczająco pociągająca...

- Mylisz się! - Ukłękł przy jej fotelu. - Powiedz mi, czy on w ogóle kiedykolwiek się z tobą kochał? Tak naprawdę, do końca?

- Do końca?

Wyjaśnił jej wszystko bardzo dokładnie.

- Ted, przestań! - wybuchnęła.

Zerwała się na równe nogi, on również. Objął ją, zanim zdołała się odsunąć. Jego twarz była blada, niemal biała. Potrząsnął nią delikatnie.

- Powiedz mi - nalegał. - Muszę wiedzieć!

- W porządku. Nie... nigdy!

Przez kilka chwil stał jak wryty. Kiedy w końcu się otrząsnął, kolory powróciły mu na twarz. Wpatrywał się w Coreen z zachwytem, wręcz zafascynowany.

- Jesteś dziewicą... - stwierdził, z trudem wydobywając słowa.

- Nie musisz mi tego wypominać.

Wyraźnie nie mógł pogodzić się z tym, co usłyszał. Niespodziewanie zaklął pod nosem i odsunął się od niej.

To wszystko, co ją spotkało, już wcześniej wydawało mu się przerażające. Teraz jednak przebrała się miarka. Nie mógł, po prostu nie mógł w to uwierzyć. Corrie nigdy nie miała mężczyzny! Barry poślubił ją, a potem przez dwa lata ją maltretował i bił, lecz nigdy się z nią nie kochał. Coreen jest uosobieniem czystości.

Przeciągnął dłonią po spoconym czole. Pocił się mimo klimatyzacji w mieszkaniu.

- Teraz to już chyba nie ma żadnego znaczenia - powiedziała gniewnie. - On nie żyje.

- Widzę, że ty nic nie rozumiesz. - Odwrócił od niej wzrok.

- Czego nie rozumiem?

Zacisnął dłonie w pięści. Opuściwszy głowę usiłował powściągnąć nagłą eksplozję pośądania.

Głęboko zaczerpnął powietrza i wyjrzał przez okno.

- Co łączy cię z Barneyem? - Spojrzał na nią przez ramię. - Tylko proszę, nie mów mi, że to nie moja sprawa.

- Ale to faktycznie nie powinno cię interesować - stwierdziła, dodając jednak: - Jest moim przyjacielem. Lubimy podobne rzeczy.

- Kochasz go?

Odpowiedź wyczytał w jej oczach, nim otworzyła usta.

- Lubię go - odpowiedziała. - Nie jestem jeszcze gotowa, żeby kogokolwiek pokochać.

Jak wiesz, mam za sobą fatalne małżeństwo.

- Wiem. - Westchnął i odwrócił się, by na nią spojrzeć. Nadal siedziała na poręczy fotela. Wyglądała wojowniczo i czarująco zarazem. - Corrie, jesteś szczęśliwa?

- A kto jest? - odparła z goryczą, która nie pasowała do jej wieku. Poprawiła włosy. - Jestem zadowolona.

- Zadowolona - powtórzył jak echo.

Nijakie słowo. Nie pasowało do kogoś takiego jak Corrie, dziewczyny wesołej i pięknej, zanim Barry uczynił z jej życia piekło. Prawdę mówiąc, on też nie zrobił zbyt wiele, by ulżyć jej losowi. Przez te lata myślał tylko o sobie, o tym, jak zabezpieczyć się przed rozczarowaniem i nieszczęśliwą miłością, jak się uchronić przed Corrie. Nawet nie zdawał sobie wówczas sprawy, jak wielką krzywdę jej wyrządza swoją obojętnością i jak okrutnie ją traktuje.

- Podejrzewam, że czasami obwiniałaś mnie o większość swoich problemów - powiedział.

- Nie pochlebiaj sobie. Sama popełniam błędy i sama za nie płacę. Nie muszę nikogo za nie obwiniać.

- Kiedyś uważałem, że ja też nie muszę. - Popatrzył na nią ze smutkiem. - Czas pokazał, że jest inaczej. Może po prostu w rzeczywistości jesteśmy inni, niż nam się wydaje.

- Wiem jedno: ty nikogo nie potrzebujesz. - Roześmiała się. - Jesteś samowystarczalny.

- Mam tylko Sandy - powiedział cicho. - Tylko ją. Kiedy moja siostra wyjdzie za mąż, zostanę zupełnie sam ze swoimi zasadami, sumieniem i ideałami. Myślisz, że to wszystko ogrzeje mnie w długie zimowe noce, kiedy będę spragniony ciepła kobiecego ciała?

Wyobraziła go sobie leżącego samotnie w łóżku. Nie spodobał jej się ten obraz.

- Nie sądzę, żebyś miał problemy ze znalezieniem damskiego towarzystwa -

zauważyła kąśliwie.

Uniósł brwi.

- Ze znalezieniem faktycznie nie mam. Nie zapominaj, że jestem bardzo bogaty.

- Wszyscy to wiedzą.

Przytaknął.

- I tu jest pies pogrzebany. Mając tyle lat, ile mam, nie mogę być pewien, jakimi motywami kierują się kobiety, które mnie podrywają.

Odniosła wrażenie, że chce jej przez to coś powiedzieć. Na chwilę zapadła cisza.

Pierwsza odezwała się Coreen.

- Napijesz się kawy?

Skinął głową.

Poszła do kuchni świadoma, że Ted odprowadza ją wzrokiem. Nie dołączył jednak do niej. Począł, a wszystko przygotuje, i dopiero wtedy spotkał się z nią w drzwiach kuchni.

Zaniósł tacę na stolik.

- Upiekłam wczoraj ciasteczka z cukrem - oznajmiła, wskazując na talerzyk.

- Skąd wiesz, że lubię słodczy? - zapytał z nieznacznym uśmiechem, przysiadając

obok niej na kanapie. Już wcześniej zdjął marynarkę i podwinął rękawy białej koszuli. Z rozpiętym kołnierzykiem prezentował się bardzo zmysłowo. Coreen przypomniała sobie, jak rozpiniała tę koszulę, by pieścić i całować jego muskularny tors. Z trudem udało jej się powrócić do rzeczywistości.

- Kiedyś lubiłeś - powiedziała.

- Mam słabość do ciastek cytrynowych... - wyznał. Skosztował jedno i roześmiał się.

Miało właśnie taki smak. - Spodziewałaś się mojej wizyty? - zapytał.

- Oczywiście, Œe nie! - zaprzeczyła gorąco. - Ja teŒ je lubię. Nie bądź taki arogancki!

- Och, Corrie, zapewniam cię, Œe zdąŜyłem juŜ wyzbyć się wszelkiej arogancji. Zbyt wiele mnie kosztowała. Poproszę kawę ze śmietanką, ale bez cukru.

Spełniła jego prośbę. Oczywiście sam nie mógł się obsłuŜyć. Rozsiadł się niczym lord, patrząc, jak mu usługuje, i uśmiechał się z arogancją, której właśnie przed chwilą się wyparł.

Bezczelny typ!

Podawała mu filiŒankę i patrzyła, jak stawiają ze spodeczkiem na szerokim, muskularnym udzie. Uświadomiła sobie, Œe się na niego gapi, więc przeniosła wzrok na swój talerzyk.

- Naprawdę sama je piekłaś? - zapytał swobodnym tonem.

Potaknęła.

- Ostatnio pilnie czytam ksiąŜkę kucharską. Od dawna juŜ nie robiłam deserów. Nie wiem, czy pamiętasz, Œe mój tata miał cukrzycę? Nie mógł jeść słodczy, a ja nie chciałam przy nim ich jeść, Œeby nie sprawiać mu przykrości.

- Piecz je jak najczęściej - wymruczał z pełnymi ustami. - Wyśmienite.

- Dzięki. Co słyhać u Sandy?

- Tęskni za tobą. Podobnie jak Shep.

- Sandy przywozi go do mnie - powiedziała.

- Wiem, ale on piszczy w nocy.

Jej rysy stęŜały.

- Jak znajdę inne mieszkanie, zabiorę go.

- Znam lepsze rozwiązanie. MoŜe to ty wróciłabyś do niego, do domu?

Spuściła wzrok.

- Ranczo nie jest moim domem.

Dopił kawę i odstawił filiŹankę ze spodeczkiem na stolik. Potem odchylił się do tyłu i wolno rozpiął pozostałe guziki koszuli, przez cały czas wpatrując się w Coreen, aŹ w koŹcu odsłonił całą klatkę piersiową. Rozchyliła wargi, usiłując oddychać normalnie.

- Napijesz się jeszcze kawy? - zapytała pospiesznie.

Pokręcił wolno głową. Wyciągnął koszulę ze spodni i rozpiął pasek. Potem znów odchylił się do tyłu i rozsunął nogi. Na jego twarzy pojawił się niebezpiecznie bezczelny uŹmieszek. Odezwał się głosem miękkim jak aksamit.

- Chodź do mnie.

Otworzyła szeroko oczy. Serce zaczęło walić jej jak młotem. PomyŹlała, Źe to nie w porządku z jego strony tak ją prowokować i zachęcać, by po raz drugi w Źyciu się wygłupiła. Kpi z niej? Jej usta drŹały, kiedy ogromnym wysiłkiem woli starała się poskromić swoje pragnienie.

Zaczął się uŹmiechać, poniewaŹ wiedział, Źe ona nie jest w stanie mu się oprzeć.

Zawsze to wiedział.

- Boisz się mnie? - zapytał łagodnie. - Nie musisz. Zaklinam się na wszystkie ŹwiętoŹci, Źe nie zrobię niczego, na co nie będziesz miała ochoty.

Oczy zapiekły ją od łez na myŹl ojej słaŹoŹci do niego oraz późniejszych konsekwencji.

- Dobrze się bawisz? - wykrztusiła przez ŹciŹnięte gardło. - Dlaczego mnie nie uderzysz? Sprawdzisz wtedy, czy daje ci to taką samą przyjemnoŹć jak naigrawanie się ze mnie. - Podniosła się i ruszyła w stronę drzwi.

Był od niej szybszy. Chwycił ją i odwrócił do siebie. Trzymał ją w ramionach.

Dotykała policzkiem jego piersi, czuła jego zapach, ciepło jego ciała.

- Nie płacz - wyszeptał, przytulając ją do siebie z całej siły. - Ja się nie bawię. Nie tym

razem.

- Będzie tak samo jak przedtem. - Głos jej się łamał. - Wystarczająco dużo przez ciebie wycierpiałam!

- To prawda - przyznał. - Zresztą nie tylko ty. Oboje przeze mnie cierpimy. Nie pora teraz przepraszać, ale wiedz o jednym: na początku miałem dobre intencje. - Uniósł jej brodę tak, by widzieć jej twarz. - Przyjrzyj mi się dobrze, kochanie. Nie jestem już młodzieńcem.

- Nie zauważyłaś, o ile lat Abby Ballenger jest młodsza od Calhouna? - zapytała poważnie.

Dawniej starał się tego nie dostrzegać. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że różnica wieku między tą długo ze sobą związaną parą była niemal taka sama, jak między nim a Coreen.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Zauważyłem.

- Mają trzech synów - przypomniała mu. - I są szczęśliwym małżeństwem. Abby poszłaby za nim w ogień.

Zacisnęła zęby.

- Nie wątpię, że i on zrobiłby dla niej to samo.

Powiodła wzrokiem od jego wystającej brody do warg. Jego gorący uścisk obezwładniał ją. Myślała tylko o tym, by pozostać w jego ramionach na zawsze.

Przypomniała sobie w porę, czym się to zazwyczaj kończyło. Po krótkich chwilach szczęścia, pospiesznych pocałunkach i pieszczotach nadchodziło zawsze oprzytomnienie. Tędy ogarniały wątpliwości i wyrzuty sumienia, a w rezultacie zawsze wyśywał się na niej.

Westchnęła.

- Chyba już wyczerpałam mój limit twojego czasu - szepnęła.

- O czym ty mówisz? - Wpatrywał się w nią zdziwiony.

- Teraz powinieneś poczuć się winny i powiedzieć mi coś nieprzyjemnego, a potem mnie przegonić.

Skrzywił się, po czym wlepił wzrok w ścianę za nią.

- Uważasz, że tak się zachowuję?

- Trudno inaczej to odebrać.

Pogładził ją po włosach i mocniej przycisnął jej policzek do swojej obnażonej piersi.

- Chyba do końca życia będę miał wyrzuty sumienia - powiedział, zniżając głos.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mogłem oszczędzić ci dwóch lat z Barrym.

- Jak? Poświęcając się zamiast niego? - W jej głosie zadźwięczała gorzkość.

- To nie byłoby poświęcenie. - Muskał wargami jej czoło i oczy. Zsunął ciepłą dłoń na jej policzek, kciukiem dotykając jej ust. - Czy słyszysz bicie mojego serca? - wyszeptał ochrypłym głosem.

- Bije... jak oszalałe...

Przesunął rękę i dotknął delikatnie jej piersi.

- Podobnie jak twoje - wymruczał. - Szybko i mocno.

Umiał już czytać w niej jak w otwartej księdze. Czuł, że Coreen drży coraz bardziej, im mniejsza staje się odległość między nimi.

- Chodź tu do mnie - mruknął, zbliżając usta do jej warg. - Chcę poczuć twoje uda przy moich.

- Czy to jest... niebezpieczne? - zaniepokoiła się.

- Tak - przyznał z rozbijającą szczerością.

W tej pogroźce zabrzmiała znacznie lżejsza nuta wesołości. I nagle cały strach Coreen

wyparował. Wtuliła się w niego odważnie i westchnęła, czując tak blisko dotyk jego ciała.

- Nie odsuwaj się - wyszeptał jej prosto w usta. - Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo jestem podniecony.

Jej dłonie przywarły do jego nagiej piersi, miło ją laskocząc.

- Pieść mnie - prosił namiętnym szeptem. - Doprowadź mnie do szaleństwa.

Wodziła dłońmi po jego ciele, patrząc mu prosto w oczy, ciemniejące z rozkoszy.

- Przyjemnie? - zapytała.

- Bardzo.

Przez pewien czas w pokoju słychać było jedynie ich urywane oddechy. Skubiąc jej wargi, Ted potarł nosem jej nos.

- Ale byłoby mi jeszcze przyjemniej, gdybym mógł poczuć na sobie twoje nagie ciało - wyznał w końcu.

Chyba oszalała do reszty! Była tego absolutnie pewna, a mimo to odpięła haftki stanika. Przez ten czas jej usta odpowiadały na natarczywe pieszczoty jego warg. Podciągnęła wyżej koszulkę i nagle poczuła, jak jej nagie piersi dotykają jego owłosionego torsu.

- O! - jęknął Ted.

Przytulona do niego uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, szukając w nich otuchy.

Jego ręce drżały, kiedy otoczył nimi jej twarz.

- Otwórz usta - szepnął i wpił się w jej wargi.

To było ostatnie słowo, jakie usłyszała, zanim dała się porwać wzbierającej fali uniesienia.

Jego dłonie i wargi odebrały jej wszelką zdolność racjonalnego myślenia. Bliskość ich gorących ciał sprawiła, że Coreen nagle poczuła, że to jej już nie wystarcza, że muszą być jeszcze bliżej siebie. Rozplakała się. Wyznała mu to gorączkowym szeptem.

- Jest tylko jeden sposób, żebyśmy mogli być ze sobą jeszcze bliżej. - Dyszał głośno. -

Wiesz doskonale, co mam na myśli.

- Tak, tak - powtarzała. Zaciśnęła palce na jego nagich plecach, wpijając paznokcie w napięte mięśnie. - Ted!

Pochylił się raptownie i porwał ją w ramiona. Jego oczy przeraziły ją swoim blaskiem.

Zawahał się, a potem zadał pytanie, którego wcale nie musiał ubierać w słowa.

Wtuliła twarz w jego szyję i kurczowo się go trzymała, cała drżąc. Niech robi z nią, co zechce. Cokolwiek zrobi, przyjmie to z wdzięcznością. Skoro nic innego nie jest jej pisane, musi cieszyć się chwilą.

- Przynajmniej... daj mi dziecko - wyszeptała. - Daj mi chociaż tyle, skoro nie możesz mi dać siebie.

Te słowa zszokowały go. Popatrzył na słodki cieśń, który trzymał w ramionach, i przytulił ją do serca.

- Corrie... - wyszeptał.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego bezradnie.

- Czy to, o co proszę, naprawdę jest takie straszne? - zapytała ze smutkiem. - Wiem, że nie chcesz się wiązać. Nie martw się, niczego od ciebie nie będę chciała.

Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Przytulił ją jeszcze mocniej i oszołomiony łagodnie kołysał.

- Nie chcesz mieć dziecka? - zapytała śmiałym szeptem. - Zapewnię mu dobrą opiekę. A ty będziesz tylko przyjeżdżała od czasu do czasu z wizytą, jak tylko będziesz chciała...

Zamknął oczy i przez chwilę jego ramiona tak mocno ją ścisnęły, że o mało nie popękały jej ścięgna.

Zagryzła wargi, przypatrując mu się uważnie. Najwyraźniej nie mógł się ruszyć. Ani na krok. Tylko stał nieruchomo, nie wypuszczając jej z objęć. Pomyślała ze smutkiem, że prawdopodobnie zrobiło mu się jej żal, kiedy uświadomił sobie bezmiar jej upokorzenia. Nie wiedział, jak ma się w tej sytuacji zachować.

Starła się wolniej oddychać, a jej puls trochę się uspokoił. Zastanawiała się, jak po czymś takim jeszcze będzie mogła spojrzeć mu w oczy. Tym razem poniżyła się za bardzo, zagrała o zbyt wysoką, niebotyczną stawkę. Kiedy ona wreszcie zmądrzeje?

- Ted, proszę, puść mnie. - Usiłowała zachować resztki godności.

Jego wargi prześliznęły się po jej zapłakanych powiekach. Zamknęła oczy. Nie spełnił jej prośby. Poniósł ją w stronę w fotela i wolno na nim usiadł, tuląc ją w objęciach niczym najcenniejszy skarb.

- Ted... - powtórzyła.

Potarł policzkiem o jej twarz, szukając ust. Jego policzek był wilgotny. Ale nie zdążyła nad tym się zastanowić, ponieważ już ją całował. Wydawało się jej, że jest w tym pocałunku coś rozpaczliwego, tym bardziej że znowu poczuła, jak jego ramiona zaciskają się na niej niczym żelazne obręcze.

Po omacku dotknęła jego pochylonej twarzy, zamkniętych oczu i nagle poczuła wilgoć pod placami. Dłuższą chwilę zajęło jej, nim zrozumiała, co to znaczy. Otworzyła szeroko oczy i odsunęła się od niego.

Miał oczy i policzki mokre od łez. Wcale się ich nie wstydził. Nie unikał jej wzroku.

- Nie ruszaj się. - Ściągnął z niej pomiętą koszulkę, która tylko na wpół ją okrywała, i rzucił ją na podłogę.

Jego ręka powędrowała do jej odkrytych piersi, zatrzymując się na dłuższą na długiej bliźnie.

Pochylił się i wargami najpierw musnął szramę, a potem zaczął pieścić całą pierś.

- Nie będziesz się wstydzić karmienia piersią? - zapytał szeptem.

Fala nadziei wypełniła jej serce.

- Nie!

Pocałował ją w usta.

- Zapewne już nie jestem tak płodny jak młody mężczyzna - powiedział po chwili. -

Więc przygotuj się na to, że to może trochę potrwać.

Westchnęła, przytulając do siebie jego twarz. Gdy dotarł do niej sens tych słów, zadrżała z radości.

Przywarł wargami do jej piersi i zaczął pocałunkami wyznaczać szlak aż na jej brzuch.

Kiedy w końcu podniósł się, by zaczerpnąć powietrza, przeniósł ledwie przytomną

Coreen na kanapę. Ułożył się na niej, przez cały czas trzymając Coreen w ramionach.

Leżeli z ciasno splecionymi nogami, bez skrępowania, jakby układali się tak od lat.

Jego głowa spoczęła na poduszce, podczas gdy ona przyłożyła ucho do jego piersi i

słuchała mocnych, rytmicznych uderzeń jego serca. Dla Coreen taka bliskość była równie podniecająca, jak i niespodziewana.

- Dlaczego przestałeś? - zapytała półprzytomnym głosem.

Powiodł dłonią po jej plecach aż do talii.

- Nie możemy począć naszego pierwszego dziecka, dopóki nie będziemy

małżeństwem - powiedział cicho.

Znieruchomiała.

- Ale... przecieś powiedziałeś... - zaprotestowała.

Przewrócił ją na plecy i głodnym wzrokiem spojrzał w jej szeroko otwarte, niebieskie oczy.

- Powiedziałem tylko, że moglibyśmy spróbować spłodzić dziecko - wyszeptał. - Nie wspominałem ani słowem o tym, że chcę, żeby było nieślubne.

- Ale ty nie chcesz się żenić.

Scałowywał jej łzy, uśmiechając się krzywo.

- To prawda - przyznał nieco wyzywającym tonem. - Jestem dla ciebie za stary.

Podejrzewam, że za jakiś czas zmęczysz się mną i zapragniesz poszukać sobie kogoś młodszego. Ale będę się tym martwił we właściwym czasie.

Spojrzała w jego twarz oczami pełnymi miłości.

- Będziesz musiał na to bardzo długo czekać. I niewykluczone, że nigdy się nie doczekasz - wyszeptała. - Zakochałam się w tobie, kiedy miałam zaledwie dwadzieścia lat.

Odtąd kocham cię nieprzerwanie. Oddałabym za ciebie swój dom, honor... a nawet życie.

Zaczerwienił się.

- Corrie...

- Ted, ja wiem, że nie czujesz tego samego do mnie - ciągnęła z godnością. - Ale może to się zmieni, kiedy przyjdą na świat nasze dzieci. Może je pokochasz i będziesz szczęśliwy.

Wzruszenie ścisnęło go za gardło. Szukając odpowiednich słów, musnął jej wargi.

- Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie trudne... - zaczął.

Położyła mu palec na wargach i cicho westchnęła.

- Nic nie mów - uciszyła go.

Jego błękitne oczy wędrowały po jej ciele. Coreen skrzywiła się.

- Przykro mi z powodu tej blizny - powiedziała, patrząc na nią. - Może z czasem zblednie.

- Naprawdę myślisz, że to ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? - mruknął.

Nie spodobał się jej ten ton.

- Ted...

- Twoje piersi są doskonałe - powiedział. - Z blizną czy bez. W moich oczach jesteś chodzącą doskonałością. I zawsze tak będzie. Zawsze! - dodał z mocą.

Nie wiedziała, jak zareagować na te słowa.

Przegarnął ręką po swoich spoconych włosach, pochylił się nad nią i wpatrywał w nią z miłością. Jęknął niespodziewanie.

- Nie wytrzymam tego dłużej. Nie mogę tak leżeć przy tobie ze świadomością, że nie wolno mi posunąć się dalej.

Wstał i wyszedł do kuchni. Kilka minut później wrócił z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. Do tego czasu Coreen zdążyła już doprowadzić się do porządku.

Starła się unikać jego wzroku.

Nalał kawę do filiżanek, świadom nieśmiałych spojrzeń, które rzucała na jego szeroki, nagi tors.

- Podoba ci się to, co widzisz? - zapytał przekornie.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie musisz tak się puszyć! - fuknęła.

- Jasne, że rozpiera mnie duma. - Zaśmiał się. - Nieczęsto się zdarza, żeby kobieta składała mężczyźnie w ofierze swoje życie. Czy nie to właśnie robiono z dziewicami w zamierzchłych czasach? Rzucano je na posarcie jakiemuś straszliwemu potworowi, żeby go przebłagać?

- Nie jesteś potworem - odparła, sięgając po filiżankę. - A ja się ciebie nie boję.

- Zauważyłem - powiedział. Rozsiadł się na kanapie i objął ją czułym gestem. Położył nogi na stoliku i skrzyżował je leniwie. - Gdzie chcesz wziąć ślub? - zapytał niespodziewanie. Jej oczy powędrowały do jego twarzy.

- Jesteś tego pewien?

Skinął głową.

- No więc gdzie? - powtórzył.

- Wobec tego w Jacobsville! I chcę, żeby Sandy była moją drużną.

- Skoro z takim entuzjazmem wspomniałaś o Ballengerach, poproszę Calhouna, żeby został moim drużbą.

W jej uszach zabrzmiało to jak kpina. Milczała.

Ujął ją pod brodę.

- Czytam w twoich myślach - powiedział poważnie. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało cynicznie. Pomyślałaś sobie, że znów z ciebie drwię?

Pokiwała głową.

Westchnął.

- Przyzwyczaisz się do mnie - pocieszył ją. - Bardzo często pod wpływem emocji mówię coś, czego naprawdę nie myślę. Czasami zupełnie niepotrzebnie tracę panowanie nad sobą. Mam już swoje przyzwyczajenia.

- Wiem.

Uniósł brwi.

- Masz wątpliwości, czy powinnaś za mnie wyjść?

Zapatrzyła się w filiżankę.

- Chcę mieć z tobą dziecko - wyszeptała. - Ted, uważaj...!

Kawa bryznęła wszędzie, jakby w jego ramieniu nagle zadziałała potężna sprężyna.

Mamrocząc słowa przeprosin, rzucił się po papierowe serwetki, by wytrzeć z ich ubrań kawowe plamy.

- Kobieto! Na litość boską, nie mów mi takich rzeczy, kiedy trzymam filiżankę z

gorącą kawą! - wściekał się. - Nie rozumiesz, że nadludzkim wysiłkiem woli staram się siedzieć tu spokojnie, chociaż myślę tylko o tym, jak cię zawlec do najbliższego łóżka!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Coreen zaczerwieniła się po uszy, słysząc te okrzyki.

- Nie musisz od razu wrzeszczeć, jakby odbywała się tu jakaś występna orgia - zwróciła mu uwagę.

- Ale to jest właśnie to! - warknął. - Występne. Niebezpieczne. Wspaniałe. Zakazane.

- Ty też tego chcesz - odcięła się.

- Ja chcę ciebie - przyznał posepnie. - Ciebie! I nie mogę przestać. Tak było i tak będzie.

To wyznanie zaparło jej dech w piersiach. Usiadła, nie zwracając uwagi na plamy kawy na kanapie. Wpatrywała się w niego bezradnie.

- Dlaczego się nie śmiejesz? - zapytał. - Nie czujesz, że masz prawo mnie wyśmiać?

Przez te lata dałem ci wystarczająco dużo powodów, żebyś teraz mogła pragnąć zemsty.

- Pragnę, ale czegoś zupełnie innego - wyszeptała. - Tak bardzo cię kocham, Ted - dodała. - Bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach.

- Więc mi to udowodnij. Wyjdź za mnie. Jutro.

- Dobrze - zgodziła się.

- śadnych protestów? śadnego przekładania na późniejszy termin?

Pokręciła głową.

- A więc załatwione - postanowił.

Wyszedł pięć minut później.

Nazajutrz rano bardzo zdenerwowany sędzia pokoju w Jacobsville udzielił im ślubu.

Towarzyszyli im oszołomiona, ale zarazem uszczęśliwiona Sandy jako drużna i szczerze

rozbawieni Calhoun i Abby Ballengerowie jako świadkowie.

Po tej krótkiej uroczystości wszyscy złożyli im życzenia szczęścia na nowej drodze życia, po czym oddalili się ramię w ramię, szepcząc między sobą z niedowierzaniem.

- Są kompletnie skołowani - orzekł Ted, kiedy dwie godziny później wrócili do mieszkania w Victorii. - Uważają, że postradałem zmysły.

- Podobnie jak ja.

Odwrócił się, by popatrzeć na swoją świeżo poślubioną żonę. Miała na sobie biały kostium i jasnoróżową bluzkę, a do tego toczek z woalką.

W biurze sędziego pokoju Ted musiał unieść tę woalkę, by ją pocałować.

- Poślądam cię - szepnął. - Natychmiast.

Zaczerwieniła się. Myślała, że najpierw zjedzą coś albo pójdą do kina. Najwyraźniej

Ted miał inny pomysł na spędzanie wspólnego czasu.

- Tak - wyjąkała nieco zaskoczona.

Zamknął drzwi, odłączył telefon i poprowadził ją do sypialni. Nie było jeszcze nawet ciemno, więc Coreen była mocno onieśmielona żądzą, która lśniła w jego oczach, i pośpiechem jego rąk, gdy zaczął ją rozbierać.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział, zdejmując z niej najpierw sukienkę, a potem spódnicę.

- Przysięgam, że nic złego ci nie zrobię. Proszę cię tylko o jedno: uzbrój się w trochę cierpliwości.

- Dobrze - odparła nerwowo.

Zsunął z niej resztę ubrania, po czym zaniósł ją do łóżka.

Sunął po jej ciele czułym spojrzeniem, napawając się jej widokiem. W końcu zduszony jęk wydobył się z jego ust.

Usiadł i zdjął buty. Coreen odwróciła głowę, kiedy się rozbierał. Bała się, że nie

będzie zdolna tak szybko zareagować na jego pośądanie.

Chwilę później wziął ją w ramiona. Westchnęła głośno, kiedy poczuła przy sobie jego gorące ciało.

Zaczął ją niespiesznie pieścić. Gdy poczuła na brzuchu jego wezbraną męskość, znieruchomiała.

- Otwórz oczy - poprosił. - Patrz na mnie, kiedy będę cię brał w posiadanie.

Zaczerwieniła się, ale zrobiła to, o co prosił. Nie potrafiła ukryć zmieszania.

Rozsunął jej nogi i ułożył się między nimi. Gdy poczuła tam jego podniecenie, nieśmiało zerknęła w dół. Jej źrenice rozszerzyły się, a ciało znieruchomiało.

- Tego się obawiasz - mruknął łagodnie i uśmiechnął się. A potem zaśmiał się i przykrył ją sobą. - Nie. Bez pośpiechu. Jeszcze nie teraz. Na razie chcę tylko, żebyś mnie poczuła. I ze mną się oswoiła. Zobaczysz, będziesz jeszcze błagała, żebym cię wziął.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi. Przynajmniej nie od razu. Ale kilka pełnych napięcia, cudownych minut później po tym, jak jego usta zbadały każdy zakątek jej ciała, a ręce do białości rozpały jej zmysły, pojęła, co miał na myśli.

Była mokra od potu, drżała, a wszystko, czego doświadczała, było nowe i podniecające. Jak to dotąd jej nieznanne pulsowanie w dole brzucha. A on wciąż ją pieścił.

Kiedy jednak uniosła biodra, by namówić go na więcej, oderwał się od niej.

Kiedy zrobił to po raz trzeci, zalała się łzami.

- Och... proszę - szlochała, rozpaczliwie do niego przywierając. - Proszę, pragnę cię aż do bólu!

- Tak, to boli - zgodził się. - Pali i pulsuje jak rana. - Chwycił ją za udo. - Patrz, Coreen, patrz!

Uniósł nieco jej biodra i powoli, kołysząc się lekko, wszedł w nią.

Z wraŹenia na moment zabrakło jej powietrza. Była tak podniecona, Źe uznała tĂchwilĂ wahania swojego ciała za element cudu, który stał siĂ jej udziałem. Obserwowała Teda szeroko rozwartymi oczami.

On równieŹ nie posiadał siĂ ze zdumienia. Pomimo całego swojego doŹwiadczenia nie był przygotowany na to, co teraz przeŹywał. Ze wzruszeniem myślał o tym, Źe jest jej pierwszym kochankiem.

Westchnął.

Coreen spojrzała w jego oczy mokre od łez i szeroko otwarte ze zdziwienia.

Zacisnął zĂby, nareszcie pozwalając unieŹ siĂ gorĂcej fali namiĂtnoŹci, która ostatecznie przerwała wszystkie tamy, kiedy poczuł, z jakĂ łatwoŹciĂ Coreen go przyjmuje.

Opadł na niĂ, wsuwajĂc dłonie pod jej poŹladki.

- RĂb to co ja - szeptał. - Tak... tak!

Coreen wydała cichy okrzyk, gdy w tej samej chwili wznieŹli siĂ na wyŹŹyny rozkoszy.

Ogarnięty tym samym słodkim szaleństwem Ted jĂknął ochryple.

Przez kilka sekund, które wydawały siĂ im wiecznoŹciĂ, byli jednym ciałem i jednĂ duszĂ.

Potem przytulił głowĂ do jej piersi, wsłuchujĂc siĂ w oszalały rytm jej serca.

- Nie mogłem dłuŹej czekać - wyznał. - Przez tyle lat Źniłem, Źe trzymam ciĂ w ramionach, tylko po to, Źeby obudzić siĂ i stwierdzić, Źe ciĂ przy mnie nie ma! Ale teraz juŹ mi nie uciekniesz. JesteŹ moja i nigdy nie pozwolĂ ci odejŹć!

Coreen słyŹzała jego słowa, ale dłuŹszĂ chwilĂ zajĂło jej zrozumienie ich sensu.

- Przez lata? - powtĂrzyła.

- Bardzo długie lata - potwierdził. - Czy wiesz, Źe od prawie trzech lat nie miałem kobiety?

Zastygła w bezruchu.

- A te wszystkie zdjęcia w kolorowych magazynach?

- To tylko pozory. - Parsknął gorzkim śmiechem. - Nawet nie czułem pociągu do tych kobiet. Przez cały ten czas tylko ciebie pragnąłem. Tylko ciebie, Corrie.

- To dlaczego pozwoliłeś, żeby wyszła za męża za Barry'ego? I dlaczego tyle razy wmawiałeś mi, że... że mnie nie chcesz!

- Starąłem się być szlachetny - wyznał udręczonym głosem. - Nie chciałem, żebyś miała męża, który jest od ciebie o tyle lat starszy. Zrozum, bałem się, że pewnego dnia pośląjesz, że za mnie wyszłaś. Skąd miałem wiedzieć, że Barry zamieni twoje życie w piekło? I to przede mną! - Zniżył głos. - Jak ja cię kochałem! Oddałbym za ciebie swój honor... godność, życie.

Jej własne słowa. Opuściła powieki, a po jej policzkach spłynęły łzy szczęścia.

Rozszlochała się.

Poczuła na twarzy jego oddech i wargi spijające łzy. Zaczął kochać się z nią raz

jeszcze z taką miłością i tkliwością, że nie przestała płakać, dopóki ten cudowny akt się nie spełnił. Ciasno spleceni delektowali się całkowitym zespoleniem.

Potem Ted, nie wypuszczając jej z objęć, odwrócił się na plecy, by uwolnić ją od swojego ciężaru.

- Od teraz zawsze tak będzie, kiedy będziemy się kochać - obiecał, gładząc jej plecy.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w ramię.

- Będziemy się kochać - powtórzyła. - I nigdy nie przestaniemy.

Uśmiechnął się szeroko.

- Hm, z przerwami na jedzenie. Od czasu do czasu - mruknął rzeczowym tonem.

Sandy popatrzyła na nich spode łba, kiedy sześć tygodni później oznajmili jej, że

zostanie ciocią.

- Wstydu nie macie! - Śachnęła się. - Dzisiaj mija dopiero sześć tygodni, od kiedy jesteście małżeństwem!

Odniosła wrażenie, że Ted jest dumny i zarazem zażenowany. Zaborczym gestem obejmował talię Coreen, która spoglądała na niego z nieskrywanym uwielbieniem.

- Spiesz się - wyjaśnił.

- Nie śartuj! - W głosie Sandy zadźwięczała ironia.

- Nie jestem coraz młodszy - rzucił pogodnie.

- Planujemy założyć drużynę piłkarską - zaśmiała Coreen.

Sandy ze śmiechem wyściskała szwagierkę oraz brata.

- Bardzo się z tego cieszę - szepnęła wzruszona. - Ale co ludzie na to powiedzą?

W rzeczywistości mieszkańcy Jacobsville powstrzymali się od plotkowania. Na ogół witali uśmiechem tę nierozłączną, zakochaną parę i śyczili jej wszelkiej pomyślności.

Pewnego dnia Ted wyznał małżonce, że to głównie duma przez wiele lat nie pozwalała mu poprosić ją o rękę. Teraz dumą Teda Regana była jego Sona oraz dziecko, którego przyjścia na świat oboje z utęsknieniem oczekiwali.